



Spółka Wydawnicza Polska w Krakowie

poleca wydaną od lat 16

najtańszą ze wszystkich publikacyj peryodycznych

NOWA BIBLIOTEKĘ UNIWERSALNĄ

„BIBLIOTEKA“ wychodzi co 2 tygodnie w zeszytach formatu 8-ki, o objętości 7 arkuszy, daje przeto rocznie do **170 arkuszy druku.**

Zamieszcza przeważnie niedrukowane dotąd prace — najpierwszych pisarzy polskich, tudzież obcych we wzorowym tłumaczeniu.

Druk staranny, czytelny — papier piękny i trwały.

Pamiętniki, dzieła historyczne i t. p. są dobranymi rycinami ilustrowane.

Każde dzieło ma własną paginację, stanowi więc osobny tom, który oddzielnie broszurowany lub oprawiony być może.

„BIBLIOTEKA UNIWERSALNA“

jako wydająca dzieła przeważnie narodowej treści, jest **pod zaborem rosyjskim zabroniona.**

Przedpłata na „NOWĄ BIBLIOTEKĘ UNIWERSALNĄ“ w zeszytach wynosi:

	w Krakowie:	w Austrii:	w Niemczech:
rocznie . . .	Koron 12.—	Koron 14.—	marek 14.—
kwartalnie . . .	» 3.—	» 3.50	» 3.50

W innych krajach europejskich rocznie franków 24,
w Ameryce rocznie dolarów 5.

W tomach oprawnych ozdobnie, z dwurazową przesyłką: w Lipcu i Styczniu, tylko rocznie:

w Krakowie . . .	koron 20.—		w Niemczech . . .	marek 22.—
w Austrii . . .	» 22.—		w innych kraj. eur.	franków 28.—
			w Ameryce	dolarów 7.—

Zeszyt w Krakowie 50 gr. — w Austrii 60 gr. — w Niemczech 60 fen.

Prenumeratorem składający z góry przedpłatę na cały nowy rocznik otrzymują premię.

Bliższe wyjaśnienie co do premii podane w prospekcie, który na żądanie darmo przesyłamy.

2420
Do każdego dzieła wydanego w „Nowej Bibliotece Uniwersalnej“
(od początku jej istnienia) można mieć

ozdobne i trwałe okładki płócienne po 40 hal.

Kto niema introligatora na miejscu, może nam nadsłać do oprawienia
płacąc za każdy tom 70 halerzy.

Z wydanych dotąd 14 roczników Nowej Biblioteki Uniwersalnej
posiadamy jeszcze niewielką ilość w zapasie i wyślemy
po następujących zniżonych cenach:

SERYA I.

(złożona z roczników I. do IV., t. j. 1887—1890).

1. *Bałucki*. Mój pierwszy występ literacki (nowele). — 2. *Bałucki*. Burmistrz z Pipidówki (powieść). — 3. *Chmielowski*. Studya literackie. Serya I. — 4. *Chołoniewski*. Sen w Podhorcach. — 5. *Gawalewicz*. Biedni ludzie (powieść). — 6. *Gawalewicz*. Majster do wszystkiego (powieść). — 7. *Konarski ks.* O religii poczciwych ludzi. — 8. *Korzeniowska*. Nad siły (powieść). — 9. *Naganowski*. Hessy O'Grady (powieść). — 10. Rys kampanii polskiej w roku 1809. — 11 i 12. *Szajnocha*. Pisma historyczne 2 tomy. — 13. *Wodzicki hr.* Pamiętniki. 14. *Wysocki*. Pamiętnik z kampanii roku 1848.

Razem 14 tomów broszurowanych koron 14—
lub 14 „ oprawnych w płótno 24—

SERYA II.

(złożona z roczników V. do VIII., t. j. 1891—1894)

1. *Czajkowski*. Stefan Czarniecki (powieść). — 2. *Echegaray*. Galeotto (dramat). — 3. *Frenzel*. Prawa kobiety (powieść). — 4. *Jełowicki ks.* Moje wspomnienia. — 5 do 8. *Kalinka*. Dzieła t. I. II. III. IV. (Ostatnie lata panowania Stanisława Augusta. 2 tomy, i Pisma pomniejszych. 2 tomy). — 9. *Lichocki*. Pamiętniki prezydenta m. Krakowa z czasów Kościuszki. — 10. *Liśicka*. Obrazki z życia (nowele). — 11 i 12. *Macaulay*. Szkice historyczne. 2 tomy. — 13. *Szumski*. Wspomnienia o 3 pułku ułanów z roku 1831 (z rycinami). — 14. *Tarnowski St.* Studya z literatury polskiej. Serya I. — 15. *Zagórski*. Nowele.

Razem 15 tomów broszurowanych koron 15—
lub 15 „ oprawnych w płótno 27—

SERYA III.

(złożona z roczników IX. i X., t. j. 1895 i 1896).

1. *Danielewicz*. Alkohol i jego skutki. — 2. *Gawalewicz*. Niczyja (powieść). — 3. *Gliński*. Mamusie (nowele). — 4. Hygiena palenia. — 5. *Iry*. Pod rodzinnem niebem (powieść). — 6 do 10. *Kalinka*. Sejm czteroletni. 5 tomów. — 11. *Liśicka*. Ze świata muzyki (życiorysy). — 12. *Łoziński*. Tłum (studyum społeczne). — 13 do 15. *Kontrymowicz*.

Proszę odwrócić!

Ogiński. Książę Hołuba. 3 tomy (powieść z r. 1863). — 16. *Tegoż*. Z czeluści piekielnych (powieść). — 17. *Murawiew*. Pamiętniki z roku 1863 (illust.) — 18. *Sewer*. Na szerokim świecie (powieść). — 19 i 20. *Tarnowski*. Studya z literatury polskiej. Serya II. i III. — 21. *Tepa*. Nie z salonu (nowele). — 22. *Wężyk*. Dzieje powstania r. 1831. — 23. *Włast*. Opowiadania hist. z dziejów Wołynia (z rycin.) — 24. *Wodzicka*. Wilhelm I. i Eliza Radziwiłłówna (illust.) — 25. Ze wspomnień szlacheckich.

Razem 25 tomów broszurowanych koron 25—
lub 25 „ oprawnych w płótno » 40—

SERYA IV.

(rocznik XI., 1897).

1. *Jirasek*. Raj świata (powieść historyczna z r. 1815). — 2. *Kalinka ks.* Galicya i Kraków w r. 1850. — 3. *Kołaczkowski* generał. Pamiętniki. Tom I. (z ilustr.) — 4. *Lubieński hr.* Kwestya polska w Rosyi. — 5. *Manteuffell*. Cywilizacya nad Bałtykiem (z ilustr.) — 6. *Sarnecki*. Historia literatury francuskiej. — 7. *Schnür-Peplowski*. Dzieje legionów polskich (z ilustr.) — 8. *Sewer*. W kleszczach — Magdusia (powieści). — 9. *Sigurd*. Humoreski. — 10. *Sigurd*. Sprzedany sierota (powieść). — 11. *Tarnowski St.* Studya z literatury polskiej. Serya IV.

Razem 11 tomów broszurowanych koron 11—
lub 11 „ oprawnych w płótno » 20—

SERYA V.

(rocznik XII. i XIII., t. j. 1898 i 1899).

1. *Bąkowski*. Posażna panna (powieść). — 2 do 4. *Berg*. Zapiski o powstaniu polskim 1863 r., 3 obszernie tomy, z 60 rycinami. — 5. *Chotkowski ks.* Dzieje zniweczenia Unii. — 6. *Gloger*. Geografia historyczna Polski (z 64 rycinami) — 7 i 8. *Kołaczkowski*. Wspomnienia, tom II. i III. (z ilustr.). — 9. *Korolenko*. Nowele Sybirskie. — 10. *Kostomarow*. Kudejar (powieść). — 11. *Kowerska*. Powieści. — 12. *Krzyżanowski*. Przełom i inne nowele. — 13. *Mickiewicz*. Wybór listów. — 14. *Neumanowa*. Legendy Wschodu. — 15. *Paszkowski*. Książę Józef Poniatowski (z 27 rycinami). — 16. *Sewer*. Bajecznie kolorowa (powieść) — 17. *Sokołowski M.* Szkice z dziedziny sztuki, obszerny tom z 47 ryc. — 18 do 20. *Tołstoj*. Anna Karenina (powieść), 3 znaczne tomy. — 21. *Wybranowski*. Ongi w dworkach szlacheckich (opowiadanie).

Razem 21 tomów broszurowanych koron 24—
lub 21 „ oprawnych » 40—

SERYA VI.

(rocznik 1900).

1. *Czermak*. Studya histor. z XVII wieku. — 2. *Kalinka*. Dzieła, tom XI. (całość). — 3. *Kołaczkowski*. Henryk Dąbrowski (z ryc.) — 4. *Kołaczkowski*. Wspomnienia z r. 1831, tom IV. (illust.) — 5. *Korolenko*. Niewidomy muzyk (opow.) — 6. *Korolenko*. Szkice powieściowe. — 7. *Kowerska*. Z pamiętnika ornitologa (powieść). — 8. *Lejkin*. Pod hiszpańskim niebem, pow. humoryst. — 9. *Rostworowski*. Wspomnienia z r. 1863. — 10. *Sizeranne*. Malarstwo angielskie. — 11. *Tretiak*. Studya literackie.

Razem 11 tomów broszurowanych koron 12—
lub 11 „ oprawnych » 20—

Zobacz koniec książki!

JAN ZACHARYASIEWICZ.

PO ŚLUBIE

z zapisków kobiety

POWIEŚĆ



INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA

00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

Spółka Wydawnicza Polska w Krakowie

1903.



DRUKARNIA »CZASU« W KRAKOWIE.

3766
<http://rcin.org.pl>

Zerwał się z krzesła wujaszek, a podnosząc groźnie rękę do góry, zawołał:

— Otóż temat, o którym chcę mówić dzisiaj. Cała literatura powieściowa popełniała dotąd ten błąd, że dwoje ludzi, którzy mieli przeżyć z sobą całe życie, prowadziła tylko do stopni ołtarza. Tu się kończyło jej zadanie. Co się z tymi ludźmi po ślubie stanie, czy będą tak szczęśliwi jak im autor na ostatniej kartce przyobiecał, czy idąc wreszcie do ślubu, wzięli z sobą warunki szczęścia poślubnego?... o to nie troszczy się książka... A dzieje się, że para ludzi, przeprowadzonych w powieści według wszelkich warunków sztuki i psychologii, rozbiega się zaraz po ślubie w przeciwne strony, jak rozpadają się wyprowadzone do stropu ściany budynku, jeżeli na nich nie położysz odrazu powały i dachu. *(Ustęp z niniejszej powieści).*

I.

Po śmierci matki mojej miałam pojechać do wuja, który był moim opiekunem. Wuj mieszkał o kilkadziesiąt mil od nas. Mało znałam go dotąd. Ważne zatrudnienia i prace, jak w listach swoich utrzymywał, nie pozwalały mu opuszczać miejsca pobytu. Znałam go tylko z długich listów jego, które matce mojej co miesiąc nasyłał. Listów tych wprawdzie nie czytałam, patrzałam tylko zdaleka na te duże ćwiartki zapisanego papieru. Matka moja również nie udzielała mi ich treści; uśmiechała się tylko czasem, a kiedy była w dobrym humorze, widząc ciekawość w oczach moich, całowała mnie w czoło i mówiła:

— Wujaszek twój jest człowiekiem niezwyklej nauki, ale trochę przytem dziwaczny.

Tyle wiedziałam o moim wujaszku. Wiedziałam także, iż przed kilkoma laty sprzedał znaczny swój majątek i osiadł w mieście obwodowem. Do tego należała i ta wiadomość, że był bezdzielnym. Najmniej jednak mnie to obchodziło. Wiedziałam, że mam póság znaczny; byłam sierotą, a sierota przedewszystkiem ogląda się za sercem, któreby ją gościnnie przyjęło i zastąpiło choć część tego serca, co dla niej tu na ziemi już bić przestało.

Takie było moje usposobienie, gdy w towarzystwie starej piastunki zbliżyłam się do dworku wuja mego, którego jasno oświecone okna mrugały do mnie, jakby mnie oczekiwały. A gdy już byłam dosyć blisko, widziałam wyraźnie, jak się mnożyły światła w pokojach, jak ktoś tu i owdzie chodził ze świecą, słowem, cały dom był w jakimś ruchu niezwykłym.

— Mój Boże — pomyślałam sobie — jak mnie tutaj wyglądają! Ci krewni będą mnie kochać.

Wysiadłam z powozu i weszłam do sieni. Sień była ciemna. Macając wkoło siebie, potraçałam coś ręką. Nikt nie wyszedł na ten stuk. Pies tylko wylazł z kąta i zaczął warczyć. Zdziwiło i przestraszyło mnie to. Zaczęłam pukać na chybił trafił w pierwsze drzwi. Nikt się nie odezwał.

Jakieś złe przeczucie ogarnęło mą duszę. Pies coraz nieprzyjaźniej występował przeciw nam. Intrygowały go frenzle od mego szalu. Jedną za drugą począł obrywać i już sięgał do mojej podróźnej torebki, gdy klucz zardzewiały zaczął obracać się w zamku. Kilka minut trwał ten skrzyp przeraźliwy żelaza; wreszcie z łoskotem otworzyły się drzwi, stanął przedemną mężczyzna sześćdziesięcioletni, z zieloną umbrelką u czoła i nocną lampką w ręku. Wypatrzył się na mnie, jakby chciał pytać, kto jesteś i czego potrzebujesz? Uprzedziłam go i rzekłam:

— Jestem Helena, drogi wujaszku!

Chciałam rzucić mu się na szyję, ale cofnęłam się za próg i zaczęłam. Wuj przetarł tymczasem flegmatycznie

okulary, podkręcił lampkę, a zaświeciwszy mi w oczy, stał w zamyśleniu. Po chwili wyrzekł:

— Szkoda, wielka szkoda!

Po tych słowach znowu się zamyślił. Smutno mi się zrobiło. Poczułam łyzy w oczach. Czyż takie przyjęcie marzyła sobie biedna sierota? Czyż te jasno oświetlone okna nie były dla niej?...

Ocknął się wujaszek i znowu zawołał:

— Szkoda, wielka szkoda! Ha, cóż robić. Człowiek używa czasu swego jak może... Ale chodźże, chodź bliżej, lube dziecię moje! Pójdź, niech cię ucałuję!...

Nim do mnie twarz nachylił, puściły mi się łyzy z oczu i zaczęłam głośno szlochać. Serce moje ścisnęło się z bólu. Czułam w tej chwili, że nie mam matki.

Po pierwszych jednak pocałunkach lżej mi się zrobiło. Płacz mój rozczulił wujaszka i czułam drżenie jego ręki, gdy mnie do siebie przycisnął. Rzuciłam mu się więc na szyję i okryłam twarz jego tak gorącymi pocałunkami, jak tylko gorąco można całować mając lat ośmnaście...

— Zaczekaj dziecię... moje okulary... lampka pochyla się... Azor leżeć! Justysiu! Justysiu!... Dla Boga!... tylko daj odetchnąć!... — wołał biedny wujaszek w moich objęciach spazmatycznych.

Jeden tylko Azor usłuchał go. Ze sporym kawałkiem szalu mego odszedł do swego kąta, anektując tę świeżą zdobycz do licznych szmat swego legowiska. Za chwilę otworzyły się drzwi boczne. Z taką samą lampką w rękę i taką samą umbrelką u czoła, wyszła podeszłego wieku kobieta.

Zdaje mi się, że jeżeli choć trochę znała mitologię, powinna była widzieć w mężu swoim starego Kronosa, porywającego młodość. Tak bowiem wyglądałam zawieszona na szyi wujaszka. Anachronizmem mogły być tylko okulary i torebka moja podróżna.

Nie wiem czy wujenka moja o czemś podobnem myślała w tej chwili. Stała zdziwiona i zdawało się, że jeszcze

myśli swoich nie pozbierała. Sędziwa jej fizygnomia wyglądała jak biała karta papieru, na której mógł się zarysować uśmiech radości, albo zmarszczek nieukontentowania...

Po niejakej chwili pojawił się wreszcie uśmiech łagodny koło jej ust sędziwych. Postawiła szybko lampkę na stołku i przybiegła do nas. Pochwyciła mnie za rękę, oderwała od szyi męża i z wykrzykiem: Helenka! przyciągnęła mnie do siebie.

Splakałam się cała i zapomniałam zupełnie o ciemności sieni, o niegodziwym Azorku i flegmatycznym wujaszku. Koło serca zrobiło mi się ciepło. Pochwyciłam wujenkę i wujaszka za rękę i zawołałam:

— Sierotę przekroczyłam próg domu tego — za progiem przestałam nią być!

Wujaszek patrzył znowu na mnie czas jakiś z uwagą. Żadnego rozczulenia nie było na jego twarzy. Przeciwnie, czoło jego pofałdowało się, jakby w tej chwili zajęty był jakimiś myślami. Ale wnet przyszedł do siebie. Twarz jego sędziwa przybrała wyraz słodki. Uśmiechnął się i przez łyżkę rzekł do mnie:

— Uspokój się, drogie dziecię moje! Duch matki twojej jest w tym domu. On wraz z nami zawsze czuwać będzie nad tobą.

Rzekłszy to, pocałował mnie w czoło. Na licach moich uczułam łzę gorącą, która z oka jego spłynęła. Wujenka przycisnęła mnie także do siebie. Nic do mnie nie rzekła, ale czułam, że w swojej piersi płacz tłumiała.

— Pójdźże bliżej, moje dziecię — ozwał się wujaszek — tylko idź ostrożnie, bo tu niebardzo jasno. Wprawdzie odebraliśmy wczoraj list twój, ale jakoś przy zatrudnieniu zapomniało się o tem... Widzisz Justysiu, żem miał rację przy obiedzie. Wyraźnie mówiłem do ciebie, żem coś zapomniał, a tyś mi tego nie przypomniała. Twoja w tem wina, jeśli Helencia nie znajdzie dzisiaj tego, czego się u wujostwa słusznie spodziewała.

Wujenka na to nic nie odpowiedziała, tylko rażno postąpiła kilka kroków naprzód, a wyprzedziwszy nas, szła ze swoją lampką przed nami. Wyraz jednak jej twarzy okazywał, że nam gotuje jakąś niespodziankę.

I w samej rzeczy, była to niespodzianka nielada. Przeszedłszy bowiem szereg pokoi, weszliśmy przez szklane drzwi do bardzo pięknego saloniku, w którym na mahoniowym stoliczku paliły się dwie woskowe świece w srebrnym kandelabrze. Ze wszystkich sprzętów i sprzączków, jakie zapłakanem okiem mojem obaczyć mogłam, poznałam, że miało to być mój buduarzyk. Do niego przypierała mała alkowa, przeznaczona prawdopodobnie na sypialnię. Chciałam właśnie na podziękę tej troskliwości dla mnie rzucić się w objęcia wuja i już ku niemu ręce otworzyłam, gdy znowu spotkałam się na jego twarzy z tem dziwnem, chłodnem zamysleniem. Patrzył na mnie dużemi swemi, wypukłemi oczami i smutno mruzczał półcichym głosem:

— Szkoda, wielka szkoda!...

Nie chciałam przerywać mu rozmowy, którą prowadził z myślami swemi. Zresztą byłam tak silnie wzruszoną całym mojem nowem położeniem, że słowa wujaszka nie miały dla mnie tego znaczenia, jakie mieć mogły innym razem, przy swobodniejszym usposobieniu. I nie było nawet czasu zastanawiać się nad niemi; szybko bowiem ocknął się wujaszek, podgarnął ręką włosy do góry i rzekł:

— Ależ my pięknie się tutaj sprawujemy, Justysiu. Pokazujemy dziecku ładne cacka, podczas kiedy ono głodne... A, zapomniałem na wieki! Od rana łamałem sobie głowę i wyraźnie podczas obiadu mówiłem ci... a nawet prosiłem, abyś mi koniecznie przypomniła; ale jakby na złość, nikt w domu nie umiał mi przypomnieć!...

— Nie turbuj się, Nikciu — odparła z uśmiechem wujenka — wszystko jest, jak być powinno. Przywitania tylko należytego nie było. Ale Azorek za karę jutro śniadania nie dostanie.

— Jaktó — zawołał wujaszek — prostując się do godności pana domu, jaktó, toś pani wiedziała o czem ja zapomniałem, a nie powiedziałaś mi tego?

— Wiedziałam doskonale — odparła wesoło wujenka — ale chciałam pana wypróbować, czy rzeczywiście zapomniawsz, czy tylko tak udajesz. Od niejakięo czasu bowiem mam pana w podejrzeniu, że odgrywasz przedemną pewną rolę.

Byłam przygotowaną na jakąś niemiłą scenę domową, jaka się często wydarza w kłótliwem małżeństwie. Postawa wujenki była wprost wyzywającą. Wujaszek podniósł w górę głowę wraz z zieloną umbrelką i groźnie wyczekiwał ostatniego słowa. Na chudych rękach widocznie naprężyły się żyły, jakby w alteracyi jakiej. Ale zamiast spodziewanego wybuchu podjazdowej wojny domowej, zaiskrzyły się oczy jego radością. Wyciągnął chudą rękę pó pulchne ramię wujenki i rzekł:

— Toś mnie pani studyowała!?

— A nieinaczej — odparła żywo wujenka. — Myślałam sobie: zaczekam do wieczora. Jeżeli do tego czasu nic nie powie, to uwierzę, że w samej rzeczy zapomniawsz. Wtedy miałam z hałasem wpaść do ciebie i niby przypomnieć ci przyjazd Helenci. Jaki to byłby kłopot z twojej strony!... Ale rychlejsze przybycie Helenci popsuło mi szyki. Nim szarada wymówioną została, przeczytano rozwiązanie.

— Jak się stało, tak się stało — odpowiedział na to wujaszek — ale cieszę się z tego niewymownie, że kobiety wreszcie psychologią zajmować się zaczynają. W psychologii są prawdy, które gdyby uznały, uchroniłyby się od wielu błędów, a nawet nieszczęść, które potem jako żelazna konsekwencya nachodzą ich losy...

— Już herbata gotowa — przerwała wujenka i ściągnęła ze mnie szal, kapelusz, a nawet rękawiczki.

— Dobrze, chodźmy do herbaty — mruknał półgłosem wujaszek. — Nie pierwszy to raz i nie ostatni proza życia przerywa nam piękne chwile ducha.

II.

Takie było pierwsze zbliżenie się moje do wujostwa. Po długiej wieczornej rozmowie, która odnosiła się najmniej do rzeczy familijnych, udałam się wreszcie do mojej alkowy na spoczynek. Zrazu myślałam, że w samotności będę mogła rozmyślać nad tem wszystkim, co mnie dzisiaj w tem nowem miejscu spotkało. Omyliła mnie jednak nadzieja. Za ledwie głowę na poduszce położyłam, zamknęły się powieki moje i zasnęłam.

Mówią, że sny pierwszej nocy na obcym miejscu przespanej, mają pewne znaczenie. Toż otworzywszy oczy zrana, zaczęłam prędko przypominać sobie sen dzisiejszy. I powoli, powoli, z pojedynczych ułamków pozostałych w mojej pamięci, ułożyłam cały mój sen szczególny.

Śnił mi się rozległy ogród, którego środek przerywała szeroka ulica. Ulica ta przecięta była i zastawiona dwiema poręczami, w równej prawie od siebie odległości. Na całej ulicy roiło się mnóstwo kobiet. Niektóre były młodziutkie i miały kwiaty na głowach. Biegały one wesoło i szybko aż do pierwszej baryery. Przytem było pełno śmiechu i różnej psoty. Doszedłszy do baryery, stały pełne oczekiwania. Od czasu do czasu otwierała się baryera i jedna lub kilka razem wchodziły do drugiego oddziału. Tu już panował większy statek. Szły powoli i z powagą. Niektóre z nich zmęczyły się i wypoczywały na bocznych kanapkach. Dalej była znowu baryera, ale do tej baryery nie zbliżano się tak skwapliwie. Stawano po drodze, aby dłużej w tym oddziale pozostać. Za tą baryerą bowiem ostatnią nie było wielkiej ponęty. Było i tam wprawdzie liczne towarzystwo, ale wszystko w bogatych futrach, z ogromnymi zarekawkami. Jedne damy prowadziły małych piesków na sznurku, inne miały długie paciorki z krzyżem za pasem, a w torebce karty do pasyansa.

Mimo wielkiego porządku, jaki w tem trojakiem towarzystwie panował, były jednak pojedyncze kobiety, dla któ-

rych nie istniały żadne baryery ani szranki. Z kwiatami na głowie, z wesołą piosnką, z twarzą zarumienioną od gorąca albo od różu, biegały ustawicznie po całej ulicy, przeskakując zręcznie postawione zapory. Często nawet od ostatniej baryery wracały do pierwszej i w gronie młodziutkich panienek płażały rozkosznie, jak bachantki, poowijane fantastycznie kwiatami. Widok tych wiecznie wesołych kobiet uczynił na mnie przykre wrażenie.

Taki był mój pierwszy sen, a gdy nad nim nieco pomyślałam, odgadłam mniej więcej jego znaczenie. Mimo to, zaraz przy rannej herbacie, opowiedziałam to wszystko wujostwu, ze wszelkimi szczegółami.

Wuj słuchał mego opowiadania z wielką uwagą. Zainteresowało go to nad moje spodziewanie. Kazał więc powtórzyć sobie jeszcze kilka szczegółów, pomyślał nad tem chwilę, a potem zapytał:

— Czy nie widziałaś kiedy podobnego obrazu?

— O ile sobie przypominam, nigdy — odpowiedziałam zdziwiona.

Wuj na to nic nie odrzekł, tylko spokojnie zaczął okulary swoje przecierać. Po chwili wstał i odszedł do swego pokoju. Długi czas nie było go widać. Wreszcie ukazał się we drzwiach z miną tryumfującą. Zielona umbrelka wyszła mu aż na czubek głowy i z pewnem szyderstwem patrzała na mnie z wysokości swojej.

Zbliżył się do stołu, położył przedemną małą fotografię i z uśmiechem zaczął się we mnie wpatrywać.

Splonęłam cała, bo na fotografii obaczyłam cały mój sen, ze wszelkimi szczegółami.

— A widzisz, aniołku — rzekł do mnie wujaszek — jaki to ze mnie czarnoksiężnik. W oka mgnieniu odrysowałam i odfotografowałam to, co się tobie śniło. Patrzaj i szukaj tu siebie. Stoisz właśnie przy pierwszej baryerze. Czekasz niecierpliwie, póki ta fatalna baryera nie otworzy się, to jest, póki zamąż nie pójdziesz.

Jeszcze bardziej zapłoniłam się i już nie wiedziałam jak tu wybrnąć z tego labiryntu. Wtem nagle przypomniałam sobie, że ani ja nie jestem jasnowidzącą, ani wujaszek czarnoksiężnikiem. Będąc bowiem małą jeszcze dziewczynką, byłam z matką zdaje mi się w Brukselii i tam ten obraz w dużych rozmiarach widziałam w pracowni owego słynnego fantasty-malarza Wirza. Przypomniałam sobie wyraźnie, jakie okropne ten obraz, wraz z drugim przedstawiającym człowieka wydobywającego się z trumny, wrażenie na mnie wywarł. Kilka nocy lękałam się oka zmrużyć, bo zaraz to wszystko stawało mi przed oczyma. W późniejszych latach zagasło to do szczętu w mojej pamięci. Teraz dopiero we śnie odsłoniło się wszystko ponownie.

Opowiedziałam to wujostwu i widać było, że uwierzyli w szczerść mego opowiadania. Wuj osobliwie długo i szeroko zaczął nad snami rozwodzić się, utrzymując, że najczęściej reprodukują one tylko rzeczy widziane, lub mieszają jedno z drugim w ten sposób, że rzeczy zmieszane bierzemy wprost za nowe.

— Dziwnem jest tylko — kończył swoje uwagi — że właśnie ta reminiscencya nasza cię dzisiejszej nocy. W tem jest coś więcej, niżeli prosta reprodukcya rzeczy zapomnianych. Jest to wskazówka i oraz przestroga... Obraz Wirza, przedstawiający życie kobiety! To myśl nielada!... Czy widziałś dobrze te wesołe kobiety, z wiecznymi kwiatami na głowie, z okiem zalotnie uśmiechniętem?... Dla nich niema w tym obrazie żadnych granic, ani granicy obowiązku, ani granicy starości. Czuć to wyraźnie, choć na obrazie stoją na jednym miejscu...

Nie wiem dlaczego, ale spłonęłam trochę przy tych słowach wuja. Podniosłam nieśmiało oczy, aby się na niego patrzyć, co za wrażenie uczyniło na nim to moje niestosowne zmieszanie się. Spozrzegłam, że wujaszek wcale na mnie nie patrzył w tej chwili. Ustawiał na stole noże i grabki w różnej odległości, i zdawało się, że myślał ciągle o śnie moim.

Wreszcie zwrócił oczy na mnie. Widziałam, że jakby coś bolesnego przemkło po jego twarzy. Potem, wstając od stołu, pocałował mnie w czoło i mruknął znowu:

— Szkoda, wielka szkoda!... Gdyby tylko o kilka lat był starszy!...

— O kim kochany wujaszek mówi? — zdobyłam się wreszcie na zapytanie.

Snadź wujaszek nie spodziewał się tego zapytania, bo stanął przedemną z miną studenta, który nagle pierwsze słowo lekcji zapomniał. Zdawało się, że się zamyśla, że coś waży w głowie. Po chwili jednak machnął ręką i rzekł:

— O kim mówię, pytasz? ten ktoś jest wielkie nic dobrego. Teraz jeszcze musi to być tajemnicą dla ciebie.

Mówiąc to, wziął mnie za rękę i z żartobliwymi gestami wyprowadził do mego buduarzyku. Tam rzekł mi:

— Tu, moja panno, kończy się twoja ciekawość. Gdy człowiek na obce miejsce przyjedzie, ścieśnia się w sobie i podobny jest do zasuszonego owocu. Potrzebuje w cieple być długo, aby się znowu rozszerzyć i napęcznić. Rozszerzaj się tutaj w imię Boże i staraj się cały dom nasz zająć sobą. Dla mnie wystarczy mały kącik, a dla Justysi komórka i lampka na wieczór.

Rzekłszy to, wujaszek pocałował mnie w czoło i zamknął drzwi za sobą.

Widząc się samą w buduarze moim, usiadłam na sofce i zamyśliłam się. Dom mego wujaszka wydał mi się bardzo przyjacielski dla mnie. Widziałam i czułam, że mnie kochano. Obawiałam się jednak, czy z tego wielkiego kochania nie wyniknie dla mnie jakie nieszczęście, lub przynajmniej ambaras niepotrzebny. Kto jest ten ktoś, o którym napomknął niebaczny wujaszek? Czy kochany opiekun nie rozrządził już naprzód moją ręką, forytując jakiego biednego kuzynka, co nie znając mnie wcale, poddał się z góry wyrokowi wujaszka, któremu może lepiej odemnie wiadomą była cyfra posagu? Któż jest ten zacny młodzieniec, który

prawdopodobnie robi już jakieś długi na konto mego posagu, przyobiecane mu z dodatkiem ręki mojej przez szanownego opiekuna? A może już po jarmarkach rozpowiada sąsiadom i faktorom o blizkiem połączeniu się ze mną węzłem zaprzysiężonej przyjaźni.

Mój Boże! Wszystko com kiedy podobnego w książkach przeczytała, stawało mi w tej chwili przed oczyma, a żywa wyobraźnia moja tworzyła tyle scen dramatycznych, że musiałam wstać i kilka razy przejść się po pokoju. Świeże powietrze z okna owiało moje skronie, a wraz z pewnem orzeźwieniem przysłała mi do głowy myśl pocieszająca:

— Wszak wujaszek mówił mi wyraźnie, że jest o kilka lat młodszy odemnie. W takim razie, to niema wielkiego niebezpieczeństwa.

I uspokoiłam się nieco tą myślą. Odtrąciwszy wreszcie to wszystko, co do słów wujaszka dodała rozogniona moja wyobraźnia, nie widziałam bynajmniej potrzeby zatrzymywać się dłużej przy tych, na wiatr może wymówionych, słowach, a przypomniawszy sobie trafne porównywanie wujaszka o zasuszonym owocu i człowieku w obcym miejscu, postanowiłam rozszerzyć się, jak tylko na to ściany moich apartamentów pozwalały. I wzięwszy słowa wujaszka w znaczeniu prozaicznym, zawołałam na piastunkę i kazałam jej wszystkie rzeczy z kufrów moich wypakować.

Rozszerzałam się więc jak daleko sięgały kąty mego buduaru i mojej alkowy. Wszystkie szafy i komody, półki i etażerki napełniały się należytościami mojej istoty. Nawet kilka ulubionych obrazków swoich kazałam na ścianie porozwieszać. Najrozmaitsze graciki, pamiątki kilkunastu moich imiennin i tyłuż urodzin, stanęły w chronologicznym porządku na biurku i etażerce. W końcu rozwinęła stara piastunka najulubieńszy mebel mego buduaru. Była to staluga z mahoniowego drzewa. Uczyłam się bowiem malować i codzień lubiłam tej rozrywce poświęcać kilka chwil przynajmniej. Na ostatek z osobnej paki wyszli znakomitsi kompozytorowie

Europy i nie już chronologicznie, jak te porcelanowe graczki, ale według rangi, jaką zajmowali w duszy mojej, rozłożyli się na fortepianie.

Tym sposobem rozszerzyłam się u wujostwa jak tylko mogłam, w dosłownem tego wyrazu znaczeniu. Nie byłam już owym wciągniętym w siebie owocem zasuszonym. Zacząwszy od małej srebrnej kropielniczki u drzwi wchodowych, aż do misternie rzeźbionego z kości słoniowej Chrystusa na stoliku przy łóżku mojem w alkwie, całą przestrzeń tych dwóch pokoi zajmowałam sobą.

I jakoś swobodniej zrobiło mi się w tej nowej dla mnie atmosferze. Usiadłam zmęczona na fotelu. Miałam spokój w duszy, jak wędrowiec na puszczy arabskiej, gdy legnie w chłodnej zacięni oazy. Rzuciłam okiem dokoła i zadowolona byłam z porządku jaki mnie wszędzie otaczał. Śród pracy zagubiłam gdzieś ową myśl niepokojącą, która mnie po herbacie rannej tak nielitościwie trapiła. Przestałam zupełnie myśleć o tym kimś, który... wielka szkoda!... był odemnie o kilka lat młodszym.

W tem rozkoszowaniu się swobody i spokoju, po kilkugodzinnem zajęciu, zapukał ktoś z lekka do drzwi. Prosiłam wejść. Był to mój wujaszek, z nieuniknioną swoją umbrelką zieloną. Postąpił kilka kroków naprzód i z wielką uwagą zaczął dokoła oglądać się. Po chwili zwrócił się do mnie i rzekł:

— Tak systematycznego porządku nie spodziewałem się znaleźć u panny ośmnastoletniej, która na obrazie Wirza stoi tuż przed pierwszą baryerą. Myślałem, że zastanę stopy sukien i bielizny, w poetycznym nieporządku. Jest to z jednej strony niedobry prognostyk dla ślepego organisty, który za *veni creator* spodziewa się znacznego honorarium; ale z drugiej zaś strony jest rękojmnią, że głowa z sercem pójdą w parze.

Rzuciłam się mu na szyję, aby go zmusić do wytłumaczenia mi tego wszystkiego, co jeszcze dla mnie nie było

bardzo zrozumiałem. Wujaszek jednak zgrabnie wywinął się z moich objęć i za drzwi się wymknął. Potem odchylił napowrót trochę drzwi i rzekł przez szparę:

— Muszę pójść do drugiego mego lokatora.

Nim na to odpowiedzieć mogłam, zatrzasnął drzwi od buduaru i z głośnym śmiechem przeszedł prędko przez pokój wchodowy.

III.

Znowu miałam coś do myślenia. Ów »lokator drugi« zamącił mi odzyskany przed chwilą spokój duszy. Miałżeby w istocie kochany wujaszek gotować dla mnie niespodziankę? I cóżby to była za niespodzianka?...

Długo biedziłam się z myślami memi. Przypomniałam sobie wprawdzie, że matka moja często nazywała wuja dziwakiem, a właśnie tego dziwactwa obawiałam się najbardziej. Nic nie może gorzej dotknąć człowieka, jak źle rozumiana przysługa. Drżałam na myśl podobnej przysługi ze strony poczciwego wujaszka.

Ale w porę przysły mi do głowy słowa wujaszka o rozszerzaniu się człowieka w nowej jego pozycji. Rozszerzyłam się dotąd w granicach moich apartamentów, w dosłownem znaczeniu wyrazu; została mi jeszcze do wypełnienia moralna strona tego frazesu. Przekroczyłam więc próg buduaru i zaczęłam dalej zapuszczać zagony moje.

Weszłam do jadalnego pokoju, gdzieśmy herbatę pili. Oglądnęłam wszystkie kąty; przypatrzyłam się kopersztychom na ścianie; pogłaskałam kukułkę na staroświeckim zegarze; zaznajomiłam się ze wszystkimi sprzętami, a nawet z Azorkiem, który tymczasem wszedł do pokoju, zawarłam sojusz na wszelkie wypadki. Nic jednak nie odkryłam, coby mnie na tor owego »drugiego lokatora« wprowadzić mogło.

Przeszłam więc do tak zwanego salonu. Wujenka czatowała widocznie na mnie w przybocznym pokoju, bo zale-

dwie drzwi od salonu skrzypnęły, wypadła do mnie i zaczęła mnie całować.

— Dobrze, że już raz wychodzisz do nas — rzekła do mnie — byłam niespokojną o ciebie. Zadługo bawiłaś u siebie, a mąż mój prosił mnie, abym tobie nie przeszkadzała. Myślałam, że sama masz w tem jaki interes.

— Wiem o cò wujaszкови chodziło — odpowiedziałam z uśmiechem; — chciał, jak się wyraża, studyować mnie. Zostawił mnie w uporządkowaniu mego buduaru samej sobie, aby potem z ładu, jaki tam zaprowadziłam, wnieść o moim charakterze i usposobieniu.

— Odgadłaś. Niezawodnie.

— I wie wujenka, co mi z tego wszystkiego wyprorokował kochany wujaszek?

— Nie domyślałam się wcale... zapewne coś pociesznego.

— Oto, że albo zostanę starą panną... albo...

— Albo...

— Albo, że pójdę za mąż nadzwyczaj rozsądnie.

— Drugie prawdopodobniejsze, kochana Helciu — odpowiedziała po chwili wujenka, kiwając palcem na Azorka.

Mimowolnie poczułam łyzy w oczach. Zdawało mi się, że mi odmawiano serca, a jam właśnie myślała, że mam go daleko więcej niż potrzeba... Otarłam jednak szybko łyzy i odrzekłam:

— Rozsądku potrzeba sierocie, bo sierota powinna go mieć za siebie i za rodziców swoich.

— Niedobre, rozpieszczone dziecię! — żywo przerwała mi wujenka. — Czyż na nasz rozsądek nic nie liczysz? czyż nie chcesz abyśmy zastąpili ci rodziców?

Wspomnienie rodziców pobudza mnie zawsze do łez. Przytuliłam więc twarz do piersi wujenki i zaczęłam płakać. Godna matrona uwzględniła mój żal za tymi, którzy mi byli wszystkim na ziemi, i nie przerywała płaczu mego. Przyłożyła tylko rękę do głowy mojej i przycisnęła mnie do siebie... Po chwili otarłam łyzy i rzekłam:

— Rozsądek kochanego wujostwa, a rozsądek matki, to są dwie wcale różne rzeczy. Matka, przy rozsądku, ma oprócz tego pewien instynkt czy przecucie, które ją ostrzega, że zwykły rozsądek może w przyszłości przynieść jakie nie-szczęście dla jej dziecka... A tak przecuć tylko matka może.

— Masz zupełną słuszność — odparła wujenka — że rozsądek sam często nie wystarczy. Potrzeba do tego pewnego przecucia, a przecucie w takim razie należy zupełnie do ciebie.

— Przecucie to jednak można wczesnymi zabiegami uśpić — rzekłam, zmierzając tajemnie do mojej zagadki.

— A któżby poważił się wyrządzić ci podobną krzywdę?... szybko wtrąciła wujenka.

— Mogłoby się to stać z najlepszej chęci kochanego wujostwa.

— Jak ty to rozumiesz, moja kochana Helciu?

Wzięłam wujenkę za obie ręce i z uwagą spojrzałam w jej oczy. Były one szczerze i pocziwe.

— Gdyby naprzykład — rzekłam powoli — kochany wujaszek chciał, z wielkiej troskliwości swojej, wybrać mi naprzód kogoś, któryby potem dla formy tylko, miał starać się o rękę moją...

Nie dała mi dokończyć wujenka. Zarzuciła obie ręce na moją szyję, a całując mnie mówiła:

— O ty biedna, spłoszona, bez gniazda rodzinnego, gołębico moja! Jako sierota, podejrzysz świat cały. Wyobraźnia twoja rozdrażniona, wystawia ci opiekuna w zwykłym znaczeniu tego słowa. Jest to u ciebie tyran, który, jak rzeczą jaką, szafuje biedną sierotą... Ale tu w tym domu nie lękaj się niczego. Nikogo nie wybrano ci naprzód, ani nawet mowy o tem nie było. Zresztą w całej okolicy nie znalazłby się nikt taki, o którymby coś podobnego pomyśleć można było. Bądź tedy spokojna.

Słowa te, wymówione szczerze i z wielką otwartością, uspokoily mnie. Nie wspominałam już nic o tym »dru-

gim lokatorze», bom się jakoś sama siebie wstydziła. Dążyłam jednak różnemi zapytaniami i do tej tajemnicy. Dobroć i szczerść wujenki były mi pewną rękojmią, że nic przedemną nie zatai.

Chodząc więc po salonie, przypatrywałam się meblom i obrazom rozwieszonym na ścianie. Meble nie były wcale modne, ale ciężkością swoją i rzeźbą wyłaczaną przypominały mi dawną świetną ich ojczyznę, jaką prawdopodobnie był zamek, lub przynajmniej pałac wojewódzki. Mieszkańce dawnych, wysokich, a może murowanych sal, wyglądały dziwnie we dworku przedmiejskim. Duży stół, wykładany hebanem, wsparty na złożonych łapach tygrysich, dumiał smutno o czasach minionych, a nawet ścierpła mu jedna noga od kilkowiekowego stania, bo ją podniósł do góry i mimo wszelkich nowoczesnych lekarstw, nie spuścił jej na dół...

Przy nim stało jedno duże, skórą złożoną wybite krzesło, z wysoką poręczą. Takie krzesło było tylko jedno w całym salonie, a nawet w całym domu, bo jeden był tylko pan... Zapewne sam wojewoda siadywał niegdyś na nim, a niewiedzieć czyby go nawet królowi ustąpił, gdyby król pod jego dach zagościł!... Wojewodzinę nazywał wprawdzie »królowną«, ale królowna siedziała przy nim na krześle daleko niższem, na jakimś śmiertelni ludzie siadywać zwykli. A ten zegar z kurantami na kominku! Prawdziwe arcydzieło sztuki zegarmistrzowskiej! Teraz spoczywa indeks, i mimo wszelkich starań generacyi dzisiejszej, nie słyszano dotąd owego cudnego »Alleluja«, które niegdyś o rannej godzinie zawsze wygrywał.

Na ścianach wisiały portrety antenatów. Po jednej stronie mężczyźni, po drugiej kobiety. Mężczyźni po największej części byli w zbrojach, a niektórzy nawet z mniejszą buławą w ręku. Kobiety miały po dwa portrety. Na jednych wyglądały młodo, pięknie i niby zalotnie nieco; na drugich były blade i miały na głowie strój zakonniczy. Twarze ich jednak były jeszcze młode i po większej części nawet ładne.

Nie miałam czasu przypatrywać się bliżej wszystkim obrazom; dążyłam bowiem skrycie do owego »drugiego lokatora«. Zrobiwszy więc pobieżną, że tak powiem, generalną znajomość z całym towarzystwem salonu, wzięłam wujenkę pod ramię, by dalszy ciąg pokoi obejrzeć.

Niewiele już tego było. Dwa czy trzy pokoiki mniejsze, duży pokój dla służby podręcznej, składającej się dzisiaj z jednego Stefana, i kilka przepierzeń na składy różnych gratów. W tyle jednak za tak zwanym kredensem, czyli rezydencją Stefana, był mały, wązki korytarzyk, na którym właśnie spotkaliśmy owego reprezentanta służby dworskiej, chodzącego z uwagą na palcach, aby stuku nie robić. Rozciekawiono mnie to i zapytałam:

— A to ten korytarzyk?

— Korytarzyk ten — odpowiedziała cichym głosem wujenka — prowadzi do gabinetu mego męża, w którym czytuje książki i zajęty jest pracą.

Zdawało mi się, że przy tych słowach spostrzegłam na twarzy wujenki pewien wyraz, który nie pozwalał mi dalej badać. Zapytałam tylko w ogóle, czy oprócz mnie niema w tym dworku jakiego »drugiego lokatora«. Byłam wielce ciekawą odpowiedzi. Patrzyłam z uwagą w twarz wujenki. Ale twarz jej była zupełnie spokojną, gdy mi odpowiadała, że prócz mnie niema w tym domu żadnego innego obcego mieszkańca.

Uspokojona tem, wróciłam z wujenką do moich pokoi. Już mi daleko swobodniej teraz było. Uczułam prawdę słów wujaszka, że przy rozszerzeniu się człowieka, jakoś lżej i cieplej w nowem jego miejscu. Nie byłam już obcą w całym domu. Znałam wszystkie prawie komnaty, zaznajomiłam się ze sprzętami i portretami, i moralnie rozprzestrzeniłam się w tym dworku przedmiejskim.

Z właściwą mi swobodą i spokojem oprowadzałam wujenkę po moim buduarzyku i alkwie, i byłam ciceronem przy wszystkich moich pamiątkach i różnych gracikach. Tam

wszystko miało własną swoją historię. Wujenka słuchała łaskawie mego opowiadania. Wreszcie usiadłyśmy na kozetce i zaczęłyśmy rozmowę o różnych rzeczach.

Po krótkiej przerwie, zwróciła się do mnie wujenka i zapytała:

— Czy czytałaś wiele książek, Helciu?

— O bardzo wiele! -- odpowiedziałam -- a prawie wszystkie nowsze polskie książki. Rozumie się te, które odpowiadały memu wiekowi i wykształceniu.

— A masz ty jakie pojęcie o miłości kobiety? — po chwili ozwała się znowu.

Spojrzałam nieśmiało w oczy wujenki, pomilczałam trochę i odrzekłam:

— Mam jakieś ciemne, niejasne wyobrażenie o niej.

W tej chwili stuknęło coś koło drzwi, a w nieodmknętej szparze pojawiła się zielona umbrelka wujaszka, wraz z dobrotliwym jego uśmiechem. Mrugnął na mnie i zawołał:

— Tej księgi życia nie znasz wcale, dziecko moje! Dopiero przedmowę wyczytałaś, a nic więcej. Wszystko co dzisiejsze książki piszą, to tylko przedmowa... Chodźcie teraz do obiadu!

IV.

Takie urywane sceny i rozmowy zapełniły kilka pierwszych dni mojego pobytu w tym dworku przedmiejskim. Powoli oswajałam się z nowym moim losem. Przeszawiałam meble, porządkowałam na nowo graciki pamiątkowe, rozmawiałam z blademi twarzami w stroju zakonnym na portretach, głaskałam Azorka, który ze mną zawarł zupełne przy mierze, nie oddawszy mi jednak owego kawałka szalu, który zaanektował ze szmatami swego legowiska w sposób tak dra pieżny, słowem, byłam we dworku jakby we własnym domu. Wszędzie było mnie pełno, w każdym kącie, w każdym zakamarku. I słusznie powiedział wujaszek: zajęłam rzeczywi-

ście cały dworek, od strychu aż do piwnicy, w bezsprzeczne posiadanie.

Po kilku dniach zapragnęłam więcej. Do tylnych drzwi dworku przytykał mały ogródek, z którego można było widzieć dwie ulice przedmiejskie, poza nimi dachy i kominy miasta, a ponad tem wszystkim królującą wieżę kościołka, z cegły czerwonej. Ze wszystkim tem, dokąd moje oko sięgało, chciałam się poznać, czyli, jak się wyrażał wujaszek, rozszerzyć się.

Czwarty więc dzień poświęciłam na to. Wyszłam sama do ogródka. Obrałam sobie najwyższy punkt, który tworzyło jakieś rumowisko, prawdopodobnie zasypanej piwnicy. Bujne zielsko zarosło ten wzgórek, mogący służyć w botanicznym jakim ogrodzie za sztuczne wyobrażenie Karpat albo Beskidów naszych.

Był to dzień czerwcowy. Słońce przygrzewało mocno z czystego, jak szafir, nieba. Naokoło zieleniły się drzewa i trawy. Wesołe ptactwo uganiało się z gałęzi na gałęź i szczebiotało sobie coś tajemniczego do ucha.

Nie przypominam sobie, żeby mi kiedy było tak miło i swobodnie koło serca. Zdawało mi się, że z tem wonnem, orzeźwiającem powietrzem wciągam w siebie jakąś słodycz dotąd nieznaną... Nerwy moje przebiegał dreszcz rozkoszny, powoli spuszczał się aż do serca i budził tam jakieś dziwne, niby tęskne i smutne, a przecież nadzwyczaj słodkie uczucia...

Dworek mego wuja stał na przedmieściu miasta obwodowego, liczącego zaledwie kilkanaście tysięcy mieszkańców. Przedmieście takiego miasta składa się zwykle z samych biednych domków, w przeciwieństwie do stolicy, gdzie zwykle na przedmieściach sadowią się bogate wile bankierów i arystokracji. Nędzny więc i melancholijny był tu widok; dla artysty jednak obejmował skarby niewyczerpane. Starożytne, samorodnym stylem stawiane domki, o liniach nieregularnych, z mnóstwem przyczepek, zaścianków i daszków najrozmaitszego kształtu, wyglądały jak trzoda rozprószona po

zielonym, pagórkowatym ogrodzie. Zczerniałe od starości i pokrzyżowane parkany, opasywały ciemną wstążką te ubogie siedziby. Prawie każdy domek miał mały ogródek, w którym były i zagonki z jarzynami, i drzewa owocowe.

Z mego wyniosłego pagórka widziałam najprzód za dużym parkanem mały, ubogi domek, o dwu oknach. Nad jednym oknem była tablica, wyobrażająca duży stosowany kapelusz, nad drugim zawisły olbrzymie nożyce. Z pod kapelusza wychodził, otwartem oknem, jakiś dziwny skrzyp i szelest regularny. Był to prawdopodobnie głos warsztatu. W drugim oknie migał ustawicznie biały rękaw koszuli, a przytem rozlegał się śpiew pracującego krawca. Z drugiego domku, patrzącego z ukosa na pierwszy, rozlegał się jakiś huk przytłumiony. Był to krupiarz, jak z rozsypanej na płachcie tatarskiej wnosiłam. Trzeci i czwarty domek były nieme, ciche i głuche. Zdawało mi się, że nie miały już gospodarza. Zamilkły one w nędzy i osieroceniu.

Zato ku wschodowi, gdzie się przerzynały ulice, był gwarny i na oko dosyć schludny domek. Miał on tylko trzy okna na froncie, ale te miały obwódkę z szarego koloru, a ramy u okien były pomalowane na zielono. Domek ten stał pośród ogródka. Z jednej strony otaczały go stare drzewa owocowe. Na samym przodzie śliwki i czereśnie, dalej grusze i jabłonie, a w głębi rozpostarły się szeroko dwa stare orzechy i młodszą dziatwę zasłoniły od wiatrów północnych. Z drugiej strony były zagony z makiem, grochem i wysoką kukurydzą.

Przed domkiem, pod starym kasztanem, który jak żebrak-sierota stanął przy samych drzwiach, bawiły się dzieci różnego wieku. Jeden chłopczyk w płóciennej bluzie, o czerwonych policzkach, mógł mieć trzy lata, drugi w sukienym spencerku był dwa razy starszy, a trzeci, wzrostem prawie równy drugiemu, zakrawał na wiek stateczniejszy, bo miał wpływ na pierwszych bezsprzeczny. Do tego towarzystwa należą jeszcze dwie dziewczynki, między siódmym i ósmym

rokiem. Najstarsza, prawdopodobnie sąsiadka, miała około lat szesnastu.

Wszystko to tworzyło jeden malowniczy kłębek. Był on jednak tak ruchomy i tak różne co chwila przybierał kształty, tak szybko toczył się z miejsca na miejsce, że stawał się zupełnie podobny do malowniczego przedmiotu w kalejdoskopie. Długo patrzyłam na to młode, wiecznie ruchliwe życie, a w oczach moich mieszało się to wszystko w jakiś dziwnie fantastyczny obrazek. Do tego jeszcze dodać trzeba gwar ustawiczny, niewyraźny i zmacony, jak gwar w ulu, gdy rój ma w świat wylecieć. Najrozmaitsze tony mieszały się tam w jedną harmonię, w jeden głos, w jeden szum...

Nagle i niespodziewanie zmieniło się wszystko. Twardo zwity kłębek rozleciał się na kawałki różnobarwne, gwar wspólny rozbił się na tyle tonów pojedynczych, ile było ktrani przed domkiem.

Najprzód wybiegł co tchu do bramki parkanu ów chłopczyk w bluzie, za nim pogonił drugi, w sukiennym spencerze, mając tuż za sobą starszego brata. Kontyngens niewieści pozostał w tyle, spiesząc jednak także do bramki. Tylko sąsiadka szesnastoletnia zatrzymała się przed domkiem.

Powodem tego rozbitcia był jakiś młody człowiek, prawdopodobnie student. Mógł mieć lat około dziewiętnastu. W rękę miał książkę w sonej okładce.

Dzieci rzuciły się szturmem na niego. Chłopiec w bluzce odważnie chwycił go za nogę i owinął się, jak wąż, cały w koło niej. Starszy w spencerze wzięł drugą nogę w posiadanie, z dodatkiem jednej poły surduta granatowego. Trzeci złapał za rękę z książką, z takim natarczywym zapałem, że jedna kartka sonej okładki podleciała do góry i na krzywym parkanie zawisała. Dziewczęta nie były tak wprost zaborcze. Wzięły się tylko za ręce, a utworzywszy półkole, otoczyły przybyłego. Równocześnie ozwał się głos ze wszystkich młodych gardziołek:

— Wujcio! wujcio!



Więc i to wujaszek — rzekłam do siebie zcicha — trzeba mu się bliżej przypatrzeć.

Była to postać zwykłego studenta, jakich nieraz widywałam w stolicy wychodzących z akademii. Stosownie do swego, jak się zdawało, biednego stanu, był ubrany w surdut granatowy, a na głowie miał czarną czapkę o czterech rożkach, jaką zazwyczaj w tem mieście noszono. Twarz jego była dosyć ładna, choć trochę za rumiana. Włosy krótkie, czarne, nieco kędzierzawe, wznosiły się na skroniach do góry. Na twarzy miał słaby zarost, który więcej był podobny do mocnego ocieniowania. Postawa jego była zupełnie naturalna, swobodna, ale mimo to brakło jej oznak pewnego wykształcenia zewnętrznego. Jak to mówią, czuć było, że na szkolnych ławkach jeszcze siedzi i że mu dotąd obcy fotel w salonie.

Obwieszony ze wszystkich stron dziećmi, wyglądał podobny do posągu Laokoona, mordującego się z pierścieniami gadziny. Szamotał się w prawo i w lewo, próbował nawet odwrotu, ale wszystko nadaremnie! Pod taką wagą stanął jak wryty na miejscu i zdawało się, że przemysłowa nad planem wyswobodzenia się.

Po chwili prawą ręką, dotąd wolną, sięgnął do kieszeni surduta i dobył kilka czerwonych jagód. Rzucił je daleko od siebie, a w tej chwili odwinęła się od jego kolan i rąk cała obca masa i rozpierzchła się z krzykiem i wrzaskiem za rzuconą ponętą... Wujaszek uwolnił się.

Podobała mi się ta scena. Podeszłam bliżej tego domku, a oparłszy się o akację, patrzyłam przez sztachety ogrodu, jak to się dalej ten dramat rozwinie. I w samej rzeczy, nie był to koniec, com dotąd widziała.

Najmłodszy bluzak uczuł się skrzywdzonym w jagodach, a nastroiwszy wprzód gardło do najsmutniejszego płaczu, poszedł z nim we drzwi domku. Za chwilę wyprowadził stamtąd jakiegoś staruszka za rękę. Z pierwszego stąpięcia można było poznać, że staruszek jest ciemny. Szedł

tylko za ręką wnuka, a był patriarchą rodziny, jak się to z licznych głosów: »dziadzio! dziadzio!« okazało. Wujaszek zaś, zakłopotany nieco płaczem, postąpił do staruszka nieśmiało i w rękę go pocałował.

Ciemny staruszek obmacał głowę jego i rzekł:

— To ty Kaziu?... Cożeś to znowu rzucił między dzieci, że się popłakały?

— Kilka wisień, ojcie — odparł nieśmiało student.

— Mówiłem ci raz — ozwał się na to ojciec — że na takie drobne rzeczy nie trzeba biednym tracić pieniędzy. Dzieci obejdą się bez łakoci. Jeżeli dla wszystkich nie wystarczy, to tylko zwada i nieprzyjaźń stąd między nimi.

— Owoców nie kupowałem — wtrącił wujaszek — dostałem od kolegi.

— Biedny nie powinien nic brać od nikogo — mówił dalej nieubłagany Kato — bo to może wyglądać na jałmużnę. Jeżeli co zarobisz, to rzecz inna, ale darmo takich wystrzegaj się.

Biedny student milczał, z książką prawdopodobnie o filozofii pod pachą, chłopcy zaś zaczęli swoje pretensje dalej przed dziadkiem rozwijać, co się bez płaczu i krzyku nie obeszło. Ciemny dziadek medytował długo nad skargami wnuków, którym nie dostało się nawet po jednej wisience. Wreszcie po długich wywodach i żalach stanął kompromis między obżałowanym a stroną poszkodowaną. Oto wujaszek miał wyprawić dzieciom wspaniały koncert pogrzebowy, ze śpiewem i chorągwiemi. Była to ulubiona zabawa wszystkich dzieci tego przedmieścia.

Nie upłynęło i pół godziny, a z poza domku wyruszył koncert wspaniały. Wujaszek niósł na dużej tyce kraciatą chustkę i pierwszy zaintonował znany śpiew pogrzebowy Niemcewicza.

Za wujaszkiem szły dzieci, niosąc na drążkach stare jakieś gazety. Wszyscy śpiewali razem, i było nawet widać, że często tę pieśń śpiewają, głosy bowiem były dobrane

i dosyć harmonijne. Na twarzach ich jaśniało szczęście, choć role ich były smutne i poważne. W progu stał ciemny dziadek i dźwięcznym barytonem wtórował wnukom.

Najpocieszniejszą figurą w tym całym orszaku był poczciwy »wujaszek«. Sina książka jego, o filozofii, leżała na oknie domku, a wietrzyk czerwcowy odwracał jej kartki. On zaś, z twarzą poważną, prowadził kondukt pogrzebowy i tak był rolą swoją zajęty, jak najlepszy aktor na scenie. Młody bluzak szedł pierwszy za nim. Naśladował w każdym ruchu i w każdym zwrocie wujaszka. Wujaszek patrzył ukośnie na postępujący za nim orszak i kontent był z porządku i precyzji z jaką ten wykonywał za nim ów śpiew żałobny. Po chwili zwrócił się kondukt za kukurydzą i niebawem znikł w głębi ogrodu, po za krzakami młodych śliwek.

Szczególny ten widok utkwiał mi w duszy. Z początku wydał mi się komiczny. Osobliwie ten nieszczęśliwy wujaszek, z chorągwią kraciastą, na czele małych chłopców, był bardzo pocieszny. Mimo to było coś pięknego, wzruszającego w tym obrazku przedmiejskim. Harmonia i zgoda w rodzinie wystąpiła tu w przyjemnych kolorach. Gdy jednak obraz ten znikł mi z przed oczu, a słaby wietrzyk przynosił do mego ucha żałośnie tony owego śpiewu pogrzebowego, opanowało mnie tęskne, smutne uczucie. Odeszłam do domu. Bezmyślnie prawie siadłam do fortepianu i położyłam ręce na klawiszach.

Co grałam, nie wiem. Zdaje mi się jednak, że to była jakaś waryacya na temat tej pieśni pogrzebowej. A gdy po jakimś czasie oczy do góry podniosłam, obaczyłam za sobą mego wujaszka, który głowę z zieloną umbrelką na bok przechylił i spokojnie przysłuchiwał się. Gdym przestała grać, zawołał:

— Muzyka rzeczywiście ma jakąś tajemniczą mowę. Nie, źle mówię: przez muzykę przemawia dusza i serce, ale w takich głosach, że wszystko w nich słyszeć można, co kto sobie życzy.

— Cóż naprzykład słyssał wujaszek w tej grze mojej? — zapytałam z uśmiechem.

— Patrzaj! Co za dowcip! Chcesz rybko wiedzieć czego ja sobie życzę?

— A gdyby i tak było, kochany wujaszku?...

— Otóż ci powiem. Słuchaj! W tej grze twojej słyssałem jakąś cichą, ale nie mniej gwałtowną tęsknotę za pewnem uczuciem, którego koniecznie potrzebuje serce ośm-nastoletnie. A co, zgadłem?

Wstałam wesoło od fortepianu i śmiejąc się odrzekłam:

— Otóż nie zgadł kochany wujaszek. Żadnej tęsknoty ani nic podobnego nie było w mej duszy. Zdaje mi się, że w tej improwizacyi mojej tkwił temat bardzo niewinny, który usłyssałam przed chwilą tam poza parkanem. Widziałam bawiące się dzieci w kondukt pogrzebowy, do którego zmuszony był także jakiś słuszny student, co go dzieci wujciem nazywały.

— Aha! to syn ślepego organisty. Ubawił on mnie już nieraz. Jak się bębny na co uprą, to w końcu musi im to zrobić. Poczciwe to chłopczysko. Kończy właśnie kurs łaciński. Zdaje się, że nawet z lekcyj utrzymuje całą liczną rodzinę. Nieraz patrzyłem przez okno, gdzie teraz jest twój pokoik sypialny, na ich wspólne zabawy... Ale cóż to oni tam teraz śpiewali?

— Śpiewali pieśń pogrzebową Niemcewicza.

— Prawda! A to ze mnie zapominalski! Gdym był małym chłopcem, śpiewano to często w domu rodziców moich. Widać, dzięki Bogu, że to co było we dworach, przechodzi powoli do biednych domków przedmiejskich... Ale zapomniałem, że wujenka prosi cię do siebie.

Gdym do wujenki przyszła, zastałam ją zarzuconą jakimiś małemi jupkami i kaftaniczkami, które prawdopodobnie były przeznaczone dla dzieci od lat ośmiu do dziesięciu.

— Poradź tu co, Helciu — rzekła zaturbowana wujenka — bo ja już na to nie mam konceptu.

Rzekłszy to, wskazała na duży arkusz papieru, który leżał na stole. Na tym papierze widać było różne linie proste i krzywe. Opodał stał wujaszek i z pewną ciekawością patrzył na mnie.

Wiedziałam, że tu idzie o jakiś egzamin. Zebrałam więc w kupę wszelkie moje, dotąd nabyte, wiadomości bazarowe i z uwagą wpatrywałam się w rysunek, wykonany na jakiejś starej gazecie.

Powoli zaczęłam odgadywać pojedyncze linie, a w miarę tego com odgadła, rozjaśniała się twarz wujaszka. Przecierał okulary i poprawiał umbrelki, a jednym palcem tarł ustawicznie koniec nosa, co było oznaką, że kontent ze mnie i jest w dobrym humorze. Ale gdym w końcu kilka linii na żaden sposób odgadnąć nie mogła, wziął mnie za rękę i rzekł:

— Widzisz, Helciu kochana, ten mój pomysł ma na celu dziewczynkę w dziesiątym roku. Tu w stanie potrzeba tej pentelki, ażeby się prosto trzymała. Wiele błędzą pod tym względem nasze krawczynie.

Długo rozmawiał w tym tonie ze mną. Podziwiałam jego znanstwo krawieckie. Wiedział daleko więcej odemnie, chociaż się z tem bynajmniej nie zdradziłam. Jak to mówią, sprzedałam swoje pobieżne wiadomości, jak można było, najlepiej, a wujaszek był w końcu ze mnie bardzo zadowolony. Wziął mnie pod brodę i rzekł z uśmiechem:

— Poczekajno! Jak mój Emil dorośnie, to cię z nim zapoznam. A wiem, że będziesz mu rada.

— Dla Boga! — zawołałam — okrutny wujaszek już kilka dni intryguje mnie kimś nieznanym.

— Cierpliwości! — odparł poważnie — dotąd jest to tajemnica, do której wdzierać się nie powinnaś.

Spojrzałam na wujaszka. Tajemnica ta niepojęta zaczęła mi już dokuczać. Wujenka zrozumiała doskonale moje spojrzenie. Uśmiechnęła się dobrotliwie, jak kobieta mająca spokojne sumienie i rzekła:

— To żart, Helciu, nic więcej.

Wzięłam wujaszka za rękę i zaczęłam się z nim droczyć. Wujaszek jednak był zamyślony i miał tak surowy wyraz twarzy, że puściłam jego rękę i siadłam koło jupek i katanek, aby wujence w składaniu wykrojonej materii pomagać.

V.

Od tego czasu dosyć jednostajnie zbiegały mi dni i tygodnie. Wujaszka widywałam tylko kilka razy na dzień. Siedział w swoim gabinecie odosobniony. Wujenka zajęta była przez całe dni szyciem i krajeniem rozmaitych sukienek, które każdej soboty okolicznym domkom rozdawała. Prócz starego mecenasa, który regularnie dwa razy w tygodniu na herbatę lub obiadek przychodził, i prócz dwóch starych matron z dawnych ale dzisiaj zubożałych rodzin, nikt więcej nie bywał we dworku przedmiejskim.

Siedziałam więc po całych dniach w moich pokoikach. Grałam, czytałam i malowałam.

Myślałby kto, że takie życie było dla mnie smutne i nudne. Był to czas żałoby po mojej matce. Lepiej podobno w takim razie przeboleć samemu, niżeli za każdym krokiem być w sprzeczności z otaczającym nas wesołym światem. Trudno jest nawet w chwilach podobnych pozyskać u ludzi korzystne zdanie o sobie. Trzeba albo cieszyć i śmiać się, albo być smutną. W jednym i drugim wypadku nie dogodzi się nigdy światu. Zarzucą ci albo przedwczesną wesołość, albo niestosowną do towarzystwa żalność. Najlepiej więc być smutnym tylko dla siebie i ludziom się póty nie pokazywać, póki nie można im okazać twarzy wesołej i przyjemnego uśmiechu.

We dworku przedmiejskim nie bywał nikt z młodzieży. I temu także byłam poniekąd radą. Jako kobieta przeczuwałam instynktowo to, co mi służyć a co szkodzić może. Najprzód w małej tej mieścinie nie było nikogo, któryby moim

cichym marzeniom mógł odpowiedzieć. Idąc do kościoła, widziałam przy wstępie cały prawie kontyngens młodzieży zalotniczej. Stała ona uporządkowana we dwa szeregi na ulicy przed kościołem i zaglądała dosyć niegrzecznie przechodzącym paniom pod kapelusze. Zdaje się, że była to jedyna sposobność widywania się wzajemnego, bo w mieście żadnego domu nie znałam, któryby u siebie większe zbierał towarzystwo. Biedni ci ludzie mogli tylko na ulicy przypatrywać się owym skarbowi zaklętym. To też i cały ubiór ich nosił tę, że tak powiem, uliczną cechę, do której zawsze czułam nieprzewycięzoną odrazę.

Są ludzie, którzy żyją tylko na ulicy. Do domów nie mają wstępu, bądźto z braku znajomości i stosunków, bądź z powodu podrzędności położenia swego w towarzystwie. Stosownie więc do ulicznego stanowiska, ubierają się nader pretensjonalnie i sadzą się na suknie, które zazwyczaj w życiu towarzyskiem w przedpokoju tylko zostają. Zawsze była śmieszną dla mnie ta elegancja uliczna, a jeżeli u mężczyzn jest ona tylko śmieszną, to u kobiet nawet poniżającą.

Elegancja w małym mieście ma swoje własne wzory, które dla oka wprawniejszego są bardzo nieznośne. Dlatego, przechodząc koło tej ustawionej przy drzwiach kościoła młodzieży, musiałam często oczy w ziemię spuszczać, aby nie parsknąć ze śmiechu na widok tych olbrzymich *gukierów*¹⁾, białych glansowanych rękawiczek, i botynków lśniących lakierowanych, obok kapeluszy form najekscentryczniejszych i laszek ze złoconymi gałkami.

Młodzież ta wydawała mi się jak niezgrabna wystawa u perukarza. Do tego jeszcze widoczna często była dysharmonia między kapeluszem i paltotem, między rękawiczkami a butami. Widziałam śmieszną pretensję z jednej, a wstydzające się ubóstwo z drugiej strony. W porównaniu tych elegantów małomiejskich, był ów »wujaszek« istnym ideałem.

¹⁾ Tak nazywają w Galicyi lornetki.

Przekonałam się więc, i to nietylko naocznie, ale nawet z opowiadań wujenki, że w mieście tem nie było nikogo, z którego towarzystwa mogłabym być zadowoloną. Prócz tego, jako kobieta, miałam w tym względzie mój własny rozumek. Wiedziałam, że każda panna będąca na wydaniu, musi w świecie zrobić efekt odrazu. Jak Juliusz Cezar »przyszedł i zwyciężył«, tak musi i ona wejść w świat i... zwyciężyć. Powolne okazywanie się światu, rosnąca coraz więcej liczba znajomych i pewna przyjazna zażyłość z niemi, zatracają wiele z pierwszego uroku, z pierwszych wrażeń.

Taką to filozofią pocieszałam się w samotnym buduarze moim i byłam z tej filozofii zadowoloną, bo inaczej być nie mogło. Przynosiłam się zato do tego wystąpienia w świecie, jak pracowity aktor do roli swojej. W wyobraźni mojej przechodziłam najrozmaitsze kombinacje ludzi i stosunków i starałam się zawsze zastosować do nich moją rolę. Przechadzałam się po pysznych salonach, bywałam po pierwszych domach stolicy. Odpowiadałam nawet na różne zapytania, próbowałam się w dowcipie i ironii, słowem, byłam pilną uczennicą wieku dziewiętnastego.

I tak schodził mi dzień po dniu, tydzień po tygodniu. A jeżeli muzyka, sztuka i literatura okazały się niedostatecznymi, stawałam wtedy przy oknie mojej sypialni, i ukryta za białe firanki, przypatrywałam się różnym pociesznym scenom, jakie wyprawiały wnuki ślepego organisty z poczciwym swoim »wujaszkiem«. A były to nieraz sceny tak oryginalne, tak dziwnie stały na granicy najwyższej śmieszności i nieograniczonej poczciwości tego studenta łacińskiego, że na widok ich nieraz i śmiech i łzy były razem na mojej twarzy.

Codziennie prawie widywałam go, gdy ze szkoły, lub z lekcyi do domu powracał. Dzieci czekały go przy parkanie, a często nawet robiły na niego zręcznie ułożoną zasadzkę. Zawsze prawie miał poczciwy wujaszek coś dla nich w kieszeni. Gruszki, śliwki, a ostatecznie jabłka wychodziły mu z ręki, jakby z czarodziejskiej sakwy. Przytem nauczyły

się dzieci głębokiego milczenia, gdy ślepy dziadek stał na progu, lub pod kasztanem siedział. Było to pocieszne, jak chłopcy cicho zajadali gruszki, aby stary organista nie usłyszał. Często dziwną wydała się ta nagła cisza dziadkowi. Nadstawiał ucha, coby to znaczyć mogło. Wtedy zaczynał zwykle najmłodszy bluzak jakąś piosenkę nucić, a reszta ze śmiechu krztusiła się, przy którym w największym kłopotcie był poczciwy »wujaszek«.

Raz widziałam wujaszka leżącego na trawie pod kasztanem, dzieci zmusiły go, aby udawał niespokojnego rumaka. Kolejno usiłowały dosiąść go, a poczciwy »wujaszek« musiał wierzgać nogami i stawać dęba. Dzieciaki spadały jak kluski na trawę, a śmiechu i radości było co niemiara.

Drugi raz wytoczono mały wózek, a wujaszek musiał udawać zaprzęzoną lokomotywę i pryskać i parskać na wszystkie strony. Jeden bluzak był konduktorem i siedział wujaszkowi na karku; drugi hamował pociąg, przytrzymując i rozdzierając trochę poły surduta wujaszkowego.

Często musiał biedny wujaszek być nauczycielem naturalnej gimnastyki. Pokazywał własną osobą, jak się wywracają koziołki, jak się skacze przez rowy, a jak przez płoty. Musiał pokazywać, jak się trzeba drapać na drzewo, aby wrócić z gruszkami, lub śliwkami na ziemię. A czasem wydarzało się, co się niejednemu nauczycielowi wydarza, że w praktyce okazała się teoria niedostateczną. Mimo starannie wypowiedzianych reguł drapania się po drzewach wracał nieraz wujaszek wyjątkowym sposobem z drzewa na ziemię, co dla uczącej się młodzieży największą było radością.

Dowiedziałam się przy tej sposobności, że w ekstazie radości, nazywały dzieci swego wujaszka »dzidzi«. Było to zapewne zdrobnienie słowa »dziadzio«, dla różnicy od dziadka. Podobała mi się ta nazwa pieszczotliwa, i pod tą nazwą znałam go odtąd.

Ale nie zawsze mój »dzidzi« był tak dziecinny. Rano przychodził zazwyczaj do niego blady, długi i chudy kolega.

Przynosił cały pęk skryptów pod pachą i zasiadał pod kasztanem, wraz ze wschodem słońca. Nim jeszcze dzieci na drugi bok obrócić się zdołały, wychodził już »dzidzi« ubrany i podając koledze rękę na dzień dobry, zasiadał z nim do wspólnych studyów.

Wtedy »dzidzi« był jeszcze pociesniejszym w oczach moich. Miał zupełnie inną twarz, inną postawę. Włosy najczęściej zagarnął do góry, a czoło ułożył do wyższych myśli. Chudy kolega wy dobył z zanadru tablicę, albo jakie książki, i obaj pochyliłi się z zajęciem nad mądrością świata. Czytali razem albo naprzemian, wstawali, dysputowali, zadawali sobie wzajemnie jakieś pytania, rozkładali mapy, i póty byli jakąś poważną nauką zajęci, póki w czerwonym kościółku nie odezwała się sygnaturka, co było dla nich znakiem pewnej godziny. Równocześnie z sygnaturką okazywała się w oknie kędzierzawa głowa najmłodszego bluzaka, a to było znowu hasłem, że »dzidzi« żegnał swego kolegę i do domku wracał.

Teraz następowała najmilsza scena dla mnie. Ślepy organista, jak to przez otwarte okno wyraźnie widziałam, siadał do starożytnej pozytywki, z piszczałkami i miechami u góry, naśladowującej zupełnie organy. Najmłodszy bluzak, umyty i uczesany, stawał do miechów, które małą rączką swoją z widoczną rozkoszą do góry podnosił. »Dzidzi«, ze skrzypcami w ręku, zajmował miejsce obok ślepego. Reszta rodziny, a nawet i szesnastoletnia sąsiadka, czasem, ustawiała się w głębi.

Na dany znak przez organistę, rozpoczynała się modlitwa poranna. Tak jest, była to modlitwa, był to pacierz tych drobnych dziełek, była to prośba do Boga!...

Nigdy nie sprawiła muzyka na mnie większego wrażenia. Słyszałam wielkich mistrzów i europejskiej sławy orkiestry, słyszałam w salonach wirtuozów z białymi krawatami i woniejących najwyszukańszą perfumą, widziałam jak przewracali oczy i trzęśli długimi włosami, jak lwy grzywą,

ale gra ta nie sprawiła mi takiego cichego zachwycenia, jak modlitwa poranna tej ubogiej rodziny.

Ktoby nie wierzył, że w muzyce są słowa i myśli, niechby tylko raz jeden usłyszał ten koncert ślepego organisty. Takiej modlitwy słucha sam Bóg i zrozumiałszą jest ona dla niego, nad wyczytaną z książki.

Po jakiejś symfonii czy oratoryum, odegranem pięknie na skrzypcach i pozytywce, następował śpiew, z towarzyszeniem obu instrumentów. Były to zazwyczaj zwykłe pieśni kościelne. Karpińskiego »Kiedy ranne wstają zorze«, pieśń o »św. Stanisławie, patronie polskim«, gdzie tak rzewnie śpiewany jest upadek cnoty, wiary i religii w ojczyźnie króla Bolesława, pieśń do Najświętszej Panny z »Jasnej góry«, patronki i królowej naszej, a czasami średniowieczna nieco: »Rozmowa szatana z aniołem nad konającym człowiekiem«, której końcówka, składająca się z jednego słowa, była wyłączną własnością najmłodszego bluzaka i znaczną sprawiała mu emocję.

Po tej modlitwie następowało śniadanie. »Dzidzi« miał tutaj trudną rolę, bo musiał rozdzielać mleko, lub jaką inną ciepłą strawę. Nie obeszło się przytem bez skarg i zażaleń; ale »dzidzi« umiał wszystko załatwić pewną mimiką, jakiej ciemny dziadunio dojrzeć nie mógł.

Po śniadaniu brał »dzidzi« książki pod pachę i wychodził do szkoły, albo na lekcyę. Dziadunio tymczasem zagaśniał jednego bluzaka po drugim do pozytywki i uczył to gry, to śpiewu.

Przyznam się, że widok tej biednej rodziny stał się w końcu codzienną moją potrzebą. Za mojem wstawieniem się dostały dzieci od wujenki po kilka ubiorów, zastosowanych do ich wieku. Ponieważ ciemny dziadek wielki rygor w porządku utrzymywał, wiedziałam więc na minutę, kiedy jakie zatrudnienie ma nastąpić. Wiedziałam kiedy »dzidzi« wychodzi, a kiedy wraca, kiedy się gra i śpiewa modlitwa poranna, a kiedy wieczorna. Oprócz tego bywały popisy gry

i śpiewu treści światowej. Śpiewy Niemcewicza następowały jeden po drugim. Był on domowym poetą w rodzinie.

Bywały także pewne dni świąteczne, w których zmieniał się porządek, a grę i śpiewy stosowano do uroczystości. Bywały także obchodzone pamiątki z dawnych dziejów ojczystych, a nawet i znaczniejsze urodziny, jak np. dziadka, wujaszka i księdza kanonika, który był protektorem tego ubogiego domku.

I już za nic w świecie nie byłabym zamieniła tego widoku na najpyszniejszy widok szwajcarski. W kilku miesiącach tak się wżyłam w ten widok, że kiedy nawet goście u wujostwa byli, wychodziłam z salonu do mojego pokoiku, gdy na zegarze zbliżała się godzina popisu muzycznego, lub powrotu »dzidzia« z miasta.

Regestrowałam sobie w pamięci wszystkie przygody drobne wesołych dzieci i poczciwego »dzidzia«, który tak swobodnym panem był na swoim podwórku, jakby go cały świat wcale nie obchodził. Najczęściej wychodził do ogródka bez surduta. Nie zważał wcale na okna przeciwnych domków, ani nawet na nasz zaszklony, dominujący nad całą ulicą ganek. Kładł się na trawie z taką swobodą, jaka właściwą jest ludziom poczciwie i niezawiesznie pracującym.

Przyznam się, że to nie podobało mi się w moim »dzidzim«. Gniewałam się skrycie na niego, bo ta jego swoboda bez granic była dowodem, że albo mnie nigdy nie widział, albo że z moich oczu nic sobie nie robi. Gniew mój nie był słuszny, ale każda kobieta na mojem miejscu gniewałaby się również na tego niewdzięcznego »dzidzia«. Jeżeli bowiem kobieta, choć przelotnie i w sposób niewinny, kim zajmuje się, to żąda mimowoli od niego, aby jej nie ignorował. Mój »dzidzi« jednak ignorował mnie zupełnie!

Czasem nawet, przyznam się do tego otwarcie, starałam się różnymi sposobami zwrócić jego uwagę na siebie. Otwierałam okno i przestawiałam znajdujące się na niem kwiaty. Wychodziłam do ogródka, skąd wybornie mógł mnie

widzieć. Siadywałam w zaszklonym ganku, przy drzwiach otwartych, z książką w ręku. Wszystko napróżno. Niewdzięczny student ani spojrzął na mnie, ani nawet przeczuwał, że tam ktoś dla niego tylko książkę czyta, lub kwiaty porządkuje. Niepocziwy »dzidzi!«

Razu nawet jednego użyłam pewnego fortelu. Ubrałam się w koszulkę czerwoną. Koszulki czerwonej nigdy nie bierze się bez celu. Kolor czerwony przyciąga oczy do siebie i nie pozwala gdzieindziej patrzeć.

Wyszłam do ogródka, i zdaje mi się, że na tle zielonych drzew i kwiatów, musiała moja czerwona koszulka wydać się prześlicznie!... Chodziłam długo, zbierałam różne zielska, aby mieć jakieś zatrudnienie, obrywałam wreszcie listki z rumianku, słowem, byłam co do pozy, ubioru i zajęcia istnym modelem romantycznej istoty... Ale »dzidzi« wcale nie turbował się o mnie! Ani razu okiem nie rzucił, ani nawet nie zmienił swojej postawy pod kasztanem.

Kiedy już po tem *fiasco* rozgniewana do domu wracałam, zdawało mi się, że wreszcie raczył zwrócić na mnie uwagę swoją. Zatrzymałam się koło jakiegoś listka z drzewa, spojrzałam nagle na moje białe paluszki, jakby mnie ciera jaka zadrasnęła, (a wszystko to było nieprawda) i już tryumfowałam, bo »dzidzi« postąpił kilka kroków naprzód i oczy z nadzwyczajnem zajęciem ku mnie zwrócił, gdy nagle krzyk dzieci zupełnie mnie rozczarował. Spojrzałam poza siebie i obaczyłam tuż za mną siedzącego na rynnie gołębia... Gołębia... Gołąb spłoszył się, a oczy »dzidzia« poszły za spłoszonym gołębiem.

Wróciłam do domu rozgniewana. W oknie sypialnego pokoiku spuściłam storę i siadłam do malowania szwajcarskiego pejzażu.

Zdawało mi się, że to był pierwszy mój romans, który skończył się niepomyślnie.

Za kilka chwil usłyszałam stąpanie. We drzwiach pokazał się wujaszek.

— Myślałem żeś w ogródku — rzekł z uśmiechem na twarzy — chciałem tymczasowo popatrzeć się, jak daleko postąpiła twoja kopia. Szkoda, że oryginalnego nic nie robisz. Kopie są nieznośne. Od czasu stworzenia świata aż do nas, same kopie!

Cóż robić, kochany wujaszku — odpowiedziałam zajęta malowaniem — kiedy rzeczy oryginalne nie zawsze udają się. Wyobraź sobie wujaszku, że ten mój »dzidzi« jest strasznie nieznośny! Nie wie dotąd, że codziennie o nim mówię i codziennie na niego patrzę, gdy z dziećmi koziołki wywraca. Co gorsza, nawet ani razu na mnie nie spojrzął. A byłoby to przecież oryginalne wujaszku, nieprawda?

— Nic oryginalnego. Najpospolitsza rzecz w świecie. W każdej powieści naszej aż do znudzenia to się powtarza. Ale jest to poniekąd i potrzebą. Wyższe towarzystwo, obrane z poezji i ze złudzeń aż do nagości szkieletu, musi czasem zasilać się poezją tam, gdzie ją znaleźć zdoła.

Oparłam paletę na kolanach i zamyśliłam się. Nie myślałam w tej chwili o studencie łacińskim, ale myślałam coś o poezji i o ludziach bez złudzeń. Nie odgadł prawdopodobnie wujaszek myśli moich, bo z wyrazem żartobliwym na twarzy zbliżył się do mnie, wziął mię za ramię i rzekł:

— Bądź dobrej myśli, Helciu. Powiedziałem ci niedawno, abyś się w domu naszym rozprzestrzeniła. Spełniłaś życzenie moje, a nawet wyszłaś po za ogrodzenie. Nic to na razie nie szkodzi, i owszem. Najgorzej jest dla kobiety, jeżeli dusza jej pozostaje długo białą, niezapisaną kartą papieru. Ale z drugiej strony mówi filozof indyjski, że ten człowiek jest najszcześliwszy, który najmniej miejsca zajmuje.

— Ach, jakże okrutnym jesteś, wujaszku — odpowiedziałam. — Niedawno kazałeś mi się rozprzestrzenić jakby balon z gutaperki, a dzisiaj każesz mi znowu wsiąknąć w siebie i stać się jaknajmniejszym atomem!

Uśmiechnął się na to wujaszek dobrotliwie, przetarł swoje okulary i rzekł:

— W życiu ludzkim są pewne sprzeczności. Z czasem dopiero dowiadujemy się, że te linie nigdy się nie przecinają. Gdy dorośnie mój Emil, przedstawię go tobie, a wtedy dowiesz się od niego więcej niżeli tutaj w suchych słowach mógłbym ci opowiedzieć. Jest to chłopiec krnąbrny, zwyczajnie, dziecię natury; chciał się kilka razy wymknąć z mego gabinetu i z tobą zaznajomić, ale powstrzymałem pustaka i zasadziłem do książki!... Ha, ha, ha! Aż piszczy biedny! Ale nic nie pomoże!...

W tej chwili wszedł stary Stefan i przyniósł list z poczty. Wujaszek wziął go do ręki i obejrzał na wszystkie strony. Wkońcu twarz jego rozweseliła się, wykrzyknął jakieś słowo dla mnie niezrozumiałe i czem prędzej pobiegł do wujenki.

Postanowiłam skorzystać z tej chwili. Od dwóch miesięcy napomykał mi często wujaszek o jakimś chłopcu młodym, który u niego w wielkich jest łaskach, a z którym ja kiedyś mam się zaznajomić. Wujenka przeczyła wprawdzie temu co wujaszek mówił, lecz zaprzeczanie jej wydało mi się podejrzanem. Od służb nic pewnego nie mogłam się dowiedzieć. Wiedzieli tylko, że wujaszek w swoim gabinecie, z którego ma drugie wyjście na ulicę, siedzi po całych godzinach. Do tego gabinetu nie wolno było wejść nikomu. Stary Stefan tylko, i to na wezwanie wujaszku, wstępował czasem do tego tajemniczego pokoju. Słyszano także nieraz, że wujaszek tam głośno z kimś rozmawiał, a nawet gniewał się czasem.

Tyle tylko mogłam się dowiedzieć. Z tego wnosiłam, że albo wujaszek ma interesa z różnymi ludźmi, którzy do niego przychodzą wprost z ulicy, albo że rzeczywiście jest w mieście lub w sąsiedztwie jaki młody człowiek, którym zajmuje się wujaszek.

Ta druga myśl zaczęła mnie właśnie niepokoić. Mimo wszelkich zaprzeczeń wujenki, wujaszek mógł mieć co do mnie jakieś tajemne zamiary. Do tego nawet zmierzało po-

wolne rozciekawienie mojej wyobraźni, która nie była bardzo powolną. Słowem, było coś, czego już dłużej znieść nie mogłam.

Wprawdzie nie było to nic tak ważnego; w jednostajnym jednak życiu każda drobnostka interesuje nas więcej. Czemże wypełnić te długie letnie dni? Do tego zachowanie się dzisiejsze »dzidzia« rozgniewało mnie na piękne. Chciałam przestać nim zajmować się, bo człowiek przecież nie jest bez egoizmu. Ja widziałam tyle poezyi w jego gruszkach i jabłkach, a nawet w tych koziołkach, które z dziećmi wywracał, a on nie znał mnie wcale!

Gabinet więc wujaszka miał w tej chwili wiele uroku dla mnie. Wujaszek wyraźnie powiedział, że Emil siedzi teraz nad książką. Cóżby w tem było złego, pomyślałam sobie, gdybym go przez szpary lub dziurkę od klucza zobaczyła? Czy blondyn, czy brunet, jakie ma oczy?... Wujaszek poszedł właśnie z listem do wujenki, w przeciwną stronę gabinetu, a list wyglądał na długi!... Starego Stefana również nie było, bo przed chwilą poszedł do miasta...

Tak myślałam sobie i wahałam się jeszcze co mam uczynić. Wtem wysunęłam nogę z pod sukni i obaczyłam, że byłam jeszcze w pantofelkach aksamitnych. Pantofelki, ciche, ciemny korytarz, cisza w całym dworku, wszystko to podrażniło moją wyobraźnię i już nie byłam w stanie oprzeć się ciekawości.

Był to po śmierci matki pierwszy mój krok tego rodzaju. Nie wiem dlaczego, ale serce biło mi mocno, co sprawiało mi jakieś rozkoszne uczucie. Gdybym mogła tę chwilę przytrzymać i przedłużyć na całe życie, dałabym wiele za to. Ta jedna chwila dała mi wyobrażenie o wielkości tych wszystkich pokus, jakie czasem przebywać musi biedne serce kobiece. Ale tylko kobieta pojąć to i zrozumieć może.

W ciemnym korytarzu stanął nagle mój oddech, a pierś moja na żaden sposób podnieść się nie chciała. Zdaje mi się, że bym tak bez oddechu żyć mogła, żyć całe dni, tygodnie

i lata, a życie to było jedną wielką rozkoszą!... Mówią, że w ekstazie może człowiek zdrętwieć i tak żyć kilka godzin, a nawet i dni. Gdybym się była zatrzymała na korytarzu nie doszedłszy do drzwi, możeby coś podobnego nie stało się ze mną... — Zbliżałam się do drzwi, poza którymi miał być ktoś, który rwał się do mnie, wstrzymywany przemocą. A ja sama ułatwiałam teraz jego poznanie się ze mną... Ale co mówię?... Toż miałam tylko spojrzeć przez dziurkę od klucza, a potem czemprowadziej uciec do mego pokoiku i tam... może naśmiać się do syta.

Ta myśl wróciła mi oddech, który nagle w piersi mojej zakrzepł. Pulsa moje zaczęły bić regularnie. Zresztą i mój »dzidzi« przyszedł mi na myśl i żal mi go było. Spokojniej więc zbliżałam się do drzwi.

We drzwiach była wprawdzie szparka, ale tą nie można było nic zobaczyć. Schyliłam się do dziurki od klucza. Teraz mogłam widzieć całe wnętrze pokoiku. Była tam szafka z książkami, był stół z papierami, kilka krzesel i kanapka, ale nie było żadnej żyjącej duszy. Przyłożyłam do drzwi ucho. Było cicho, jak w grobie, gwar tylko z ulicy zalaływał przez otwarte okna. Namyslałam się chwilę. Może nad książką usnął, pomyślałam sobie, a może, sparłszy głowę o rękę, marzy biedny o mnie, której widoku wzbroniono mu tak okrutnie!... Lekkie zapukanie do drzwi nie zawadzi, a potem, usłyszawszy szelest, furknąć i zniknąć w ciemnym korytarzu! Jakimże sposobem mógłby się dowiedzieć, że to ja byłam?...

Tak myślałam sobie w mojej pustocie i zagięłam jeden paluszek, aby zlekka do drzwi zapukać, gdy w tej chwili nagle rozwarły się drzwi z łoskotem, a z pokoju zaleciał do mnie taki dziwny stuk i hałas, że mi w oczach pociemniało. Zachwiałam się i upadłam na ziemię.

Gdym oczy otworzyła, byłam w objęciu jakiegoś nieznanomego młodego mężczyzny, który z trwogą wpatrywał się w twarz moją.

Krzyknęłam przestraszona. Wuj wbiegł co tchu. Widząc drzwi otworzone, krzyknął żałośliwie:

— Mój Emil, mój Emil! Biedny mój Emil!

I nie patrząc się wcale na mnie, wbiegł do pokoju i zaczął zbierać rozsypane po podłodze kartki papieru.

VI.

Nie wiem jak długo trwała potem moja nieprzytomność. Przebudziwszy się, leżałam w łóżku, nakryta ciepłą kołdrą, a koło mnie siedziały dwie panie. Jedną z nich była poczciwa moja wujenka, drugiej nie znałam. Była to mała, szczupła osóbką, z wiecznie ruchomą twarzą. Miała lat około trzydziestu, ubranie jednak staranne, a może i nieco sztuki, ujmowało coś z tego rachunku.

— A to rzecz zupełnie nowa, kochana moja kuzynko — rzekła nieznajoma — aby spać z przestachu. Zwykle śmiertelne istoty miewają spazmy, migreny, kurcze i tym podobne modne słabości po wielkim smutku lub przestachu, a ty Helciu pozwoliłaś na to, aby cię rozebrać jaknajsystematyczniej i położyłaś się na wznak, aby najspokojniej spać przez dwie godziny. Wierzaj mi, to jest arcyważne odkrycie w rocznikach medycyny. Opiszę je i podam do Tygodnika lekarskiego.

Przetarłam oczy, aby lepiej zobaczyć ten brzęczący kołowrotek. Oczy jej były ładne i z miłością na mnie patrzyły. Wyciągnęłam rękę i rzekłam:

— Nie mam przyjemności znać szanownej mojej kuzynki, ale słowa jej świadczą, że jest mi życzliwą.

Wtem powstała wujenka i przedstawiła mi ową damę. Dowiedziałam się przy tej sposobności, że list dzisiejszy, zapowiadający gości wujostwu, spóźnił się, a goście wraz z listem prawie weszli do dworku.

Był to daleki krewny mojej wujenki, któremu towarzyszyli córka i kuzynek. Kuzynek, nie znając rozkładu pomie-

szkania, wszedł pierwszy do gabinetu drzwiami od ulicy, które wujaszek zapomniał był zamknąć. Otworzenie tych drzwi sprawiło przeciąg, który otworzył drugie drzwi. Przestraszona i uderzona przeciągiem, upadłam...

Po tych wyjaśnieniach, uczułam się spokojniejszą. Dziwiło mnie to nawet, że mnie do łóżka położono, żadnego bowiem osłabienia nie czułam. Prosiłam więc wujenki, aby mi pozwolono wstać i przyłączyć się do towarzystwa, a gdy wujenka nic przeciw temu nie miała, zawołałam moją starą piastunkę, a obie panie wyszły tymczasem do ogródka.

Piastunka, ubierając mnie, uśmiechała się dziwnie. Zapytałam o przyczynę tego uśmiechu.

— Z tego może coś być, proszę panny — odpowiedziała z miną tajemniczą.

— A cóż ty w prostym przypadku widzisz zaraz nadzwyczajne rzeczy — odpowiedziałam spokojnie.

— Pan Bóg niedarmo zsyła przypadki na ludzi — piastunka ozwała się znowu.

Na to nic już nie odpowiedziałam, bo jakże tu rozprawić z prostą kobietą, która z zabobonnej strony zapatruje się na życie. Milczałam, ale milczenie moje było niespokojne. Do tego zalatywał z za parkanu głos dzieci i przypominał owego niewdzięcznego »dzidzia«, na którego całą winę tego wypadku w duszy mojej zważyłam. Gdyby zamiast na gołębia, na mnie był się popatrzył, nie byłabym poszła do pejzażu szwajcarskiego... gdybym nie była poszła do pejzażu, nie byłby przyszedł do mnie rozmawiać wujaszek... gdyby nie był przyszedł wujaszek, nie byłby mi o Emilu mówił... gdyby nie ten fatalny Emil wreszcie... I tak złożywszy kilka razy to nieszczęsne »gdyby«, przyszłam wprost do przekonania, że »dzidzi« wszystkiemu winien.

— A tyś widziała tego pana? — zapytałam po chwili piastunkę.

— A jakże nie miałam go widzieć — odparła zagadniona. — Przez godzinę prawie stał przed portretem panny

w zielonym pokoju i co chwila wołał na mnie, abym mu powiedziała co się z panną dzieje.

Uczułam rumieniec na twarzy, bez żadnej wiadomej przyczyny. W patrzeniu się na obrazy i w dowiadywaniu się o chorą osobę nie widziałam nic nadzwyczajnego. Mimo to piekł mnie ciągle rumieniec. Musiałam odejść na chwilę do okna, aby świeżem powietrzem odetchnąć. Oczy moje mimowoli wybiegły poza parkan zczerniały.

I cóż tam obaczyłam? Oto mój »dzidzi« siedział pod kasztanem, strasznie zaturbowany. Trzymał głowę w obu rękach i był czegoś zamyślony. Na twarzy jego malował się widoczny smutek. Dzieci kilka razy zbliżały się do niego, ale on odpychał je od siebie, jak tego pierwej nie czynił. Cóż go tak nagle mogło zasmucić? Czy dowiedział się, że byłam chorą? Wszak mnie wcale nie zna. Czy może zasmucił go przyjazd naszych gości? Czy przeczuwa, że odtąd nie będę na niego patrzeć, jak zwykle, że odtąd może ktoś inny zajmie całą moją uwagę?...

Takie i tym podobne dziecinne myśli przebiegały mi po głowie, gdy nagle i niespodziewanie drzwi mego pokoiku z łoskotem otworzyły się, a mała, ruchliwa kuzynka wpadła do mnie.

— A wiesz co, moja kuzynciu — zagadnęła, wiewając wachlarzem — przejrzałam cały ten dworek wasz i całą jego okolicę, a przytem dowiedziałam się od pani Nikodemowej o waszem życiu tutaj. Strach mnie bierze pomyśleć o tem. Sześć czy siedm pokoików, ogrodu dziesięć kroków, a w perspektywie ubogie domki, walące się parkany, kilka brudnych dzieci, przewracających koziołki, do tego jeszcze dach bóżnicy i wieża kościoła, *et voila tout!* Rano herbata w trzy osoby, wieczór to samo, obiad w głębokiem milczeniu i dwa razy w tygodniu mecenas stary, albo dwie dewotki! Teraz pojmuję, że zamiast spazmów i kolek, z przestachu można spać dwie godziny. W samej rzeczy, tu spać można jak bobak, przespać całe życie!

Uśmiechnęłam się na to, wzięłam kuzynkę za rękę i obie usiadłyśmy na kozecie. Na jej słowa nic nie odpowiedziałam, bo po części miała słuszość. Tak mi się przynajmniej w tej chwili zdawało.

— Te prześliczne włosy, jak kora z cedru, ta piękna owalna twarz, z temi dużemi, szafirowemi oczami, ten wyraz dziecinnego jakiegoś kaprysyku koło ust, z małą przymieszką cierpienia i cichej melancholii — wszystko to razem tworzy znakomity kapitał do życia. Któżby marnował taki kapitał, nie biorąc od niego żadnych procentów? Skąpstwo takie, moja Helenciu, to gorsze od najgorliwszej lichwy.

Pochlebstwo podobne nigdy nie chybia celu. Przysunęłam się do niej, ściskając ją serdecznie za rękę. Chciałam coś przeciw temu z przyzwoitości powiedzieć, ale kuzynka przerwała mi:

— A, mówiąc między nami, w jakież to towarzystwo wpadłaś nieszczęśliwie! Czy znasz ty dobrze swego wuja?

— Zdaje mi się! że go znam dobrze — odpowiedziałam — i nic złego o nim nie wiem.

— Broń Boże! Nic złego! Ależ oryginał, jakich mało na świecie!

— Być może, ale dotąd jeszcze nie miałam sposobności tego zauważyć.

— To zapewne jeszcze nie wykrył ci tajemnic swego gabinetu.

Poczerwieniałam, bo mimowolnie przypomniała mi się scena na korytarzu i powód do niej. Kuzynka nie zważała na to, tylko mówiła dalej:

— Wyobraź sobie tego pociesznego oryginała. Jest temu lat trzydzieści jak się ożenił. Spodziejając się potomstwa, zabrał się do studyów o wychowaniu. Tymczasem rok po roku mijał, a wychowywać nie było kogo. Zato w jaknajwiększym porządku postępowały studia jego o wychowaniu. I cóż się stało? Potomstwa odmówiły mu nieba, a zato została biblioteka książek pedagogicznych. Wszedłszy raz w te

studya, które zrazu były dla niego tylko środkiem, tak się do nich przyzwyczaił, że w końcu stały się one celem jego życia. Pisuje teraz książki o wychowaniu.

Odetchnęłam, bo wiele rzeczy mi się wyjaśniło.

Kuzynka mówiła dalej:

— Na tę samą drogę wprowadził także i żonę. Z razu kazał jej robić małe koszulki i kaftaniki, według własnego swego wynalazku, stopniowo na różny wiek obliczone. Miało to służyć do użytku własnego: ale gdy do tego nie przyszło, rozdarowywano je biednym. I Nikodemowa przyzwyczaiła się wkońcu do szycia tych kaftaników, tylko że dzisiaj jest to już cel ostateczny. Została za to damą Dobroczynności i niczego jej już więcej do szczęścia nie potrzeba.

Kuzynka moja wytchnęła tutaj i pozwoliła mi pomyśleć trochę nad tem wyjaśnieniem. Taki stan rzeczy nie był wcale ponętny. Bezdzietny wujaszek, pracujący nad wychowaniem, wydał mi się istną satyrą. Wujenka, szyjąca same kaftaniki, wyglądała mi w tej chwili na jakąś ofiarę. Ale to trwało bardzo krótko. Zwróciłam się do mej kuzynki i zapytałam jak ona czas przepędza.

— O, to wcale co innego! — odparła żywo. — Ranki przepędzają się w stolicy najnudniej. Dlatego późno wstajemy, tak, ażeby koło południa wypić herbatę i jako tako się ubrać. Koło godziny pierwszej wybieramy się na przechadzkę po sklepach, bo zawsze znajdzie się coś do kupienia lub oglądania przynajmniej. Potem koło godziny trzeciej robi się toaletę obiadową. O godzinie czwartej na obiedzie zawsze ktoś jest, więc jedzenie, rozmowa, a czasem po obiedzie i gry trochę. Po obiedzie najlepszy głos do śpiewania. Potem znowu bierze się toaletę wieczorną. Wieczór przepędzamy w bardzo liczmem towarzystwie, albo u siebie, albo u znajomych. Nie liczę w to teatru, koncertów i różnych wieczorków deklamacyjno-literackich, a przedewszystkiem tańców.

Głowa zaboląła mnie od tego rejestru. Nie powiem, aby mi się nie podobał; za wiele jednak było w nim pozy-

cyj. Kontentowałabym się zmniejszonym; ale tak cały wydał mi się niesmacznym.

— Dla Boga — odpowiedziałam — a jeszcze czas na to wszystko!?

Kuzynka moja uśmiechnęła się na to z politowaniem i rzekła:

— Wiedziałam, że to powiesz. Jesteś domatorka. Matka twoja była chorą ustawicznie i żyła w czterech ścianach, między fiaskami z lekarstwem. W samotności przywyka się do myśli, a kuzynek mówi, że myśl jest analizą życia. *Et toute analyse coupe la gorge à la poésie!*

Dowiedziałam się po raz pierwszy, że myśl jest nieprzyjaciółką poezji, a więc i życia.

— Wierzej mi Helenciu — mówiła dalej ruchliwa kuzyneczka — ty tego pojąć dobrze nie możesz, co teraz do ciebie mówię. Jesteś jak ślepy, któremu mówią o kolorach, co białe, czarne, zielone i czerwone. Na jeden rzut oka odgadłam ciebie, o reszcie zainformowała mnie Nikodemowa. Życie wasze tutaj jest wyjątkowe. Jest w niem coś nienaturalnego. Stąd tylko tłumaczę sobie ten twój sen dziwny po dzisiejszym przypadku. To jest omdlenie, osłabienie nerwów. Samotność rozdrażniła cię. Nie dziwiłabym się wcale, gdybyś jutro zapadła w sen magnetyczny, i stała się jasnowidzącą.

— Jasnowidzącą! — zawołałam bezmyślnie.

— Czego sobie wcale życzyć nie należy — przerwała kuzynka. — W życiu na wiele rzeczy nie potrzeba patrzeć, nie potrzeba ich widzieć, choć same pod oczy nasuwają się.

— Psujesz mi, kuzynko, cały obraz tak zręcznie przed chwilą odmalowany — zauważyłam.

— Cóż robić — dodała kuzyneczka — nie jesteśmy w raju, nie jesteśmy doskonałością. Tylko wzajemna wyrozumiałość może nas razem utrzymać. Inaczej, rozbiegłybyśmy się na wszystkie strony.

Rzekłszy to, wstała z kozetki i przeszła się kilka razy po pokoju. Korzystałam z tej sposobności i zbliżyłam się do

okna. Ostatnie słowa mojej kuzynki wprawiły mnie w kwaśny humor.

Spojrzałam poza parkan, »dzidzi« siedział w tej samej pozycji, smutny, zaturbowany.

VIII.

W salonie już nas oczekiwano. Weszłam, wsparta na ramieniu kuzynki.

Pierwsze moje wejrzenie padło na staruszkę o siwych włosach. Była to twarz blada, zużyta. W oczach dogorywały resztki życia. Krzepko jednak podniósł się i ruszając więcej ramionami niżeli nogami, usiłował wyjść na moje spotkanie. Poskoczyłam więc naprzód i podałam mu rękę na przywitanie.

Długo zatrzymał moją rękę, jakby chciał uczyć się na niej chiromancyi, potem ucałował ją i rzekł:

— Najprzód musimy sprawdzić stopień naszego pokrewieństwa, piękna panno Heleno! Zdaje mi się, że stosując się do czasu, w którym fakta mają wielką doniosłość, możemy nazwać się kuzynami, choćby tam do kuzynostwa czegoś brakowało. Najstosowniejszy dla moich włosów będzie tytuł: »dziadunio!«

— A więc zgoda, dziadunio — zawołałam wesoło; — ale nie wiem czy konsekwencye, które z tej nazwy dalej wynikną, nie ubliżą komu...

— O bynajmniej, piękna siostrzeniczko! — ozwał się dzwięczny głos tuż koło mnie. — Konsekwencya aż do ostatecznych kończyn uszczęśliwiłaby nas tembardziej.

Podniosłam oczy na mówiącego i natychmiast spuściłam je w ziemię. Na twarzy uczułam silny rumieniec. Był to kuzynek, pan Leon, ten sam, który mnie podniósł omdlałą na owym ciemnym korytarzu.

Milczenie trwało przez chwilę. Widząc, że w zakłopotaniu mojem nikt mi nie pomaga, zebrałam szybko wszystkie siły. Opanowawszy siebie, podniosłam oczy i spojrzałam

po raz drugi na mego najbliższego sąsiada. Spokojnie rzekłam wtedy do niego:

— Dopóki nie wyjaśnię sobie tego, czy pan byłeś mi pomocą, czy przyczyną przestachu mojego, dopóty wstrzymam się od nadania mu konsekwencyi należącego tytułu stryjaska.

— Bardzo słusznie stawia go piękna wnuczka w stanie zaskarżenia — zawołał z uśmiechem »dziadunio«. — Sądzę, że wprzód był przestach, nim pomoc udzielono. A zdaje mi się, że pierwszy był ukartowany, aby druga nastąpić mogła.

— Muszę temu zaprzeczyć, kochany dziadunio — odrzekłam. — Przeciąg otworzył drugie drzwi gabinetu, a to mnie przestraszyło.

— Może się mylę — odparł grzecznie dziadunio — ale miałem powody, aby tak twierdzić. Pan Leon bowiem lubi wszystko brać szturmem.

Mówiąc to, podkreślił staruszek siwe wąsy swoje, i spojrzął na mnie wzrokiem, który mu jako reminiscencya z lat młodych pozostał. Moje brwi ściągnęły się na to, co było zapewne powodem, że wujaszek przerwał tę rozmowę, prosząc staruszkę, aby usiadł na dawnym miejscu.

Swobodniej mi się zrobiło, gdy spostrzegłam, że uwaga powszechna odwróciła się odemnie. Kuzynka moja, którą teraz na przekorę cicią nazywać zaczęłam, zbliżyła się do mnie i zaczęłyśmy, jak aktorowie na scenie, dla uzupełnienia naszych ról w salonie, coś półgębkiem rozmawiać. Miałam zatem czas przypatrzeć się bliżej memu wybawcy, czy raczej temu, który mnie tak niegodziwie przestraszył.

Był to mężczyzna przyjemnej powierzchowności, około lat trzydziestu; ale na twarzy jego wybijało się samo zdrowie. Rysy miał wprawdzie nieregularne: usta nieco za ostro przycięte, a dolna część twarzy niedostatecznie zaokrąglona, nie odpowiadały zupełnie innym rozmiarom twarzy; tworzyły jednak pewną cechę odrębną i całej twarzy nadawały wyraz, że się tak przyjętym sposobem wyrażę, arystokraty-

czny. Koło ust, ocienionych ładnym wąsem, zarysował się mały uśmieszek zarozumiałości męskiej i lekceważenia drugich, które to przymioty tyle są właściwe ludziom tak zwanego wyższego towarzystwa. Dla kobiet właśnie ten rys ma najwięcej ponęty, podobnie jak dla odważnego żołnierza jest upragniony przeciwnik, do tryumfów przywykły. Zwycięstwo nad słabym niewiele warte.

Rozmawiając z kuzynką, widziałam bardzo dobrze, jak jego spojrzenia na mnie spoczywały. Widziałam także jak uśmiech ironiczny igrał koło ust jego. Prócz tej ciekawości i ironii, nie było na jego twarzy innego wyrazu. W oczach miał spokój, a na pięknym czole zarysowało się kilka zmarszczek, jak to widzieć można u wodza, czyniącego przegląd wojska. Czułam, że w tej chwili oceniał mnie, robiąc przegląd całej mojej osoby. A czynił to tak zimno, tak obojętnie!

Wrodzonym jest każdej kobiecie, że nie rada, aby ją na zimno oglądano. Chciałam więc cieplejszy ton nadać sobie. Zwróciłam się szybko do niego i rzekłam z uśmiechem:

— Najpiękniejszym przymiotem panujących jest łaska. W co się trony zdobią, mogą wziąć na siebie i zwykli ludzie. Daję więc panu amnystię za tak niespodziewany napad i przestach. Ale konsekwencją tej amnystyi jest, że muszę pana nazywać — stryjaszkiem!

— Czekałem tych słów łaskawych, jak czeka zbrodniarz ostatecznego złagodzenia wyroku. W tej chwili olśniony jestem tą nadzwyczajną łaską i prócz ust, z których te słowa wyszły, nic więcej wkoło siebie nie widzę. Więc przyjmij pani tylko proste podziękowanie za tę amnystię, nim spokojniejszy umysł zdobędzie się na coś innego.

Rzekłszy to, podał mi rękę. Zakłopotana nieco taką przemową, uściśnęłam podaną mi rękę, może mocniej, jak bym była powinna. Nie widziałam jednak, aby to uściśnienie wywołało inny wyraz na twarz jego spokojną. Uśmiechnął się tylko grzecznie, a ja prędko cofnęłam rękę i pogniewałam się na siebie. Przekonałam się, że mój przeciwnik nie był

w ten sposób do zranienia, a ja naprózno tylko wymierzyłam cięcie i pierwszy niejako atak przegrałam.

Kto zna dobrze kobietę, ten wie, że w takim razie nie cofa się. To zaostrza tylko walkę. Serce zaczyna bić żywiej, pulsa przyspieszają się, twarz się rumieni, a w oczach płonie żądza zwycięstwa.

Odwrociłam się na chwilę do kuzynki, bo tego wymagała strategia. Pan Leon, według mego zdania, powinien był zmienić także front i stanąć mi w oczy. Nie uczynił jednak tego. Zdawało się nawet, że chciał nas opuścić i pójść do wujaszka. Zapobiegając temu, uczyniłam pół zwrotu i stanęłam do niego profilem. Widziałam, że znowu na mnie patrzył, i znowu kręcił mu się koło ust ten nieznośny uśmiech przewagi i lekceważenia.

— Szanowny stryjasek zapewne maluje, rzekłam do niego; w zielonym pokoju mogłabym mu okazać kilka kopij Van Dyka.

— Gdybyś mnie pani chwilę jeszcze samemu sobie zostawiła — odparł z tym samym uśmiechem — byłbym niezawodnie został artystą.

— Jeżeli tak — odpowiedziałam z przekąsem — to zostawiam szanownego stryjaska zupełnie samemu sobie, bo szkoda byłaby, aby przez moje wmieszanie się nie dojrzał w panu tak piękny talent.

Wyrzekłszy to, chwyciłam za rękę kuzynkę, aby z nią wybiedz do ogródka, albo do innego pokoju.

Pan Leon jednak zastąpił nam drogę i rzekł:

— Bez pani mój talent nie dojrzeje.

— Według wszelkiego prawdopodobieństwa nie brakło panu stryjaskowi wzorów — odcięłam.

— Z porównania jednak mogą wypłynąć zdania odmienne — odrzekł z wejrzeniem na mnie.

Kuzynka uderzyła go wachlarzem po rękę i wtrąciła:

— Niewdzięczny! Czyż można tak prędko zapominać... nieobecnych?...

Słowa te rozdrażniły mnie jeszcze więcej. Nie umiałam zapanować nad sobą. Wprawdzie nie miałam najmniejszego zamiaru względem pana Leona. Konkurenta wyobrażałam sobie zupełnie inaczej. Ale gniewało mnie, że ta mała próbna rola dzisiejsza zawiodła mnie zupełnie. Po takim romantycznym wypadku, jakim było zjawienie się pana Leona i moje omdlenie na jego rękę, spodziewałam się czegoś więcej. Zazwyczaj w powieści podobnym efektowym karambolem przemawiają dwa serca do siebie. Tutaj serce moje miało wprawdzie jakieś słówko na pogotowiu, choćby tylko dla wprawy, ale z drugiej tak było starannie w futeraliku schowane, że nawet domacać się go nie można było. Do tego jeszcze w końcu jawne wyznanie, że tam już serca nie było!

Tem śmielszą jednak stałam się w roli mojej. Bez tego wyjaśnienia łatwo było popaść w niebezpieczeństwo. Teraz znikło to niebezpieczeństwo, a ja mogłam puścić sobie wodze na piękne.

— Więc nietylko nieoględny, ale nawet i bardzo niewdzięczny jest szanowny stryjasek — zawołałam z filuterynym uśmiechem.

— Niech się moja kuzynka tego nie obawia — odparł również z podobnem wejrzeniem — niewdzięczność taka dotyczy się tylko nieobecnych.

— Ach, to okropna, szkaradna niewdzięczność! — zawołałam — to niewdzięczność ludzi małych, bojaźliwych.

— Każda wielkość, każda doskonałość przygniata nas — odpowiedział zwolna, patrząc mi w oczy — cóż więc dziwnego, jeżeli w obec takich przymiotów stajemy się małymi, bojaźliwymi i na domiar niewdzięcznymi?

— Dosyć, dosyć — przerwała kuzynka — bo twoje komplementa nienaturalne są i ckliwe. Zresztą z takim aniołkiem prostoty sielankowej, jakim jest nasza piękna kuzunka, nie trzeba mówić w ten sposób, bo gotowa naprawdę dzisiaj marzyć o rycerzu, wyzwającym ją z instytutu wychowania.

Nie zdawało się, aby wujaszek miał te ostatnie słowa zasłyszeć; pokazało się jednak później, że tak było. Ja z mojej strony odpowiedziałam:

— Co do nienaturalności komplementów, na to zgadzam się zupełnie z kochaną kuzynką; co się zaś tyczy mojej prostoty sielankowej, to muszę ostrzedz, że właśnie prostaczkowie mają wrodzone instynkta i przeczucia, które im czasem lepiej służą od nabytego doświadczenia.

Kuzynek i kuzynka mieszała się nieco tą moją odpowiedzią. Była ona może trochę za ostra, ale byłam rozdrażnioną i nie umiałam nad sobą panować. Prócz tego gniewało mnie coś, czego sobie bliżej wytłumaczyć nie mogłam.

W sam czas przyszedł nam w pomoc wujaszek. Wstawszy od stołu, przy którym siedział z dziaduniem, zbliżył się do nas i rzekł, zwrócony do mnie:

— Słyszałem, że tu była mowa o pedagogii. Ponieważ właśnie o tym przedmiocie przy tamtym stoliku mówimy, możebyśmy mogli mieć liczniejsze audytorium, i to notabene z głosem doradczym.

Kuzynka moja nie dała bynajmniej poznać po sobie, że ta przymówka jej się tyczy. Z wyrazem niekłamanej radości na twarzy, przyskoczyła do wujaszka, chwyciła go za obie ręce i rzekła:

— Jak to szanowny kuzyn odgaduje myśli nasze i najskrytsze życzenia! Myślałam właśnie nad tem, jakimby sposobem wydobyć coś z tych fascykułów, tak drobnem pismem zapisanych, które podczas napadu Leona na ziemi widziałam.

— Oszczędzę kochanej kuzynce mozolnego czytania — odparł z dobrotliwym uśmiechem wujaszek — króciutka pogadanka wyjaśni nam rzecz całą.

Ruszyliśmy wszyscy do stołu i zajęliśmy miejsca. Wujenki nie było między nami: krzątała się około podjęcia gości. Usiadłam blisko wujaszka. Przed wujaszkiem leżał spory manuskrypt, który na okładce miał grubo wypisany napis: »Emil polski«.

— Ach! — zawołałam z radością — to to jest ów niegodziwy Emil, którym mnie wujaszek straszyłeś! Ale dlaczegoż ten dodatek »polski?«

Wujaszek, który widocznie zaczynał być w swoim żywiole, uśmiechnął się. Z miną zadowolenia rzekł:

— Widzisz, moje dziecię, przedemną był już ktoś, co podobny przedmiot opracował. W chwilach wielkich zwrotów społecznych i przesileń duchowych, zjawiają się mężowie, którzy zadanie czasu swego odgadują. Takim był *Jean Jacques Rousseau*. Kiedy filary religii i uczucia słuszności zatrzęsły się w posiadach swoich i mocnem zarysowaniem się blizki upadek wszystkich rzeczy ludzkich na ziemi zapowiadały: wtedy powstał mąż, który byстрыm umysłem swoim odgadł, co wiekowi jego zagraża, i ten mąż napisał: »Emila!«... Emil Russa zawiera wiele trafnych rzeczy. Mając jednakże być przełomem zestarzałych wyobrażeń, posunął rzecz z jednej ostateczności do drugiej. Każdy przewrót ma wady te same, a od takich wad nie jest wolen i Emil. Ponieważ potrzeba było wynaturzone społeczeństwo cofnąć napowrót w koleje przyrodzone, Emil Russa, zamiast wejść w te koleje, przesadził je. Jest to więc dziki i niczem nieokiełzany tabuniec. Buja on swobodnie po dzikich polach i lasach, a społeczeństwo tyle tylko szanuje, ile tego wymagają kodeks kryminalny i pewna przyrodzona potrzeba towarzyskości. Jest on uniżonym sługą swych namiętności i puszcza im wolne wodze, aż do ich zupełnego osłabienia.

Tu spoczął wujaszek i spojrzął koleją po nas. Prawdopodobnie poznał po mnie, że najuważniej go słucham. Mruknął mi uprzejmie oczyma i prawił dalej:

— Taki Emil byłby dzisiaj prawdziwym rozbójnikiem naszego społeczeństwa. My nie mamy dzisiaj namiętności, z ostateczną ich konsekwencją. Pozostał nam tylko cień ich, a i ten jeszcze nie wywiera na nas takiego wpływu, jakiby mógł wywierać, gdyby organizm społeczeństwa był młody i zdrowy. Dawniej, jak nas dzieje ucza, uciekano na puszcze

i do jaskiń leśnych, aby tam ująć przed nagabywaniem namiętności. Zadawano najsroższy gwałt ciału, mordowano się postami i bezsennością, pozbawiano się najprzedniejszego daru nieba — mowy. Zamykano się w cele klasztorne i w niepojętych dla nas rozkoszach ascetyzmu szukano równowagi duchowej. Dzisiaj zmieniły się rzeczy.

Znowu spojrzął wujaszek na nas, jakby chciał sobie kogo na przykład wybrać. Nie uczynił jednak tego widomie. Mówił dalej:

— Jak już poprzednio powiedziałem, dzisiaj nie mamy namiętności. Zostały nam po nich pewne zachcianki, które w sobie sztucznie ożywiamy i oświecamy na chwilę ogniem bengalskim.

Stało się jakoś, że przy tych słowach spojrzałam na siedzącego naprzeciw mnie kuzynka mego. Spotkałam się z jego wejrzeniem, ale oraz i z tym lekko ironicznym uśmiechem, którym widocznie nademną panował.

— Jest nawet cały zastęp ludzi — mówił dalej wujaszek — który do wiary swojej dodał nowy dogmat: że wszystko da się sztuką zastąpić. Począwszy od różu i bielidła na twarzy, aż do namiętnego wejrzenia przy oświadczeniu się pannie o jej posag, wszystko u nich jest sztuką i skutkiem starannego w tym duchu wychowania.

Wujaszek przestał tutaj, jakby chciał abyśmy się nad tem, co powiedział, głębiej zastanowili. Przyznam się, że z tej strony nie znałam jeszcze wcale mego wujaszka. Słowa jego dzisiejsze bardzo mi imponowały. Nie mogłam wprawdzie ocenić mniejszej lub większej trafności tych uwag, ale całość przypadła mi wielce do smaku. Spojrzałam tym razem z ukosa na kuzynkę, która przed chwilą wystawiała mi wujaszka prawie jako istnego głupca. Myślałam, że na jej twarzy wyczytam ciche niejako przyznanie się do winy i lekkie zawstydzenie. Lecz omyliłam się. Twarz jej i oczy pałały wyrazem wielkiego zajęcia. Z niemniejszą ciekawością i z niemniejszym uwielbieniem słuchałaby w Paryżu wielkiego jał-

mużnika cesarskiego, gdyby kazał w Wielki tydzień. Korzystając z przestanku wujaszka, rzekła:

— Jakże ślicznie i trafnie kochany kuzyn to powiedziałeś! Dawniej były wielkie cnoty, wielkie namiętności, wielkie błędy! Dzisiaj, pigmejczycy, naśladowujemy ruchy dawnych tytanów! Morską burzę przedstawiamy sobie w szklance wody; zabijają się z miłości tylko aktorowie teatru przy *Porte saint Martin*, i tylko biedna publiczność, tylko uwryery w zakasanych rękawach przypatrują się z upodobaniem konsekwencyom prawdziwego uczucia. Na wszystko dziś mamy środki, zacząwszy od migreny, a skończywszy na wiarołomstwie małżeńskim.

Z mówiącej nie spuszczałam oczu. Twarz jej grała najrozmaitszemi barwami. W oczach palił się ogień jasnym płomieniem. Ręce jej drżały i cała pierś zdawała się przepełnioną. Przysunęłam się bliżej do niej, bo ciepło, z jakim mówiła, przyciągało mnie. Widziałam w niej w tej chwili istotę z lepszym organizmem duszy i serca, którą tylko z wierzchu przyprószył pył światowy.

Wujaszek słuchał jej z ukrytym pod wąsami uśmiechem. Gdy skończyła, mówił dalej:

— W samej rzeczy, wiara w sztuczne życie jest dzisiaj wielką klęską naszego społeczeństwa. Ognia bowiem, który spaja cementem towarzystwo, nie zastąpi sztuczny blask z latarki magicznej. To co się z niej na ścianie odbije, to będą tylko zimne, na szkle malowane figurki. Znałem ubogiego malarza, który nie mając za co u siebie postawić pieca i ogrzać, namalował go na ścianie tańszym kosztem. Czy było mu cieplej w izdebce? Wątpię. Podobni do tego ubogiego malarza, są ludzie ubodzy w prawdziwe uczucia. Nie mogąc ich w sercu swoim rozniecić, malują dym i płomień w spojrzeniach swoich, w ruchach, a wreszcie używają frazesów, jakby ów biedny malarz chciał na swoim malowanym piecu napisać: Tu pali się ogień!...

Przyrównanie do biednego malarza wszystkim podobało się. Dziadunio musnął po swoich siwych wąsach, uśmiechnął się do mnie przygasłym blaskiem oka i rzekł:

— Ej, kochany Nikodemie! Trafne i rozumne prawisz rzeczy, ale gdybyś to wynalazł jakiś sposób, aby nam przy siwych włosach naszych wierzone, gdy na lewej stronie naszego surduta położymy podobny napis, jak ten biedny malarz na piecu swoim.

— Rodzice w naszym wieku — odparł wujaszek — przenoszą z siebie ten napis na dzieci swoje, a tylko wolno im potem rozdmuchiwać, co się tam samo zajmie.

Nie wiem jak się to stało, że w tej chwili spojrzenie moje zeszło się znowu ze spojrzeniem mego stryjaszka. Wpatrywał się we mnie, jak inkwizytor w obżałowanego. Zdaje mi się, że oboje wzajemnie szukaliśmy owych namalowanych drzwiczek, z zapisem: Tu pali się ogień.

Snać tego napisu nie znaleźliśmy, bo spokojnie patrzyliśmy na siebie. Na czole mego sąsiada przemykała tylko mała chmurka. Zapewne myślał sobie o kimś, który tu nie był obecnym.

Uderzywszy go wachlarzem po ramieniu, rzekła do niego kuzynka Natalia:

— Budzę cię, Leonie! U ciebie, jak widzę, noc ciemna, to uważaj przecież na stróża nocnego, który w ołaj Ostrożnie z ogniem!

— Jest to smutna rzecz — ozwał się żartobliwie — skazać się na noc ustawiczną, nie mogąc z sobą zabrać słońca swego.

— Nie noc mnie trapi, piękna kuzynko — odparł z pogardliwym uśmiechem — ale obawa i smutek, że przygasa moje słońce.

— Jestto nauka dla kochanego kuzynka — odpowiedziałam żartobliwie — aby sobie takie słońce wybierać, które ma więcej oleju.

— Prozaiczność mojej kuzynki zmartwiłaby mnie nie-
mało gdybym nie czytał na niej napisu: t. j. *parafuoco!*¹⁾.
Za tym jednak parawanikiem jest zupełnie coś innego.

— Więc jakąż byłaby różnica między mną a tymi bie-
dnymi ludźmi, o których przed chwilą mówił wujaszek? —
zapytałam.

— Bardzo łatwa na to odpowiedź — odparł kuzynek
niebale. — Pani zakrywasz płomień duszy i piszesz na pa-
rawanie: tu śnieg i gruda! A tamci biedacy na lodowatych
ścianach swego serca piszą: Tu się pali!

— Szczególna różnica! — pomyślałam sobie — ale na
to nic nie odpowiedziałam.

Wyręczył mnie dziadunio w tej chwili, bo nasrożywszy
wąsy, zawołał smutno:

— Czy taki, czy owaki napis, to mniejsza, byle tylko
wierzone. Ale choćbyś na starem próchnie sto razy napisał
»to drzewo zdrowe«, nikt ci nie uwierzy. Bogdaj to można
jeszcze napisami łudzić! Ale odeszliśmy od przedmiotu. Słu-
chamy więc dalej z uwagą, szanowny kuzynie.

— Tyle rzeczy nagadaliście, że już trudno mi wrócić
do wątku — odparł zafrasowany wujaszek. — Zresztą prze-
czuwam, że tak dla słuchaczy moich, jakoteż i dla mnie
samego, zbliża się ważna pora. Słyszę w sąsiedztwie na-
szem brzęk talerzy. Sprawę więc o wychowaniu zostawmy
na później.

W tej chwili weszła wujenka do salonu, a za nią po-
jawił się w nowej liberyi Stefan, oznajmiając, że obiad na
nas już czeka.

Rozruszana taką niezwykłą pogadanką, z twarzą zaru-
mienioną i z sercem żywiej bijącym, wpadłam do mego po-
koiku przed obiadem jeszcze, aby wziąć na siebie lżejsze ręk-
kawki. Byłam wesołą i nuciłam sobie jakąś aryjkę z komi-
cznej operetki.

¹⁾ Zasłona od ognia.

Przechodząc koło okna, spojrzałam mimo woli poza parkan. »Dzidzi« siedział w tej samej pozycji — smutny i bardzo zamyślony!

VIII.

Przy obiedzie wesoło czas nam zeszedł. Siedziałam naprzeciw kuzynka, mogłam więc wybornie patrzeć na niego. Jeżeli zaś wypadło mi być niewidzianą, zwróciłam tylko lekko głowę na prawo, a duży, świeżo ułożony przez Stefana bukiet zasłaniał mnie zupełnie. Byłam więc w lepszej od niego pozycji i mogłam wybornie maskować wszelkie moje wycieczki na niego.

Po prawej ręce miałam Natalię. Było to dla mnie bardzo dogodnem, bo gotowa zawsze do konwersacyi, zasłaniała moje porażki, jeżeli jakie mi od kuzynka groziły.

— Między mną a sobą ustawiła kuzynka kwiaty, rzekł zaraz na początku kuzynek. Ciekawy byłbym wiedzieć, jakie znaczenie ma ta zaporą.

— Smutne to bardzo spostrzeżenie, kuzynku — odpowiedziałam tonem żołosnym — tem smutniejsze, gdy je należy sprostuję. Nie ja, ale ręka obca, bo Stefana, postawiła tę zaporę między nami. A jest prześliczna bajka, która nam powiada, że zapory podobne bywają nie do przebycia.

— Ciekawy jestem tej bajki — odparł kuzynek niedbale.

— Była zaklęta księżniczka — mówiłam dalej — którą chciał mimo jej woli wyswobodzić jakiś rycerz błędny. Uciekając więc przed nim, rzuciła za siebie gałązkę. Z gałązki wyrósł nagle las dziki. Rycerz wziął się do siekiery i wyciął las. Księżniczka rzuciła za siebie igłę i powstał las z samych igieł. Rycerz powyłamywał igły, które tak były długie i grube, jak druty angielskie od naszych robótek, i pędził dalej za księżniczką. Ta w rozpaczy nie wiedziała co zrobić. Wyjęła kwiatek z włosów i rzuciła po za siebie. I wyrósł w oka mgnieniu prześliczny ogród w guście fran-

cuskim, z klombami róż, ze ścieżkami starannie wygracowanymi. W środku klombów były fontanny, drobne listki akacyi przeglądały się wraz z gołąbkami w szklanej szybie basenu, świegotliwe ptaszki nuciły jakieś pieśni miłośne, a co kilka kroków były wygodne fotele do wypoczynku. Słowem był to ogród rozkoszny! Śmiał się z razu rycerz z tak małej przeszkody. Gwizdając sobie aryjkę Offenbacha, szedł po szerokich, piaskiem wysypanych ścieżkach. Przypatrywał się po drodze pięknym różom i tulipanom, słuchał szmeru spadającej wody, podsłuchiwał opowiadających sobie coś słowików i od czasu do czasu siadywał dla wypoczynku na rozstawionych fotelach. Tymczasem księżniczka uciekła!

Dostałam powszechnie brawo za tę bajeczkę, którą sama skomponowałam, a przynajmniej ustęp o kwiatach, czyli o ogrodzie rozkoszy do starej jakiejs gadki dorobiłam. Concept mój ucieszył mnie niezmiernie. Widziałam wyraźnie, że i wujaszek nim się ucieszył, a kuzynka moja aż w ręce kłaskała. Pierwszy ozwał się wujaszek:

— Trafnie, bardzo trafnie! Świat ze swemi rozkoszami jest często przeszkodą, przed którą zatrzymujemy się w najszlachetniejszych naszych przedsięwzięciach. Wszystko łamie się o tę zaporę, a przed nią i za nią jest wiele serc rozdartych i dusz złamanych.

— Nie chciałam tak tragicznego tonu nadać bajce mojej — rzekłam z pewnem nieukontentowaniem.

Kiedy, mówiąc to, spojrzałam na mego kuzynka, ujrzałam go krającego mięso z największym spokojem i z największą systematycznością zawijającego je w sos musztardowy. Odbywszy tę operację jaknajdokładniej, zjadł mięso z dobrym apetytem, a popiwszy je winem, ozwał się po chwili:

— Żalby mi było tego biednego rycerza, który ideał swój w tak lekkomyślny sposób postradał, gdyby rzecz tak się miała, jak to kuzynka zgrabnie opowiedziała. Ale tak w samej rzeczy nie było. Znam doskonale całe to zdarzenie. Uciekająca przed swoim adoratorem księżniczka, wprowadzie

rzuciła za siebie piękną różę, aby go kwiatami w pogoni zatrzymać. I temu nie przeczę, że z tej róży wyrósł ogród przesłiczny. Ale co w tym ogrodzie rycerza zatrzymało, to nie była ani woda, ani akacja, ani słowiki. Podanie niesie, że za klombem narcyzów, obaczył piękną damę, która jego dawny ideał daleko zostawiła za sobą. Zakochał się więc w nowym swoim ideale, a za księżniczką, podobno ku wielkiemu jej zmartwieniu, już odtąd nie gonił. Słyszałem nawet, że się kilka razy oglądała...

Kuzynek dostał również brawo od wszystkich. Sąsiadka moja klaskała najgłośniej, a oczy jej błyszczały prawdziwą radością. Wujaszek rozśmiał się serdecznie, obtarł serwetą usta i rzekł:

— Jakikolwiek koniec jest tej bajeczki, zawsze sens moralny pozostaje niezmienny. Mam uciekającą księżniczkę w wielkim podejrzeniu. Zdaje mi się, że to była tylko taktyka z jej strony, jakiej dzisiaj ładne panie również używają... Sama potrawa już nam nie smakuje, trzeba musztardy. Trzeba udać uciekającą, aby być złapaną. Ale taktyka ta nieraz zawodzi i przynosi skutek zupełnie przeciwny. Najniebezpieczniej jest wystawiać odoratora swego na próbę. To jest sens moralny tej bajki, pierwszej i drugiej edycji.

Zamieniliśmy znowu spojrzenia z kuzynkiem, ale w tych spojrzeniach, nie było nic innego, jak przegląd wzajemny.

Rozmowa nasza szła dalej w tym samym duchu. Była to niewinna, a nawet dziecinna szermierka słów, spojrzeń i całych frazesów. Wiedziałam z góry, że to zabawka tylko, i nic więcej. Ale zabawka ta miała dla mnie wiele ponęty, bo do odegrania podobnej roli na seryo w życiu, przygotowałam się już oddawna. Była to więc jakaś niewinna i bezkrwawa tyralierka, dla wypróbowania doniosłości strzałów. O samej bitwie nikt z nas nie myślał. Miałam niezłomne przekonanie, że mój kuzynek tego samego jest zdania. Posiadałam tego, niestety, jasne dowody — jego spokój i niczem niewzruszoną obojętność.

Tak minął czas obiadu. Po obiedzie wróciliśmy znowu do salonu, gdzie już zastaliśmy czarną kawę. Natalia wzięła cygaro i pierwsza zapaliła. Za jej przykładem poszli ojciec i kuzynek, upomniawszy się pierwaj o nasze pozwolenie.

— Jeżeli chcecie, abym w waszym dymie siedział, zaczął wujaszek, to pozwólcie przynajmniej, żebym wam dalej coś o moim Emilu powiedział.

Natalia przybiegła do wujaszka, wyjęła z ust cygaro i uklękła przed nim, jak małe dziecko. Bardzo jej było z tą rolą do twarzy. Malutka, z noskiem figlarnie do góry zadartym, z wymownemi piwnemi oczyma, wyglądała jak jedna z tych pięknych kusicielek pustelnika na obrazie, który widziałam w Paryżu.

— Nieograniczonej dobroci kuzynie — rzekła błagalnym głosem — prosimy o ciąg dalszy tej prześlicznej rozprawy. Mówiłeś tak pięknie o braku wszelkiej dzisiaj namiętności. Jakież więc nadzieje dajesz nam na przyszłość? Czy mamy być zawsze owemi pariami społeczeństwa? Czyż serca nasze mamy zawsze napełniać tylko jałmużną wyżebraną, tym czerstwym chlebem, jakim każdego dziadka raczą miłośnierne gospodynie? Wprawdzie, jak ten dziadek z torbą żebraczą miewa wesołe dni prazników, tak i my miewamy chwile jaśniejsze. Ale jakież to są te chwile? Takie same jak dziadka na odpusćie. Pijani niepoczciwym trunkiem jaki nam podają, dostajemy zawrotu głowy, marzymy o szczęściu, a tymczasem następuje rozczarowanie, szal ulata, i podobni do odpustowego dziadka, leżymy na zimnej, wilgotnej ziemi, a jałmużnę z torby psy nam powyżerały.

Głos jej był tak sympatyczny, że mimo kurzącego się cygara, które w lewej ręce trzymała, słuchaliśmy i patrzyliśmy na nią z upodobaniem. Kuzynek zdawał się najmniej przyklaskiwać tym sentymentalnym słowom Natalii. Zajęty był naprawą rozkręconego cygara. Wujaszek zato był w ekstazie. Podniósł ją z dywanu, ścisnął serdecznie za obie ręce i rzekł:

— Bardzo się cieszę, że słyszę ten krzyk bóleści kobiecej. W takich rzeczach niema nic gorszego jak apatya.

— Dla Boga! — zawołał kuzynek — wywołujesz pan zmorę, którą Europa trzyma na stu łańcuchach... Widzę już palące się dachy. Sufity trzecich pięter, wraz z bohaterkami francuskich powieści, zapadają się i lecą na drugie piętra, rugując stamtąd dawnych lokatorów. Zamknięte ekwipaże przelatują z tajemniczą treścią swoją przez bulwary lub Krakowskie przedmieście... mężczyźni ściśniętym szeregiem bronią swoich gukierów i niepodległości... amazonki z rozpuszczonymi włosami nacierają, mordują, biją, mszcząc się naraz za kilka generacyj!... Słowem rewolucya... świat cały w płomieniach!...

Zmarszczyłam się nieco na ten niedorzeczny wybryk kuzynka i rzekłam:

— Jak widzę, kuzynek lubi grać w dysakordach. Jest to wprawdzie cechą muzyki najnowszej, ale harmonia ma za sobą kilka wieków.

— Helencia ma słuszość — wtrącił wujaszek — i o to też głównie mi chodzi w moich pracach, aby grę dysakordów wyrzucić, a natomiast wprowadzić zaniedbaną dzisiaj harmonię.

— Więc szanowny kuzyn jest tego zdania, że dzisiaj niema między nami harmonii? — wtrącił kuzynek. — Dzięki Bogu! to kłótnia przynajmniej ma jakiś swój powód... Czy piękna kuzynka zawsze tak lubi sprzeczkę?...

Wujaszek nie dał mi na to odpowiedzieć słowami. Odpowiedziałam wzrokiem, a wujaszek zaczął zaraz:

— Że dysharmonia w społeczeństwie jest wielka, to rzecz namacalna. Rzemieślnik nie żyje z żoną w zgodzie — mówimy: to czyni brak wykształcenia? Hrabia X. rozszedł się z żoną swoją, a nawet z pewnym skandalikiem — mówimy... cóż mówimy? Wykształcenie było, majątek był — cóż więc spowodziło tę dysharmonię?... Nie byli z siebie kontenci. Jaktó! Wszak przed ślubem byli tak rozkochani!

Prawda, ale po ślubie jakoś zabrakło afektu, niewiedzieć czy panu, czy pani?...

— Ależ wujaszku — przerwałam — któż kiedy pisał o romansie po ślubie?

Wujaszek zerwał się z krzesła, a podnosząc rękę groźnie do góry, zawołał:

— Otóż temat, o którym chcę mówić dzisiaj. Cała literatura powieściowa popełniała dotąd ten błąd, że dwoje ludzi, którzy mieli przeżyć z sobą całe życie, prowadziła tylko do stopni ołtarza. Tu skończyło się jej zadanie. Co się z tymi ludźmi po ślubie stanie, czy będą tak szczęśliwi, jak to im autor na ostatniej kartce przyobiecał, czy idąc wreszcie do ślubu, wzięli z sobą warunki szczęścia poślubnego — o to nie troszczy się książka! Biedni, rozczarowani kochankowie, widzą po niewczasie, że ich powieściopisarz haniebnie oszukał!... Rozpoczyna się przed nimi nowa droga, o której we wszystkich czterech tomach ani wzmianki nie było. Stają im na tej drodze różne potwory, z którymi nie nauczono ich walczyć. Droga jest pochyła i ślizka, a im nic nie dano, czemby się podeprzeć mogli. A gdy ich wreszcie znużenie opanuje w tej nowej dla nich wędrówce, nie wiedzą gdzie zaczerpnąć orzeźwiającego napoju, gdzie dostać posilającego pokarmu. I dzieje się, że para ludzi, przeprowadzona w powieści według wszelkich warunków sztuki i psychologii, rozbiega się zaraz po ślubie w przeciwne strony, jak wyprowadzone do stropu ściany budynku, jeżeli na nich nie położysz odrazu powały i dachu.

Wujaszek mówił z wielkim zapałem. Sam zapał ma już to do siebie, że wciska słowa głębiej w umysł człowieka. Jakoż wszyscy milczeliśmy i wszyscy, nawet i kuzynek, byliśmy nastroszeni poważnie.

— Korzystając z tego naszego nastroju, wujaszek mówił dalej:

— Otóż, stosownie do tej roboty literackiej, poszło całe wychowanie nasze. Mężczyźni i kobiety uczą się przez

lat kilkanaście tylko tego, czego im potrzeba, aby jaknajkorzystniej stanąć na stopniach ołtarza. Cała nasza nauka, nasza namiętność, stosunki nasze i całe życie, do tego tylko celu są skierowane. Jest to wielka nasza popisowa rola, dla której wszystko inne poświęcamy. Ze skarbów życia, rozumu i doświadczeń nic więcej nie bierzemy ze sobą, jak tylko to, czego aktor na scenie potrzebuje. Trochę różu i bielidła, zgrabną, charakterystyczną co do roli powierzchowność, kołnierzyk papierowy, szychowe błyszczedełka i buty z lakierowanego papieru. A gdy piąty akt skończy się, wtedy każemy przynieść miskę wody i obmymamy się wspólnie z pożyczanych od sztuki powabów. Czy widzieliście panią Pompadour, gdy wychodzi z garderoby teatralnej, zawinięta w prozaiczną starą salopę?... Otóż tak wyglądają nasze małżeństwa dzisiejsze! Patrzą na siebie wzajem, przypatrują się sobie z największą dokładnością, czy ich kto nie oszukał. Pani gotowa wierzyć, że jej jakiś kuglarz wyrządził wielką psotę, a jegośmość poziewa, przypominając sobie dawne czasy...

Po chwili milczenia, mówił znowu dalej:

— Jesteśmy uczeni szermierze w słowach, spojrzeniach, w dowcipie. Ktoby widział spojrzenia młodej naszej kobiety, myślałby, że tam w duszy goreje ognisko wielkich, szlachealnych namiętności. A to tymczasem jest tylko skutek wprawy, rezultat kilkonastoletniej nauki. Cóż z tym nabytkiem robić po ślubie? Dla męża cały ten szych edukacyi już nie jest potrzebny. Ale jakże zakopać ten piękny talent bez lichwy w ziemię, lub schować pod korzec?...

— Kochany kuzyn zaczyna być złośliwym — ozwał się z uśmiechem dziadunio. — Tem bardziej wypadło mi się tak odezwać, że są w naszym towarzystwie damy, których mogę zaraz być rzecznikiem.

— Niech tatko wcale temu nie przeczy — przerwała szybko Natalia — bo tak jest w samej rzeczy. Jesteśmy niešťczęśliwe ofiary zwichniętej edukacyi i szczęściem jest już dla nas niemałem, jeśli się zawczasu ockniemy. Czem bo-

wiem jest kobieta, owa królowa życia, gdy wyjdzie za mąż? Nauczono nas wprawdzie rządzić i panować, ale tylko — do ślubu! Dotąd sięgają nasze rządy despotyczne, a poza tem cóż jest?... Albo śmierć moralna, niewola jednostajna, albo wyłamianie się z zaprzysiężonych paktów konwentów i przyjęcie w postronnem mocarstwie nowej korony...

— Wolność elekcyi jest bardzo przyjemną prerogatywą — wtrącił kuzynek żartobliwie.

— Głosuję teraz za dziedziczością tronu — odparłam, śmiejąc się.

Wujaszek spojrział po nas wszystkich, uśmiechnął się na naszą wtrąconą konwersacyjkę i mówił dalej:

— O to właśnie powinniśmy się starać, abyśmy nie tylko umieli być kandydatami do tronu, ale żebyśmy umieli być monarchami, gdy nas wybiorą. My uczymy się dzisiaj tylko na kandydatów. W starym Rzymie była to osobna nauka... Potrzeba było znać wszystkie drogi, wszystkie sposoby i sposobiki, aby zostać przez lud wybranym. Potrzeba było mieć dla każdego słodki uśmiech, serdeczny uścisk, każdego trzeba było znać z nazwiska, ze stosunków, wiedzieć co go boli a co cieszy, i w stosownym czasie użyć tego wszystkiego. A że tego za dużo do spamiętania, więc byli osobni na to zauszniczy, którzy kandydatowi podpowiadali nazwiska i stosunki spotkanych ludzi. I dzisiaj przy wyborach do ślubu dzieje się to samo. Uczymy się słodkiego uśmiechu, czułych spojrzeń, grać na cytrze, śpiewać i malować, aby tylko być wybranym!... Uczymy się obczyzny, uczymy się narów cudzoziemskich, czynimy studia nad tem co zwabić i przynęcić może, aby być przyjętym!... I cóż się potem staje z wybranym i wyborcami, jeżeli nie umieją być senatorami? Całe życie na to tylko strawili, aby nauczyć się — kandydatury!

Po chwili milczenia ozwał się kuzynek:

— Kandydatura! Jest to bardzo wielkie słowo! A cóż ono właściwie oznacza? Jest to, że tak powiem chwila ocze-

kiwania podczas gry znacznej. A cóż może być przyjemniejszego nad podobne oczekiwanie?

Zaiskrzyły się ciemne oczy Natalii, twarz jej ożywiła się jakimś jaśniejszym kolorytem.

— Leonie, powiedziałaś coś przecudnego! — rzekła. — Jednym słowem bardzo trafnie scharakteryzowałaś najwyższe szczęście i najwyższe nieszczęście! Szanowny kuzyn nasz ma zupełną słuszność. Uczymy się oczekiwać, i wyczerpałyśmy wszystko, co to oczekiwanie stanowi. Jesteśmy jak rybak, którego nauczono tylko z wędką nad wodą siedzieć. Ale co dalej z rybą zrobić, gdy się złapie, tego nie wiemy. Oczekiwanie zaś to wyrefinowałyśmy i zapełniłyśmy takim mnóstwem przyjemnych drobnostek, że nam już wcale o złapaną rybę nie chodzi... Zdarza się nawet, że schwytaną rybę odrzucamy na bok i ponownie zapuszczamy wędkę w wodę. Dlaczego? Bo nas tylko oczekiwania, tylko kandydatury, starania się o wybór uczono, a ta kandydatura tak się nam podobała, że nawet po wyborze nie zrzekamy się jej... Jest więc i szczęście i nieszczęście nasze razem.

Rzekłszy to, pochyliła główkę, a w ciemnych jej oczach zakręciły się łzy. Wiedziona sympatją, przyskoczyłam do niej, wzięłam ją za szyję i serdecznie ucałowałam. Zdawało mi się, że jakieś bolesne wspomnienie podyktowało jej te piękne słowa, w których nie widziałam zupełnej słuszności. Kuzynek zmarszczył czoło i z ukosa spojrzął na nas. Po chwili uśmiechnął się i rzekł:

— Gdybym słowa Natalii chciał wziąć w rzeczywistym znaczeniu, a nie jako pięknie brzmiące frazesy, to musiałbym w tej grupie obu kuzynek widzieć: rozczarowanie w objęciach poezji.

— Więc mnie nazywasz rozczarowaniem — ozwała się Natalia, i piękną główkę podniosła żywo do góry.

Kuzynek spokojnie patrzył na nią. Był wielki kontrast w tych obu twarzach. Artysta dałby wiele za ten widok. Tu wyraz namiętny w oczach, usta zaciśnięte w ostre kąty, po-

stawa podnoszącej się skargi -- tam spokój w twarzy zupełny, pewne zadowolenie z siebie i z drugich, a koło ust, cienki, jak sznurek, wił się nieznacznie uśmiech ironii i pewnego lekceważenia.

— Kuzynek powiedział nieprawdę, która boli — rzekłam, stając pośrodku.

Kuzynek nic mi na to nie odrzekł. Złożył swe usta do śmiechu i wyciągnął do nas obie ręce. Prawą podał mnie na zgodę, a lewą Natalii. Natalia cieszyła się tem poddaniem się kuzynka, ja również przystałam na to.

A gdyśmy się następnie do wujaszka zwrócili, widzieliśmy jak starannie zwijał swój manuskrypt. Uśmiechnął się do nas i rzekł:

— Na dzisiaj dosyć tego. »Emil polski« pójdzie tymczasem do szkoły. Nie dorósł on jeszcze do tego wieku, aby w naszym towarzystwie mógł się *comme il faut* zachować.

Nie zrozumiałam dobrze tych słów wujaszka, byłam jednak do tego przyzwyczajoną, bo wujaszek lubił często tylko w połowie myśl swoją objawiać, a reszta zostawała mu w głowie.

— Żałujemy bardzo — ozwał się kuzynek — że tak pouczającą konwersację przerywamy.

— I że wszystko w świecie kończymy rozczarowaniem — dodała z pewnym przyciskiem Natalia.

— Tak jest, rozczarowaniem, podjął z kurtoazją dziadunio, bo spodziewaliśmy się jeszcze dłużej słuchać.

— Dziękuję wam za komplementa — zakonkludował wujaszek. — A teraz, gdy słońce tak pięknie przygrzewa, możebyśmy z tego skorzystali i wyszli na przechadzkę.

Propozycja ta uradowała mnie. Byłam zmęczoną tą ustawiczną grą słów i frazesów. Zdawało mi się, że siedziałam jak student w ławce i odbywałam egzamin. Chciałam trochę odpocząć, a przechadzka była mi w tej chwili bardzo pożądana. Pozwoliłam więc Natalii gotowalni mojej i wkrótce byliśmy na ulicy.

Tuż pod samo przedmieście, na którym stał nasz dworek, płynęła rwąca, dosyć głęboka rzeka, z wodą tak przezroczystą, że każdy kamyk można było na dnie jej zobaczyć. Mówiłam o tem Natalii, a ta, z właściwym sobie zachwytem, zaczęła zaraz coś z Byrona deklamować, a potem uwiesiwszy się na ramieniu wujaszka, rzekła do niego:

— Fal, prądu, głębin! kochany kuzynie. Zbyt prozaiicznie jest stąpać po tym prochu przedmiejskim, i to jeszcze w sukniach z długimi ogonami... »Dalej na fale, do wiosła! Wodo! gdzie niesiesz, nie dbam ja wcale, byleś mnie nazad nie niosła! Witajcie modre, szumne głębiny!«...

— Dla Boga — zawołał wujaszek — my nie mamy tutaj tak poetycznych głębin, w których są perły i korale.

Nim jeszcze wujaszek dokończyć zdołał, zbiegł kuzynek stromą uliczką ku rzece, dając nam tylko znak białą chustką, abyśmy poszli za nim. Ponieważ sam tylko wujaszek nam towarzyszył, a wujenka, która się wody bała, została w domu, łatwe więc było zwycięstwo. Z tryumfem, z głośnym śmiechem, wzięłyśmy obie wujaszka pod ramiona i skierowały kroki jego mimowoli ku tej stromej ulicze. Psy tylko tego zaułku nadrzecznego nie były nam jakoś rade. Oszczekiwały nas ze wszystkich stron. Przypisywałyśmy obie tę nieprzyjaźń zielonej umbrelce wujaszka, z którą nawet poza dworkiem swoim nie chciał się rozstać.

Nad brzegiem ujrzeliśmy już dwie łódki, czekające naszego przybycia. Podzieliliśmy się w ten sposób, że do większej, pewniejszej łódki siadł wujaszek z dziaduniem, do których i ja się przyłączyłam, a w drugiej, nadzwyczaj małej i wywrotnej, siadł kuzynek z Natalią, która okazywała nadzwyczajną odwagę. I puściliśmy się na dół prądem.

Cały dzień ten życia mego pozostanie mi żywym w pamięci. Zacząwszy od owej niewinnie a tak fatalnie użytej czerwonej koszulki, od owej smutnej katastrofy na ciemnym korytarzu, aż do przejażdżki wodnej, wszystko wyrzyło się głęboko w mej pamięci. Ludzie, żyjący hałaśliwie w świecie,

nie pojmą nawet tego, jak można takie drobnostki pamiętać i zapisywać. W życiu przecież jednostajnem, jakim moje było, w życiu, które zwolna, jak cicha woda, sączyło się regularnie, bez żadnych kaskad i zakrętów, każdy rzucony kamyczek, każde ziarnko piasku od wiatru zanesione, każdy pyłek posłany od kwiatka mąci szklistą powierzchnię i sprawnia kręgi, które aż do brzegu sięgają.

Pogoda była przesłiczna. Słońce wrześnie przygrzewało, jak w lecie. Na ciemno-szafirowem niebie żeglowały białe chmurki, posuwając się zwolna jedna za drugą, jak białe żagle na modrym oceanie... Obok nas rozwijał się niekoniecznie alpejski, ale prawdziwie ładny krajobraz. Strome brzegi rzeki z ostremi załomami, migały się przed oczami naszymi, a białe domki przedmieścia, stojące wysoko na tych brzegach, wyglądały jak owe zakłute dziewice, czekające nieruchomie powrotu kochanków swoich.

Rzeka wiła się w mocne zakręty. Nigdzie nie mogliśmy schwycić szerszego widoku; musieliśmy więc zawsze mieć oczy zwrócone na brzegi, bo ciągle zmieniała się postać całego krajobrazu. Odwrócić się tylko na chwilę, było to samo, co zrzec się jednego widoku, jednej przyjemności, która się nigdy już nie wróciła.

I wydała mi się ta przejażdżka podobną do życia naszego. Jedni mają oczy wciąż na nowe widoki, nowe wrażenia zwrócone. Nie ominą żadnej okazji, żadnego nadarzającego się wrażenia. Zdaje im się, że wszystko połykać, wszystkiego używać muszą. I cóż z tego wynika? Oto to samo, co mnie się stało. Zawróciła mi się głowa z wyteżonego patrzenia na wszystkie nowe widoki, w oczach mi pociemniało, widziałam tylko przed sobą jedną ciągnącą się bez końca czarną wstęgę, byłam jakby pijaną, jakby odurzoną!...

Wujaszek mój lepiej zrobił. Zaraz na wstępie wybrał sobie jeden daleki widok. Był to mały kościółek, na lesistem wzgórzu. Białe mury jego odbijały od sino-zielonawej ściany jodeł, a ciemny dach rysował się efektownie na jasnym tle

nieba. Ten widok jedynie zajmował go przez całą naszą podróż. Cieszył się, jak przy zmienionym biegu wody zmieniał się i ten kościółek, jak rosły i chowały się jego dwie wieżyczki, jak malał i wzrastał, ciemniał i znowu jaśniał w purpurowem świetle zachodzącego słońca!...

Widziałam, jak się wujaszek unosił nad tym widokiem i ciągle odzywał się do mnie, wykrzykując to z radości, to z żalu, w miarę tego, jak się kościółek chował, lub ponownie pojawiał.

— Czemuż to nie wszystkim dane jest wybrać sobie jeden cel i przy nim pozostać? — pomyślałam sobie. — Czemuż tak chciwie łakniemy za wszystkim tem, co nam tylko w oczy wpadnie, aby potem znużyć się wszystkim i jak pijani dostać zawrotu głowy?...

— Już go więcej nie obaczę — zawołał smutno wujaszek — a zgubiłem go właśnie w chwili, gdy mi się najlepiej podobał... Ach nie! Widzę małą, jasną smugę... coś błysło w promieniach słońca... to on! to on!...

Stałam odurzona na łódce. Oczy moje już były zmęczone. Spojrzałam na drugą łódkę. Płynęliśmy obok siebie w jednej linii, tylko o jakie dziesięć kroków oddaleni. Kuzynek patrzył ku naszej łódce. Natalia stała oparta na nim.

W tej chwili zauważył rybak, że płyniemy przez wielkie głębiny. Wir nieustanny zataczał szerokie smugi wkoło naszych łódek. Strach było patrzeć na wodę, tak tam coś wrzało i kipiło w głębi...

Zmęczona, spojrzałam przed siebie. Na samą myśl tej głębi, zrobiło mi się słabo. Zachwiałam się i oparłam o ramię wujaszka.

— Cóż ci to, Helenciu? — zawołał nagle wujaszek przestraszony.

Pan Leon usłyszał to. Łódka jego płynęła zwężonym prądem, o jakie sześć kroków. Zmierzył szybko przestrzeń oczyma, stanął na krawędzi łódki i jednym zręcznym skokiem był koło mnie...

Teraz dopiero zrobiło mi się naprawdę słabo, mocno słabo. Chociaż to była tylko jedna chwila, zmierzyłam jednak lotną myślą całe niebezpieczeństwo, jakie mu w tym szalonym skoku zagrażało... Ale nie było czasu zatrzymać się przy tej strasznej myśli. Krzyk przerażający rozległ się po wodzie, wysokie bałwany wzruszyły naszą łódkę, piana bryzgnęła nam w oczy — drugiej łódki już nie było!...

Za chwilę ujrzeliśmy ją znowu: płynęła obok nas, jak grzbiet wieloryba — dnem do góry. Silne trącenie Leona wyrzuciło ją.

Co się dalej działo, nie wiem. Gdy przyszła do zmysłów, siedziałam na brzegu, oparta o jakieś drzewo. Koło mnie stały dwie kobiety i trzymały mi głowę, która ciągle w tył opadała. Tuż koło mnie siedziała Natalia, cała blada i drżąca. Jakaś obca kobieta kładła na nią płaszcz swój. Kuzynek stał u stóp naszych, z twarzą nieco zarumienioną, choć trząśł się także od niespodziewanej kąpieli. Owinął się fantastycznie w płaszcz wujaszka, bez którego ten nigdy nie opuszczał dworku i patrzył kolejno to na mnie, to na Natalię. Wujaszek i dziadunio zajęci byli dyspozycją, którą dawali jakiemuś dorożkarzowi, aby z brzegu na dół zjechał bez szwanku.

Wreszcie udało się dorożkarzowi podjechać. Wsiedliśmy do dorożki i w milczeniu udaliśmy się do domu. Dziwnie jakoś zaprzątiniony był umysł wszystkich.

Tymczasem przed nami szła przez całe przedmieście wiadomość o naszym wypadku. Spotykaliśmy ludzi biegnących ku nam, którzy zatrzymywali się, widząc nas wracających. Z okien domków wyglądały ciekawe twarze, i widać było na jednych przestraszanie, na drugich politowanie, a na trzecich prostą ciekawość. Byli może i tacy, którzy widząc nas zupełnie zdrowych i całych, czuli się zawiedzeni w nadziejach swoich.

Dojeżdżając do naszego dworku, zbliżyliśmy się do domku ciemnego organisty. W bramie, z odkrytą głową,

stał bardo zadumany »dzidzi« i dużemi, czarnemi oczyma patrzył na mnie.

— Niepocziwy! — pomyślałam sobie — toż potrzeba było takiego nieszczęścia, abyś się na mnie popatrzył! Dopiero przez rozgłos tak smutnego wypadku zwróciłeś uwagę na mnie, podczas gdy ja z poza firanek i kwiatków tyle razy na ciebie patrzyłam.

Wujenka przerwała dalszy ciąg tych gniewnych myśli. Wybiegła z krzykiem na ulicę i zaczęła nas ścisnąć i płakać. Tysiące pytań zadawała nam, ale żadne z nas nie odpowiedziało, bo nikt nie umiał sformułować należycie tego dziwnego wypadku. Milczenie to prawdopodobnie stąd pochodziło, że każdy w myślach swoich inaczej sobie to zdarzenie tłumaczył, a nie chciał tego wobec drugich objawiać. Zaledwie kilkoma słowami zbyliśmy wreszcie tę sprawę i wzięliśmy się zaraz do przebrania się.

Gdyśmy za godzinę wszyscy w salonie siedzieli, zaczęliśmy nieco szerzej mówić o tem nieszczęściu. Jeden zwał winę na drugiego, a w końcu okazało się, że nikt nie był winien, tylko jakieś dziwne fatum, które tego dnia zdawało się ciążyć nad dachem przedmiejskiego dworku. Po zebraniu więc wszystkiego razem, stanęła uchwała jaknajpowszechniejsza, że to »wielkie szczęście stało się«, bo bylibyśmy mogli wszyscy, jak ślepe myszy, potopić się.

Wujaszek nie mówił wiele, tylko sobie wąsy motał. A gdy już dyskusya wyczerpała się, rzekł z uśmiechem:

— Dziwny to rycerz z ciebie, Leonie! Spiesząc do jednej kobiety, topisz drugą; później porzucasz pierwszą, aby tę z narażeniem życia ratować. Czyżby nie lepiej było zostać tam gdzie byłeś?

Ze zwykłym spokojem a nadzwyczajną kurtoazją ozwał się Leon:

— Zdaje mi się, że ten fakt był absolutną potrzebą, aby w pamięci kuzynek tem głębsze wspomnienie o sobie zostawił.

Natalia, która za powrotem z tej przejażdżki stała się bardzo małowówną i była ciągle przestraszona, nie odpowiedziała nic na to powiedzenie kuzyna. Wstała nagle z fotelu, a złapawszy małego Azorka, siadła przy nim po dziecinnemu na dywanie. Pochyliła się nad nim i pieszcząc go, rzekła do niego:

— Pocziwy Azorku, ty o mnie nie zapominasz! Ty mnie lubisz!...

IX.

Wieczór tego dnia przeszedł bez żadnego ważniejszego zdarzenia. Nie byliśmy jednak tak wesoło nastrojeni jak dotąd. Odegrałam kilka utworów na fortepianie, odśpiewałam arję z »Trovatore«, i na tem skończyła się nasza zabawa. Natalia bowiem była przez cały czas cierpiącą. Siedziała smutna i miewała od czasu do czasu dreszcze. Niespodziewana kąpiel w rzece zaszkodziła jej, do czego również przyłączył się i przestach.

Nim jeszcze do herbaty nakryto, oświadczyła, że jest chorą i pożegnała towarzysto. Zaprowadziłam ją do moich pokoików i kazałam przysposobić łóżko. Nie chciałam jej samej zostawić w gościnnym pokoju. Natalia przyjęła serdecznie moją gościnność i spazmatycznie ścisnęła mnie za rękę. Biedna Natalia! miała tak silną gorączkę, że ręka jej pałała jak ogień.

Ta niedyspozycya Natalii popsuta nam cały wieczór. Musieliśmy się rozdzielić, a ja zostałam już cały czas przy łóżku chorej mojej kuzynki. Mówiliśmy wiele z sobą, ale temat naszej rozmowy był obojętny i okolicznościowy. Wreszcie, powiedziawszy sobie wzajemnie »dobranoc«, rozstałyśmy się, a ja odeszłam do mojej sypialni.

Przystąpiłam do okna, aby zasunąć firanki. Księżyc świecił w pełni na niebie, noc była ciepła. Mimowolnie rzuciłam okiem na domek organisty. W oknach domku było

ciemno i cicho. Konary kasztanu rzucały szeroki cień na trawnik, a pod kasztanem siedziała jakaś postać ludzka. Wzięłam binokle, patrzyłam chwilę i poznałam wreszcie, że to był »dzidzi«. Siedział zamyślony, z opartą głową na obu rękach i patrzył przed siebie gdzieś daleko w noc jasną...

— Cóż się takiego stało memu »dzidzi«? — zapytałam w duchu. — Czy niekontent z moich gości? Czy ma jakie niedobre przeczucie? Czy to przeczucie mnie się tyczy?...

Takie i tym podobne dziecinne pytania przebiegły mi przez myśl. Byłam w tej chwili podobną do dziecka, które wypchawszy sobie lalkę, zadaje jej różne pytania, a nawet gniewa się na nią i wyrzuca jej niewdzięczność. Tak samo postąpiłam sobie z moim »dzidzim«. Nazwałam go »dzidzi«, dodałam do tego zaimek »mój«, i odtąd miałam do niego żal, jeśli na mnie się nie patrzył, jeśli był wesoły gdy mnie smutek dolegał, wywracał koziołki, gdy ja miałam oczy zapłakane. Dzisiejszy zaś jego smutek nie był mi również na rękę. Ja byłam wesołą, a nawet weselszą niżeli kiedyindziej, a on zadumał się, podparł rękami głowę i faworyta swego bluzaka od siebie odpędził.

Kiedy tak sobie myślałam, usłyszałam w pokoju Natalii mocne stęknienie. Wzięłam lampkę do ręki i cicho na palcach, zbliżyłam się do jej łóżka.

Natalia leżała na wznak, a ręce jej zwisły ku ziemi. Twarz miała mocno czerwoną, mieniącą się co chwila najrozmaitszemi kolorami; usta jakby coś mówić chciały, a pierś podnosiła się z wielkiem wytężeniem, jakby miała do walczenia z niezmiernym ciężarem.

Pochyliłam się nad nią i szepnęłam z cicha:

— Co ci jest, Natalio?

— Nic mi nie jest... — wyszeptała, nie otwierając jednak ocz — nic mi nie jest... dobrze mi i przyjemnie! Ale on... jest smutny... tak, on musi być smutny!... Porzucić i daleko... daleko!... Ty musisz zapomnieć... musisz zapomnieć go!... Nie, nie... ja muszę się śmiać, śmiać...

Tu zaśmiała się śmiechem przeraźliwym, spazmatycznym, a gdy ten śmiech prawie dławić ją zaczął, położyłam lekko rękę na jej skroni.

Otworzyła oczy, zdziwiona spojrzała w koło siebie. Poprawiwszy szybko włosy, podniosła się w łóżku i rzekła:

— Cóż to Helenciu? Czy jesteś chorą? Co ci takiego?

Opowiedziałam jej, że miała jakiś sen dziwny i że coś mówiła do siebie. Gniewnie zabłyśły jej oczy. Rzuciła głowę do góry, siadła prosto w łóżku i zapytała:

— Cóż mówiłam?

— Dziwnie mówiłaś — odpowiedziałam — i to dziwniej, że słowa twoje były odpowiedzią na myśli moje.

— O czemże myślałaś? — podjęła szybko, a twarz jej, zarumieniła się gorączką.

Siadłszy przy łóżku, opowiedziałam jej w krótkich słowach moją dziecinną zabawkę z mieszkającym naprzeciw studentem łacińskim. Odmalowałam w ponętnych kolorach jego poczciwy charakter, jego misterne koziółki wyprawiane z dziećmi, jego niefortunną naukę łożenia po drzewach, wreszcie modlitwę poranną i inne popisy wokalnie-muzykalne, do czego dodałam także postać poetyczną ciemnego organisty.

Gdy wszystko to wypowiedziałam, zapytała w roztrągnięciu Natalia:

— I cożeś przed chwilą o nim myślała?

— Od czasu waszego przyjazdu — odparłam z całą szczerością — mój »dzidzi« strasznie jest zamyślony. Siedzi i myśli, jakby chciał koniecznie odkryć tajemnicę wymawiania *c* przez prawdziwych Rzymian.

Natalia zamyśliła się chwilę nad tem. Twarz jej przybrała wyraz surowy. Po chwili jednak rzekła rozpogodzona:

— I cóż ja mówiłam we śnie, co tak łatwo przystosowałaś do twego »dzidzia«?

— Mówiłaś — odpowiedziałam — że on rzeczywiście jest smutny, i że musi być smutny, bo ja go porzucę i zapomnę o nim!... Jakkolwiek te słowa nie oddają bynajmniej

mego stosunku do niego, jednak jest w nich coś co można do moich myśli przystosować. Sen twój był dziwnie magnetycznym.

Natalia patrzyła badawczo w moje oczy przez czas niejaki. Poczem uśmiechnęła się, wzięła mnie za rękę i rzekła:

— Musisz mi go pokazać, tego »dzidzia«.

— I w tej chwili mogłabyś go widzieć, gdyby nie słuszną obawa zaziębenia się.

Zamiast odpowiedzi, wyskoczyła Natalia równemi nogami na dywan i jak kula pobiegła do mojej sypialni.

Zastała tam firankę podniesioną i binokle na oknie.

— Wszystkie przybory, a miejsce jeszcze ciepłe — szepnęła żartobliwie, biorąc binokle do oczu, a lampkę stawiając koło siebie.

— Tylko zgaś lampkę — ozwałam się — bo ona nas zdradzi.

Natalia na to nie zważała, tylko patrzyła z zajęciem w noc księżycową. Obeszłam ją w koło i zgasłam lampkę. Potem wraz z nią spojrziałam poza parkan. Ale lampka widać już zdradziła nas. »Dzidzi« nie siedział pod kasztanem, tylko stał przy samym parkanie, zaledwo o szerokość ulicy oddalony od nas i... patrzył się w moje okno. Wyglądało to na *rendez-vous* najzupełniejsze.

Natalia cofnęła się szybko od okna, a uściskawszy mnie i ucałowawszy, szepnęła mi do ucha:

— Nie przeszkadzam, a nie wierz temu com mówiła przez sen.

I wyślizgnęła się jak piskorz z mego objęcia; nie mogłam nawet schwycić końca jej szaty. Chciałam pójść za nią, ale ona przed nosem zamknęła mi drzwi i w zamku obróciła kluczem.

Nazajutrz żartowałyśmy jeszcze nieco z tego wypadku wieczornego. Natalia jednak unikała rozmowy o tem co zaszło. Sen pokrzepił ją nieco. Mimo to twarz jej powlekała się bladością, usta ściągał jakiś bolesny uśmiech. Była nad-

zwyczaj małomowna i roztargniona, jakby podróż bliska zajęła cały jej umysł.

Nalegaliśmy wszyscy na gości naszych, aby jeszcze zostali u nas. Za powód przytaczaliśmy gorączkowe usposobienie Natalii po wczorajszym przeziębieniu się. Ale sama Natalia nastawała na bezzwłoczny odjazd, mając po temu bardzo liczne przyczyny, które jedną po drugiej dobitnie wyłożyła.

Nie mogąc więc dłużej gości naszych zatrzymać, pożegnaliśmy ich zaraz po obiedzie.

Pożegnanie nasze nie miało w sobie nic nadzwyczajnego. Dziadunio wypowiedział nadzieję swoją, że w stolicy wkrótce się obaczymy, gdyż wujaszek przyrzekł mu wyprowadzić się z tego miasteczka. Kuzynek przeproszał, że mnie dwa razy przestraszył i przyrzekł święcie, że tego już po raz trzeci w stolicy nie uczyni. Natalia serdecznie uściśkała mnie i wypowiedziała swoją wątpliwość, abym tak prędko opuściła to romantyczne ustronie...

Po wyjeździe gości chciałam wrócić do zwykłych moich zatrudnień. Wzięłam najprzód rozpoczętą książkę i zaczęłam czytać. Tak długo jednak trzymałam ją otwartą na jednej stronicy, że uznałam za stosowniejsze odłożyć ją na bok. Przystąpiłam do fortepianu. Palce nie chciały mnie słuchać dzisiaj, same fałszywe tony wychodziły z pod nich. Wzięłam się do pejzażu szwajcarskiego, ale ten jeszcze gorzej wyszedł na mojem usposobieniu.

Przypomniałam sobie mego »dzidzi«, chodził pod kasztanem tam i nazad. Dzieci zbliżające się do niego odtrącał jakimś gniewnem, urywanem słowem. Nie podobało mi się to. Odeszłam od okna i z pewną demonstracją spuściłam frankę, aby się na niego nie patrzyć. Poszłam do wujenki i pomagałam jej szyć katanki.

Nie było jednak nic takiego ważnego w tem mojem usposobieniu. Była to chwila nagłej ciszy, próżni, po dniu tak gwarliwie przeżytym, nieznośna pauza po hucznej muzyce. Więcej nic a nic.

Późno wieczorem wróciłam do moich pokoików. Odesłałam służącą i położyłam się w łóżko. Długo jednak zasnąć nie mogłam. Jakieś dziwne, wcale dotąd nieznanne uczucie, którego sformułować nie można, opanowało moje serce. Chciałam je rozmaitemi myślami przytłumić w sobie, ale nadaremnie.

Wreszcie zdołałam trafić na ślad tego niepokoju. Był on prawdopodobnie spowodowany myślą, że wkrótce ustroenie to opuszczę. Niepokój ten był słuszny. Wielką w życiu naszym jest siła przyzwyczajenia. I do łez i do nieszczęść przyzwyczajamy się, i żal nam potem, gdy nam je żegnać przychodzi. Po śmierci matki pragnęłam jaknajprędzej otoczenie moje zapełnić różnemi bodaj mrzonkami, aby tylko nie być samą na świecie. Wszystko więc to, com ubrała choćby nawet w szych i szmatki chwilowych kaprysów, to wszystko musiałabym zostawić za sobą i pójść w przyszłość nieznaną!... Te ściany moich pokoików, ten ogródek mały, widok tych kilku domków ubogich, tych pokrzywionych parkanów — wreszcie tę rodzinę ciemnego organisty, a nawet i poczciwego wujaszka — musiałabym porzucić!

Przy takich myślach moich dziecinnych, stanął mi i mój »dzidzi« kilkakrotnie przed oczyma. Biedny »dzidzi!« On przeczuwa, że go porzucę i dlatego dzisiaj cały dzień siedział taki smutny, zamyślony! Głowę wziął w obie ręce i z dziećmi nie chciał się bawić. I czemuż on się smuci?... Gdym dalej w myślach moich poszła, zdawało mi się, że on bynajmniej niema powodu do smutku. Bo jakaż być może jego przyszłość? Jasna i pewna, jak dzień jutrzejszy! Niema ona żadnych fantastycznych zacięni, jak moja. Krótka i przejrzysta jest jej perspektywa. Prawdopodobnie zostanie organistą na miejscu ojca, przy kościółku Panny Maryi, i pięknym, sympatycznym swym głosem będzie pobóznemu ludowi intonować pieśni pobożne. Domek ojczysty zostanie jego domkiem, ten kasztan rozłożysty udzieli tego samego cienia jego dzieciom, w którym i on przeigrał dziecinne swoje lata. Bie-

dne sieroty, z którymi dziś się bawi, będą w nim miały przeciwnego opiekuna, co pewnie krzywdy im nie zrobi. I tak cicho i spokojnie popłynie tutaj życie jego. Nie zazna on żadnych burz życia i będzie szczęśliwym, jak człowiek szczęśliwym być może. Będzie pożyteczny ludziom swoją nauką i talentem, a może z czasem zgromadzi koło siebie małą szkółkę z dzieci przedmiejskich, i będzie z nimi śpiewać...

Tak myślałam sobie o moim »dzidzim« i zazdrościłam mu tego szczęścia, tego cichego, idylicznego obrazka życia. Porównywując z nim siebie, jakąż wielką różnicę ujrzałam! Przedemną rozciągała się daleka, niewyraźna perspektywa przyszłości. Co mnie tam czeka? Czy znajdę to, o czem codziennie śni dusza moja? Gdzie i w jakie strony zwróci się samotna łódka życia mego? Kto będzie mi sternikiem w tej łódce? Czy powiedzie mnie prądem czystej wody, czy wprowadzi na mielizny i skały podwodne? Przedemną całe morze marzeń i nadziei, a nic pewnego; przed nim wązka drożyna, zamknięta kościółkiem Panny Maryi. On widzi wszystko przed sobą — przed memi oczami ciemno i głucho!...

W tych myślach zasnęłam. Byłam zmęczoną tym wyjątkowym dniem mego życia i zasnęłam twardo, bez żadnych snów gorączkowych.

Słońce już było na niebie, gdy mnie zbudziła moja piastunka. Ubrałam się szybko i poszłam do herbaty.

Przy herbacie siedział już wujaszek, jakoś zamyślony. Wyraz jego twarzy był surowy, co zawsze było oznaką, że nad czemś ważnem się namyśla.

Po chwili zwrócił oczy na mnie, przypatrywał mi się z uwagą czas niejaki, a potem rzekł:

— O tobie, Helciu, myślałem teraz. Jestem twoim opiekunem i mam względem ciebie obowiązki. Tym obowiązkom wszystko jestem zdoln poświęcić.

Przeczuwałam, że tu będzie mowa o wyjeździe do stolicy. Nie wiem dlaczego, ale zadrzałam na całym ciele. Dreszcz przeszedł po mnie, lecz nie umiałabym powiedzieć,

czy był przyjemny, czy nieprzyjemny. Po chwili wujaszek ciągnął dalej:

— Mówił mi pan Tadeusz, a nawet i Leon był tego zdania, żeśmy powinni dla ciebie przesiedlić się do stolicy.

— Mnie tu bardzo dobrze — odpowiedziałam — ale czułam, że rumieniec twarz mi oblał.

Wujaszek patrzył na mnie badawczo czas niejaki, a potem rzekł zwolna:

— Dobrze ci tu być nie powinno, moje dziecię, i najchętniej przystałbym na to, aby do stolicy przenieść się, gdyby inne ważne powody nie zmuszały mnie do powzięcia wprost przeciwnego zamiaru. Może być, że właśnie rada naszych gości wywołała ten zamiar.

Nie zrozumiałam tych słów wujaszka. Patrzyłam na niego, oczekując dalszego wyjaśnienia. Zrozumiał to spojrzenie, uśmiechnął się i rzekł dobrotliwie:

— Mam wiele oporu w sobie, moje dziecko. Lubię, aby każdy krok mój wypływał z własnej woli mojej. Gdyby mi kto coś najlepszego poradził, właśnie nie uczyniłbym tego. Jestto najgorsza strona twego wujaszka, kochane dziecię.

Wstałam, ucałowałam ręce jego i powiedziałam mu ze łzami, że ufam mu bez granic, bo wiem, że co postanowi, to dla mnie najlepszem będzie. Starłam się także przekonać go, że pewien żal ogarnął serce moje, gdym myślała o wyjeździe z tego dworku przedmiejskiego i że teraz dopiero lżej mi się zrobiło, gdym się dowiedziała, że to tak prędko jeszcze nie nastąpi.

Wujaszek patrzył na mnie z uwagą, gdym to mówiła, a potem rzekł:

— Wierzę, że mówisz szczerze. Otóż wiem, że cię teraz wcale nie zasmucę, jeżeli ci powiem, iż postanowiłem jeszcze tutaj rok lub dwa lata przytrzymać cię pod korcem. Mam do tego powody. Świat, moje dziecię, jest jak wielki staw zamarznięty. Rozmaicie przebywają go ludzie. Niebezpieczna bywa ślizka powierzchnia lodu, ale daleko niebezpie-

czniejszymi dla przechodniów są owi śmiałkowie, którzy na łąkach staw przebywają. Pędzą oni pędem błyskawicy, uderzą nas, a nim się oglądniemy, już są daleko.

Dziwnem wydało mi się to porównanie świata ze stawem zamrażniętym. Ale przyzwyczajoną byłam do różnych niezwykłych sentencji wujaszka. Tego tylko byłam pewną, że mnie kocha i tylko tego mi życzy, co dla mnie jest najlepszym.

To uspokoiło mnie, a wstawszy od stołu, byłam tak wesołą, jak dziecię, któremu znowu zwrócono ulubione jego zabawki, konika, lalkę i szopkę z pastuszkami. Byłam już pewną, że tak prędko tego ustronia nie porzucę, że jeszcze czas niejaki będę patrzyła z okna mego na te domki biedne, na ten kościółek z cegły czerwonej i na mego pocziwego »dzidzia«, który przeczuwając prawdopodobnie mój wyjazd, tak nagle posmutniał.

Uspokojona tą dziecinną rozkoszą, pobiegłam, śpiewając do okna sypialni, aby z tą nowiną okazać się memu »dzidziowi« i w smutku jego pocieszyć go, gdy nagle piosnka urwała mi się, a ja stanęłam w oknie jak wryta.

Przed domkiem organisty stał wózek wypakowany słomą. Chłopek i jakiś sługa kościelny, wchodzili i wychodzili z domku i wynosili na wóz jakieś zawiniątka. Dzieci stały pod kasztanem smutno i bezmyślnemi oczami patrzyły na to. Najmłodszy bluzak tarł palcem oko i kilka razy skrzywił twarz do płaczu. Ciekawość tylko, tycząca się wynoszonych tłómaczków, wstrzymywała go od tego.

Kilka razy pokazał się także sam »dzidzi«. Dysponował coś chłopu i prędko wracał napowrót do domku. Przez okno widziałam ciemnego organistę: miał ręce złożone, i zdawało się, że odmawiał jakąś modlitwę.

Wkrótce stanął wóz wyładowany; woźnica zapalił sobie lulkę, wziął bicz do ręki i czekał.

W progu ukazał się znowu »dzidzi«. Był ubrany w podróżną bluzę. Twarz miał zarumienioną, oczy iskrzyły się

gorączkowym ogniem. Przez tych kilka dni odmienił się zupełnie. Z poczciwego studenta, stał się nagle człowiekiem przedsiębiorczym. Włosy miał rozczochrane, jakby tam pod nimi kryły się jakieś niespokojne myśli.

Zawołał dzieci, które przybiegłszy, okręciły się łańcuchem wkoło nóg jego i tak wraz z nim wpadły do domku.

Za kilka chwil ozwała się ostatnia wspólna modlitwa. »Dzidzi« grał tak dziwnie na skrzypcach, jak go jeszcze nigdy nie słyszałam. Tyle skargi, bólu, nadziei było w grze jego!... A ciemny organista z taką uroczystą powagą wtórował mu na pozytywie, takich wspaniałych a zarazem miękkich dobywał tonów, jakby był święcie przekonany, że na odgłos tych tonów błagalnych, otwiera Pan Bóg płaszcz swój błękitny i pozwala modlitwie wejść do swego ucha!...

Po modlitwie nastąpiła pauza. A potem zabrzmiał chór głosów, z towarzyszeniem instrumentów:

»Bywaj mi zdrowy kraju kochany,
Już w mglistej nikt nieś pomroce«...

Znałam, a nawet śpiewałam to śliczne pożegnanie Child Harolda. Piękność jednak i wzniosłość tej poezji, dopiero teraz mogłam ocenić... a kiedy usłyszałam zwrotkę:

»Zamek, na którym brzmiało wesele,
Wieczna żałoba pokryje,
Na wałach dzikie porosło ziele,
W bramie mój wierny pies wyje...

to zdawało mi się, że widzę ten wesoły domek, porosły pokrzywą i ostem, walący się w gruzy...

Nie miałam czasu zatrzymać się przy tym porannym obrazie. Wkrótce nowa zwrotka poruszyła w mem sercu inne struny. Chór powiem śpiewał:

Nie dbam gdziekolwiek losby mną zawrócił,
Groźby nie straszą mnie zwodne,
Ach, żal mi tylko, żem nie zostawił
Nic, coby było łez godne!...

Po tej zwrotce musiałam się od okna odwrócić i łyzy gorące polały mi się z oczu. Nie umiałam sobie wytłumaczyć tego dziwnego uczucia. Muzyka, śpiew, poezja, wszystko to zeszło się razem z dziecinnymi myślami memi i wycisnęło z duszy ten strumień łez...

Otarłam szybko łyzy, ale nie mogłam pozbyć się smutnego uczucia.

— Mój Boże! — pomyślałam sobie — przyszłam do okna z wesołą piosenką, chciałam ulubieńcowi w osamotnieniu mojem przynieść dobrą nowinę, że go nie porzucę, aby rozjaśnił czoło swoje, i jakże go zastałam!

Takie smutne myśli przesuwały się przez serce moje, gdy cała rodzina wyszła z domku, aby »dzidzia« do wózka odprowadzić. Wyszedł biedny, spłakany i rozrzewniony. Po kolei całował i ścisnął dzieci, które chwyciły się nóg jego. Wreszcie zdjął czapkę, ucałował ręce ciemnego ojca i podniósł głowę, aby pożegnać cały domek, te drzewa, kasztan cienisty, ten wzgórek daleki... Oczy jego przemknęły także i po dworku naszym... Wreszcie przyskoczył do wózka, siadł na okłot słomy i jeszcze raz zdjął czapkę, i ręką wszystkich i wszystko żegnał...

Gdy moje okna mijają, zerwałam z z wazonika prześliczną theę, rzuciłam ją niby za nim i pomyślałam sobie:

— To dla ciebie, mój »dzidzi«, ten kwiat biały, bo tak białą i czystą jest dusza twoja! Niech anioł boży podejmie ten kwiat dla ciebie i niech go utwierdzi jako gwiazdę na niebie ciemnych przeznaczeń twoich! Ty nie wiedziałeś czem dla mnie byłeś. A przecież nieraz niewidzialnie miałam cię przy sercu mojem, pozwoiliłam ci pieśczęt i rozkoszy...

I wychyliłam się poza okno, aby obaczyć jeszcze niknący między parkanami wózek. Pod oknem, w gałęziach bzu leżała moja thea. Biedny kwiatek leżał spokojnie, jak ofiara skazana na śmierć przedwczesną. W bramie parkanu stał ciemny organista, a łyzy jeszcze płynęły mu po twarzy. Za rękę trzymał go wnuk najmłodszy i tarł palcem po za-

płakanych oczach. Organista zwrócił się uchem ku stronie gdzie wózek odjechał i zdawał się chwycić ostatnie echa ni-
knącego turkotu...

Odeszłam od okna. Siadłam na sofie smutna i roztar-
gniona. Zdawało mi się, że skończyłam tom pierwszy wła-
snej mojej powieści. Co będzie w drugim tomie?...

X.

Od tego czasu płynęły mi dni smutno i jednostajnie. Żałowałam, że nie jedziemy do stolicy. Utyskiwałam w du-
szy na dziwactwo wujaszka, który prawdopodobnie dla Emila
swego potrzebował jeszcze dwa lata w tem ustroniu siedzieć.
Chciałam wyjazd »dzidzia« czem innem zastąpić, chciałam
sobie stworzyć nową lalkę i ubrać ją w jaskrawe szmatki,
ale do tego nie miałam już na całym przedmieściu najmniej-
szego przedmiotu.

Pozostało mi więc tylko wspomnienie, i tem wspomnie-
niem karmiłam samotne chwile moje. Wyobrażałam sobie,
że kogoś kochałam, i że ten ktoś stał mi się niewiernym
i opuścił mnie. I to zapełniło niejako próżnię serca mego,
gdy nie umiałam jej czem innem zapełnić.

Wprawdzie malowałam i grałam, ale to nie zabierało
mi wszystkiego mego czasu. Gdym się bowiem nad moją
grą i sztuką głębiej zastanowiła, okazało się, że na to tylko
uczono mnie tych sztuk wyzwolonych, abym się nimi po-
pisała w świecie, abym oczy i uszy otaczających zwróciła na
siebie. Były to więc tylko fortele, aby się podobać i przy
ciągnienu wielkiego losu wygrać... najwyższą stawkę. Że tak
było a nie inaczej, utwierdzało mnie w tem to doświadcze-
nie, że każda kobieta, poszedłszy za męża, zamyka najczęściej
fortepian i chowa paletę z pędzlami...

Dla kogoż więc miałam grać i malować w tym przed-
miejskim dworku? Stary mecenas był tępego słuchu, damy
dobroczyńności nazywały muzykę prawie grzechem, wyją-

wszy, jeżeli się grało i tańczyło na korzyść ubogich. A kiedy otworzyłam okna podczas gry i śpiewu, całe przedmieście protestowało przeciw naruszeniu publicznego spokoju.

W rzadkich więc tylko chwilach, gdy dusza moja rzeczywiście czuła potrzebę sztuki, siadałam do stalugi lub fortepianu, a wtedy zamykałam szczelnie drzwi i okna, aby mnie nikt nie słyszał i nie widział. Wtedy zdawało mi się istotnie, że znajduję słowa w tonach tajemniczych, że rozumiem mowę tych barw półtonowych, które nieśmiało i cicho zbliżają się do jaskrawych lub ciemnych sąsiadów...

Resztę czasu wypełniało zajęcie domowe. Lubiłam wyręczać wujenkę w gospodarstwie, chodzić do piwnicy i spiżarni, kłóciłam się o masło z kucharką i w wiecznej byłam wojnie ze Stefanem o zapałki.

Codziennie patrzyłam także na domek organisty. Wydawał mi się więcej opuszczonym. Okna pokrzywiły się na zawiasach, bramka w parkanie wypadła z jednego wrzeciądza i skrzypiała na wietrze. Trawnik pod kasztanem zarósł zieliskiem, bo dzieci rzadko wywracały tam koziołki i najczęściej w izbie przy dziadku siedziały. Przy każdym spojrzeniu na ten domek opuszczony, przychodził mi »dzidzi« na myśl. Wyrzucałam mu jego niewdzięczność dla domku rodzinnego i obawiałam się o niego na szerokim świecie.

— Pocóż on opuścił ten domek przedmiejski — myślałam sobie nieraz — pocóż zostawił te biedne sieroty bez opieki i dozoru? Za jakimże szczęściem pogonił? Czyż nie wystarczały mu organy w kościółku Panny Maryi? Tutaj mógł być tak pocziwym i tyle dobrego zdziałać... pocóż to wszystko porzucił?

Prócz tych w samotności wygłaszanych monologów, miałam jeszcze jedną rozrywkę. Od czasu wyjazdu naszych gości, przychodziły od nich często listy ze stolicy. Pan Tadeusz opisywał w nich zawsze ponętą fizyognomię stolicy, czem chciał nas prawdopodobnie przywabić do swego towarzystwa. Kuzynek, którego listy adresowane były zawsze do

wujaszka, a treścią wyłącznie prawie mnie się tyczyły, mawiał świetnym stylem korzyści pobytu w stolicy, niecierpliwiąc się powolnym postępowaniem Emila. Był on tego zdania, że Emil daleko prędzej dojrzeje na bruku wielkiego miasta i więcej może się nauczyć na jednym wieczorze w resursie, niżeli przez cały miesiąc suchej nauki na biurku wujaszka. Najdłuższe i najserdeczniejsze były listy Natalii. Nie miała ona przedemną żadnej tajemnicy. Zdawało się, że do pewnego punktu wybrała mnie sobie za spowiednika. Mówiła o wieczorach i zabawach, na których nigdy nie zapomniła o kochanym kuzynku. Nazywała go żartobliwie wielkim bałamutem i narzuciła mu despotycznie opiekę swoją. Z tego więc wychodząc stanowiska, gniewała się, że na jednym wieczorze uśmiechał się do hrabiny X.; drugi raz wyłajała go za ofiarowany, w styczniu, prześliczny bykiet baletniczce Y. To znowu powiedziała mu kazanie za wieczorek przy zielonym stoliku spędzony, który się fatalnie dla niego zakończył, słowem była owem *enfant terrible*, które bez żadnej złej myśli zdradza tajemnice domowe. Do tego jeszcze umiała Natalia te oskarżające słówka swoje ubrać w ton tak sympatyczny, tak serdeczny, że nieraz dziękowałam jej w duchu za tę troskliwość, jaką otacza poczciwego kuzynka.

Najprzód przychodziły te listy wszystkie naraz, i to dosyć często, prawie co czternaście dni. Po dwóch miesiącach nie pozwoliły zabawy stolicy na tak częstą korespondencję. Roztargniony kuzynek zaczął pierwszy zaniedbywać termin. Z początku tłumaczył się, później i tego nie czynił. Listy jego były coraz krótsze, ale zato podobały mi się lepiej, bo nie było w nich tyle próżnej gadaniny, aby tylko papier zapełnić. Za nim i dziadunio zaczął się spóźniać, ale temu pisać nie pozwalała hieragra, którą miał w łokciu prawej ręki. Listy Natalii najdłużej trzymały się terminu, ale były także coraz jałowsze, bez żadnego humoru i zwykłego dowcipu.

Tłumaczyłam to sobie naszym oddaleniem się fizycznym od siebie. Najlepsi przyjaciele nie pisują często do siebie.

Przykład tego miałam na moim wujaszku. Kochał nas wszystkich, a przecież w listach swoich traktował często przedmioty nie mające z nami najmniejszego związku.

Listy te odczytywałam zawsze z pewnem wzruszeniem. W jednostajnem życiu mojem były one dla mnie przynajmniej tem, czem niegdyś zjawienie się »dzidzia« pod kasztanem, koziołki dzieci i wspólna poranna modlitwa. Przyznam się, że przy tej ostatniej większe i przyjemniejsze było moje wzruszenie. Mimo to stanowiły i listy niejaka dla mnie rozrywkę, a nawet odczytywałam je po kilka razy. Były one wszystkie tak pisane, że wujaszek mógł mi je dać do czytania, a po każdym takim czytaniu musiałam odbyć jakby rodzaj egzaminu z wujaszkiem, z którego zawsze prawie był zadowolony.

W gruncie duszy mojej zostało wprawdzie jakieś jaśniejsze wspomnienie mego kuzynka, osobliwie gdy sobie ową scenę na tym nieszczęsnym korytarzyku przypominałam, lub ten jego szalony skok przez głębie wody; nie było jednak w tem wspomnieniu nic takiego, coby zarazem serce moje wzruszyć mogło i nasunąć mi sny, których tak gorąco pragnęła dusza moja. Nie był on dla mnie tem, czem jest pierwszy lepszy znajomy, ale nie miał także w marzeniach moich żadnego lepszego prawa, od człowieka widzianego gdzieś na wieczorze.

Cieszyłam się jednak, gdy wszyscy troje obiecali nam, że w lecie na czas dłuższy do nas przyjadą. Robiłam już naprzód plany najrozmaitsze. Układałam wycieczki wodą i lądem, pieszo i w karecie. Rozporządzałam w duchu pokojami i ogródkiem, w którym w małej oficynie chciałam umieścić mego kuzynka. Wyobrażałam nawet sobie jak go dręczyć będę, a potem śmiać się i, dać się przeprosić.

Były to tylko przelotne marzenia; ale kto zna serce kobiety, ten przyzna mi, że to mógł być dla mnie czas niebezpieczny. Jeżeli w najniewinniejszej myśli jesteśmy zmuszeni dłuższy czas kim zajmować się, ten ktoś nabywa skrycie

i nieznacznie coraz więcej prawa do ulokowania się w duszy, skąd go częstokroć trudno przychodzi wyrzucić.

To jednak nie stało się. Przyszła wiosna, zawitało lato, a dworek nasz tak samo był pusty i niemy jak w zimie. Pan Tadeusz napisał nam, że hieragra strasznie mu dokucza i że w tym celu musi się udać do wód zagranicznych, których nawet i Natalii potrzeba. Kuzynek niczem się nie usprawiedliwił. Pisał tylko list nadzwyczaj smutny i rozpaczliwy, że stosunki tyranizują człowieka na świecie i wstrzymują go od wolnego lotu tam, gdzie dusza go ciągnie.

Uśmiełam się z tego listu, bo był podobny do lamentu w wielki piątek. Wujaszek także śmiał się, nazwał mnie kilkakrotnie rozsądną dziewczyną i w dowód swego dobrego humoru, przeczytał nam pięć arkuszy »Emila«.

Między czwartym a piątym arkuszem, chwyciłam wujaszka za rękę i zapytałam:

— Jakto! Więc wujaszek chce, aby panna idąc za męża, nie kochała swego męża pierwszą miłością?

Wujaszek uśmiechnął się, poprawił umbrelki i rzekł:

— Jesteś dzieckiem, Helciu, mimo lat dziewiętnastu. Wierzaj mi, że najgorzej wychodzą te małżeństwa, w których kobieta, oprócz swego posagu, wnosi żadnem jeszcze marzeniem nie owiane serce dziewicze.

— Wujaszek bluźni, albo żartuje sobie — odparłam z wybuchem gniewu.

Wujaszek wypatrzył się na mnie z ukosa, pokiwał głową i roześmiał się. Po chwili zbliżył się do mnie i dodał:

— Najprzód ucałuję cię za to, moja duszo, bo te słowa mogły tylko wyjść z czystego, dziewiczego serca, które mowa moja zraniła. Wytłumaczę się zaraz. W książkach, które czytujesz, przedstawiają zwykle autorowie bohaterki swoje z duszą tak dziewiczą i żadnem marzeniem nietkniętą, jak brzoskwinia w ostatnich dniach września, gdy jej barwy aksamitnej nie tknął ani wiatr ostrzejszy, ani pierwszy szron jesieni. Przyobiecują kochankowi, że taka niewinna dusza dziewicza,

to skarb nieoceniony, który po skończonej powieści wyda dopiero obfite plony.

— Więc temu wszystkiemu wujaszek przeczy? — zapytałam zdziwiona.

— Nie przeczę bardzo — odparł z flegmą — ale mam moje zdanie w tym względzie. Według mnie, nic niebezpieczniejszego dla małżeństwa, jak taka bielutka karta papieru. Szczęście małżeńskie nie zapisze jej całej, choć tak być powinno; ale cóż w takim razie począć?... Jeżeli kobieta pierwsze swoje marzenie i pierwsze uczucie odda człowiekowi, który odtąd ma pozostać dożywotnim ideałem jej życia, czyż ta kobieta nie zapragnie kiedy zajrzeć poza plecy tego ideału i w tym pięknym, według jej wiary szlachetnym świecie, poszukać jakiego innego, choćby tak z ciekawości tylko?... Czyżby nie lepiej było, iżby kobieta do pewnej granicy poznała ten świat »piękny i szlachetny« i z pewnem duchowem doświadczeniem wybrała swój ideał dożywotni, dla którego ujemnych stron miałyby wtedy pobłażliwość, bo te i gdzieindziej, a nawet w daleko wyższym stopniu istnieją?... Takie przywiązanie, taka miłość miałyby pewniejszą podstawę, niż te wszystkie poetyczne piórka i ten puch niedotknięty, jakimi powieściopisarz ubiera do ślubu swoje bohaterki. Radbym w rok lub dwa lata zejść się gdzie z niemi. Znudzone, rozczarowane, zawiedzione, uganiają się za marami niewytrawionej wyobraźni, co wszystko w języku zwykłym zupełnie inaczej nazywa się.

Słowa te wujaszka tyle dały mi do myślenia, że w tej chwili nie umiałam na nie odpowiedzieć. Miałam w głębi duszy tylko to niezłomne przekonanie, że tak być nie może, jak dziwaczny i paradoksalny często w twierdzeniach swoich wujaszek utrzymywał. Mimo to wprost zaprzeczyć nie mogłam, bo było tam coś, coś... choć na szpilkę prawdy.

Ustroiwszy więc twarz w wyraz poważny, rzekłam:

— Wszystko to, co mi wujaszek w tej chwili powiedział, biorę do wiadomości mojej, zachowując sobie przy

zdarzonej sposobności objawienie rzetelnego zdania mojego w tym względzie, o którym dzisiaj, nie mogę sumiennie wiedzieć, czy i jak dalece różnić się będzie od zdania kochanego wujaszka.

Zamknawszy się w tak dyplomatyczną, dzisiaj tak często używaną formułkę, rozśmiałam się z własnego konceptu, czemu wujaszek z całego gardła zawtórował. I na tem skończyła się tym razem prelekcyja o sercu dziewiczem. Wujaszek nie chciał widać dalej rozwijać tak niebezpiecznej zasady, zadawalniając się jej potrąceniem.

Jakkolwiek czasem te słowa wujaszka w pamięci mojej budziły się, nie miały one dla mnie wielkiego znaczenia w tym dworku przedmiejskim. Najprzód z góry nie uznawałam ich prawdy; powtóre, gdybym nawet chciała z tej nowej nauki skorzystać, brakowało mi zupełnie sposobności po temu. Wprawdzie »dzidzia« mego uważałam czasem za pierwszego kochanka, za pierwszy niefortunny mój romans; ale romans ten był tak dziwnej natury, że nie wiedziałam nawet jak się ten student nazywa. Konsekwentnie z tem nie dowiadywałam się nigdy gdzie i poco wyjechał, bo to popsułoby tkanę pajęczą mego napowietrznego romansu. Stosunki i wypadki rzeczywiste nie wchodziły w jego ramki.

I tak minęło lato i jesień postąpiła już sporo. Z pierwszymi płatkami śniegu, nadszedł list z Hiszpanii. Był to list Natalii. Pisała w swoim i ojca imieniu, bo słabość jego pogorszyła się znacznie.

Dla niego to musiano szukać strefy cieplejszej. W kąpielach pirenejskich spotkali się przypadkiem z kuzynkiem, który idąc za popędem mody wielkoświatowej, chciał w jednym źródle kąpać się z cesarzem Francyi. Opisywała w sposób zabawny to niespodziane znalezienie kuzynka, w licznym towarzystwie kobiecem. Dalej mówiła, że nęcony pięknem niebem, postanowił towarzyszyć im do Hiszpanii, a przybywszy tam, zajął się czarnymi oczami pewnej Hiszpanki i cały zagłębiający jest w studia południowego temperamentu. To

wszystko było tak swobodnie i dowcipnie opisane, że trzy razy odczytałam list ten i rozweselona humorem kuzynki, oddałam go wujaszкови. Postanowiłam zaraz za pierwszym widzeniem się z kuzynkiem intrygować go Hiszpanką czarnooką i kąpielami pirenejskimi, i ułożyłam sobie w tym względzie cały dyalog.

Wreszcie przeminęła zima smutno i jednostajnie. Zajaśniała potem wiosna, rozbudziło się w mem sercu mnóstwo nowych myśli i nowych pragnień. Wszystkie jednak zostały zrodzone i pogrzebane w czterech ścianach mego buduarzyku. Żadne z nich nie przyjęło się, nie wydało kwiatu, a tem mniej owocu.

Minęła wreszcie wiosna, a za wiosną poszło i lato, tym samym jednostajnym trybem. I lato postarzało się i poszło za wiosną; jesień uwinęła się także w śnieżne grobowe prześcieradło, w całej naturze zapanowała lodowata, o białych włosach zima. Po wszystkim tem nic się w mojej duszy nie zostało.

Nie wiedząc i nie pytając się, co się z moim »dzidzim« stało, bo nie chciałam popsuć sobie własnych urojeń, przychodziłam prawie codziennie do okna i patrzyłam na ten domek opuszczony, czy »dzidzi« nie wrócił.

»Dzidzia« jednak jak nie było, tak nie było. Domek widocznie coraz więcej podupadał. Dach pokrzywił się, jedna ściana pochyliła się. Dzieci wyglądały blado i obdarto. Najmłodszy chłopiec płakał często, a ciemny organista po kilka tygodni nie pokazywał się w oknie.

Razu jednego namówiłam wujenkę, i obie poszłyśmy do tego domku. Obaczyłyśmy nędzę, jakiej trudno opisać. Dowiedziałam się tylko, że syn organisty, który dotąd pracował na utrzymanie sierot, poszedł do szkoły wyższej, a stamtąd znikł gdzieś bez wieści. Wujenka dostarczyła biednym odzieży i wiktuałów, a ja wcisnęłam do ręki ciemnego organisty małą sumkę, którą oszczędziłam z potocznych moich wydatków.

W kilka tygodni potem nie mogłam długo w noc zasnąć. Mróz był tak silny, że gonty trzaskały na dachu. To przerywało mi sen i drażniło wyobraźnię moją. Prócz tego słyszałam często pod oknami skrzyp śniegu. Słyszałam odmykanie i zamykanie drzwi i głosy rozmawiających ludzi. Naprowadziło to mnie na różne domysły. Zdawało mi się, że banda złodziei otacza nasz dworek, to znowu szeptało coś, jak duchy zakłęte.

Zebrawszy całą odwagę, wstałam z łóżka i cicho zbliżyłam się do okna. Spojrzałam na domek przeciwległy: wszędzie było pusto i głucho. W oknach tylko domku migał się kaganek, płonący nieregularnie, jak lampa kościelna. Wzięłam binokle i patrzyłam czas niejaki. Wreszcie szkła wypadły mi z ręki i szybko uciekłam do łóżka, zadzwoniwszy wprzód na moją piastunkę, która w przyległym pokoju spała.

Zrana nie podnosiłam zasłony okna, i przez całe dwa dni okno to było zasłonięte. Podczas tego malowałam wiele. Zatrudnienie to wybierałam sobie wtedy, gdy miałam wielki smutek w duszy.

Na trzeci dzień przed południem usłyszałam na ulicy śpiew smutny. Poszłam do okna i podniosłam storę. Przed domkiem stał orszak pogrzebowy, a z sieni wynoszono właśnie dużą trumnę, malowaną na czerwono... Za trumną szły dzieci i płakały w sposób przerażający...

Przypomniałam sobie pogrzeb matki, serce ścisnęło mi bolesne, kurczowe uczucie... Za godzinę byłam już w łóżku, a lekarz trzymał mnie za puls...

Jeszcze tego samego dnia poszła wujenka do domku i przyniosła mi wiadomość, że biedne sieroty rozebrane są pomiędzy dalszych krewnych. Opatrzyła je na drogę datkiem i odzieżą i przyrzekła dowiadywać się o nie.

Po tygodniu dopiero wróciłam do zdrowia. Jakże inaczej wydawał mi się teraz ten domek, który przed dwoma laty był dla mnie takim rozkosznym, idylicznym obrazkiem! Czyż i urojenia nasze, tak idyliczne jak ten domek, czeka

los podobny? Czyż koniecznie potrzeba intratnej kamienicy, z bogatymi lokatorami i z czystą hipoteką?...

W domku tym widziałam okna powyjmowane, a otwory pozabijane deskami, aby nie służył za schronisko dla żebraków i złodziei. U drzwi zawisała duża, zardzewiała kłódka, a bramkę parkanu, w braku zamku, zabito gwoździem...

I przyleciało brzydkie ptactwo i uwiło sobie gniazda w dachu opuszczonym. Nieuczciwy sąsiad wlaźł nocną porą i wyciął kilka drzew owocowych, które szczepiła ręka ciemnego organisty. Wreszcie na białym śniegu odbiły się pewnego dnia czarne, brodate postacie. W łapserdakach, błotem jesiennem powalanych, w trzewikach, formy nóg słonowych, w dużych wydrzanych czapkach, wtargnęły na puste podwórze. Kłódkę zardzewiałą otworzono, a z okien opustoszałych zaczęły wyglądać brzydkie, pejsate twarze, szpetne czerwone nosy i głowy z szyją podgoloną. Potem wyroiła się ta szarańcza w koło domu i opukiwała ściany jego, odwalając glinę i wapno, jak chirurg, który chcąc zajrzeć do rany, odrzuca okrzepłą krew i przystygłe szmaty.

Za tydzień odmieniła się fizyognomia domku. Przyszli murarze, i mimo mrozu i śniegu, wmurowali nowe okna. Stolarz wstawił inne drzwi, a bramkę poprawiono dodatkiem nowych desek. Za kilka dni wniósł się nowy właściciel do domku, z młodą swoją, pejsatą generacją... Zasłoniłam okno sypialni mojej, i odtąd było zawsze ciemne.

Z końcem stycznia otrzymał wujaszek list od krewnych i długo nad nim medytował. Przy herbacie czytał go po raz drugi, przyczem często na mnie z ukosa patrzył. Wreszcie przerwał milczenie i rzekł:

— Interesa moje dojrzały do tego stopnia, że możemy pożegnać się z tem ustroniem. Za tydzień wyjedziemy do stolicy. Poczyniłem już potrzebne do tego kroki, aby mi nikt nie zarzucił, że źle wywiązuję się z obowiązku opiekuna.

Chciałam coś na to odpowiedzieć, ale wujaszek nie dał mi przyjść do słowa:

— Już wiem co chcesz mówić. Chcesz powiedzieć, że ci tu dobrze. Gdybyś to powiedziała, nie byłabyś szczerą. Patrzę ja codziennie w twoje oczka, a umiem czytać.

— Otóż właśnie teraz niedobrze odczytał wujaszek — zawołałam z uśmiechem — bo tego co wujaszek mówił powiedzieć nie chciałam. Przeciwnie, chciałam okazać radość z tego postanowienia wujaszka, bo farby już mi wyschły, a cały zasób książek wyczerpał się aż do dna. Pragnę zmiany i cieszę się z tego, że inicjatywa wyszła od wujaszka.

— Wszystko dobrze, moje dziecię — odparł wesoło wujaszek. — I to pragnienie zmiany jest dobre i naturalne; ale przy tej zmianie trzeba być nadzwyczaj ostrożną. W stolicy różni ludzie ugrupują się około ciebie. Na wybór twój wpływać nie chcę; mimo to wyczytasz z twarzy mej co ja myślę. Na jedno tylko zwracam twoją uwagę. Strzeż się tak zwanych przemysłowców, którzy ożenienie się traktują jak interes i do niego przez długie lata sposobią się. Posłuża im do tego niemniej całe dzisiejsze wychowanie nasze. Wyjąwszy klas biednych, które dla pracy kształcą się, wszystkie inne starają się tylko nabyć to co błyszczący i przynęca i co niestety u kobiet największe ma powodzenie...

— Bądź pewnym, wujaszku — odpowiedziałam — że ja do tych kobiet należeć nie będę.

XI.

Za tydzień po tej pogadance byliśmy już w stolicy, urzędzeni i przebrani zupełnie po miejsku. Za dwa tygodnie zapoznaliśmy się z towarzystwem, bywaliśmy po wieczorach i dawaliśmy u siebie herbaty.

Byłam z razu nieco oszołomioną. Nowe obrazy, nowe wrażenia cisnęły się jedne po drugich. Dawniejsze zacierały się i niknęły aż do zapomnienia. Byłam w usposobieniu gorączkowem. Z życia cichego i jednostajnego wyrwał mnie nagle ten wir wielkomiejski. Nie miałam czasu skupić się,

nie miałam czasu wrócić do moich dawnych myśli, ani zastosować ich w nowem położeniu. Żyłam z chwili do chwili i nie myślałam o tem, co za godzinę będzie. Byłam podobną do żeglarza płynącego z prądem wody, kiedy beczynnie ręce założy i daje się falom unosić.

Jedna tylko myśl kierowała mną w tym szalonym odmiecie: przedsięwzięłam sobie nic w tym stanie gorączkowym nie czynić, do niczego się nie zobowiązywać, póki dawnego spokoju nie odzyskam. Powoli porządkowałam sobie wrażenia i przychodziłam do równowagi zmysłów. Wujaszek patrzył na mnie z ukosa i uśmiechał się. Głaszcząc mnie po zarumienionej twarzy, nazywał mnie żartobliwie rozsądnem dzieckiem.

Nie wiedziałam wcale, że te pierwsze kilka tygodni, w których z zarumienioną twarzą, z oczami rozgorączkowanymi w towarzystwo wchodziłam, rozstrzygnęły o mojem powodzeniu. I było to bardzo naturalnem. W gorączkowym stanie, a więc z siłami wyżej nastrojonemi, ukazałam się po raz pierwszy światu. Dotąd nie byłam związaną żadnem ku jednej osobie skierowaniem uczuciem. Wolną więc i swobodną byłam w konwersacyi, miałam dowcip i łatwość rozmowy, grałam i śpiewałam, słowem nie będąc niczem i nikim zajętą, mogłam się na każdym punkcie skoncentrować i każdej zabawie czy rozmowie poświęcić całą duszę i cały umysł, czego w przeciwnym razie nie zdołałabym uczynić.

W takim usposobieniu mogłam wielkich rzeczy dokażać. Kobiety podobnego, sztuką nabytego, usposobienia, robią cuda. U mnie było to naturalnym wynikiem mego położenia, było tylko chwilą przejściową.

I wkrótce zaczęłam obliczać zdobycz swoją. Była ona nader liczna i należeli do niej różnego autoramentu ludzie. Byli młodzi i podłysiali, ubodzy i bogaci, ludzie nowi i starożytnych tarcz herbowych. Wszystko to, jak pobita zwierzyna, leżało w grupach malowniczych przedemną, leżało martwe i zimne.

Najprzód w pierwszym szeregu ugrupowali się sami młodzi eleganci, z gukiem na czarnym sznurku. Byli to adoratorowie bezwzględni wszystkich młodych panien, którzy jednak, stojąc przed swoją królową, budzili mimowolne podejrzenie, czy adoracja ich tyczy się panny, czy własną osobę ma na celu. Zakochani w sobie, czy raczej w swoich tużurkach i frakach, każdym ruchem dawali do poznania, że im o nic więcej nie chodzi, jak o własną osobę. Zdawało im się przytem, że cały los ich i powodzenie w towarzystwie kobiet zależy od misternie zawiązanej krawatki, od sztywnych końców angielskiego kołnierzyka. To też wszystkie ruchy ich miały na celu odsłonięcie tych mozolnie wystudyowanych arkanów toalety męskiej. Byli oni tego przekonania, że przypadkowe nieregularne zadziergnięcie się łańcuszka od zegarka, niepotrzebny, według ich zdania, fałdzik na rękawie przy zgięciu ręki, lub, co Boże uchowaj, rozsuniecie się ułożonej fryzury na skroniach, może ich na wieki, a przynajmniej aż do drugiej herbaty, pozbawić względów kobiety, dla której oka wszystko to mozolnie wystudyowane było... Biedni głupcy! Nie wiedzieli, że to wszystko było nam obojętnem.

Za tymi rekrutami świata, stanął szereg ludzi więcej na scenie życia doświadczonych. Byli oni ubrani przyzwoicie, a nawet według ostatniej mody, ale całe ich zachowanie się okazywało, że nie myśleli o sobie. Myślał za nich ich krawiec, kłopotał się służący, zajmowała się szwaczka. Ludzie ci zdawali się coś na seryo myśleć, rozmawiali często o kraju, literaturze i sztukach, i umieli zgrabnie używać pięknych frazesów. U jednych mogło to być prawdą, u innych było nabytą sztuką.

W trzecim szeregu szła stara gwardya, w doświadczeniach życia wypróbowana. Byli to starzy kawalerowie, którzy jednak w ten przymiotnik nigdy nie wierzyli. Co ubyto w przymiotach naturalnych, to zasłoniło się sztuką. Miejsce metryki zastąpiło u nich zwierciadło, lecz i to tylko do pe-

wnego punktu. Byli to ludzie najzabawniejsi. Asystując zawsze jaknajmłodszym kobietom i zaledwo z pensjonatu wyzwołonym panienom, uważali za rzecz słuszną stosować się do wieku swoich adorowanych bohaterok. Skakali więc przed niemi, jak to dzieci czynić zwykły, bawili się w kotka i ciuciubabkę, a w konwersacyi używali frazesów, jakich używają panienki dwunastoletnie.

Za nimi rozsypane w nieładzie stały grupy porządnie starych rycerzów. Byli to ludzie poważni zazwyczaj i nawet z pewną ostentacją odpierali od siebie wszelkie pretensye. Ale właśnie ta powaga zasłaniała niejako ich ukryte manewry, które najczęściej kończyły się komicznie. Przypominam sobie, że na jednym wieczorze siedział przez cały wieczór taki stary, markizowaty jegomość przy mnie. Mówił ze mną bardzo wiele i bardzo rozumnie. Przy końcu nieznacznie zaprowadził mnie do okna, wskazał na gwiazdy i księżyc i westchnął trzy razy tak zapalczywie, że nie wiedziałam sama, co o tem wszystkiem pomyśleć. Po westchnieniach napomknął mi o wyschłym stepie życia, o pustyni arabskiej, na której niema żadnej oazy, żadnego cienia, żadnej krynicy! Mówił dalej, że zima zaskoczyła go wśród rojeń młodzieńczych i że tchnienie różanych ust moich... Był to, jeśli się nie mylę, dyrektor jakiejś dekasteryi.

Po dwóch miesiącach patrzałam już dosyć spokojnie w koło siebie. Mój Boże! czegoż to w takim razie nie widzi kobieta spokojnym wzrokiem swoim?

Miałam znaczny posąg, a ponęta ta stawała się tem większą, że była natychmiast do wzięcia i używania. Nie był to żaden zapis w księgach hipotecznych, żadna imaginacyjna pretensya na dobrach zadłużonych, ale majątek rzeczywisty, z którego już znaczne zalegały procenta.

Mogłam sama naocznie przekonać się, co na wieczorach znaczy taka panna, reprezentująca znakomitą cyfrę. Jakśmy nocne zapaloną lampę, tak ją okrążają wszyscy, młodzi i niemłodzi, przesadzając się w frazesach i spojrzaniach, które

ogień ich uczuć znamionować mają. Biedni aktorowie! Ileż to razy wydarzy się im, że wśród najtragiczniejszej sceny obaczą szyderczy uśmiech na ustach swego anioła!...

W tem wszystkim uderzyła mnie jedna rzecz, której sobie dotąd wytłumaczyć nie mogłam. W towarzystwie, w którym żyłam, nie widziałam nic z tego wszystkiego, com czytywała w powieściach. Każde uczucie, prawdziwe czy sztuczne, musi mieć naturalny swój przebieg, lub pozór tegoż. Tam objawiało się ono zupełnie inaczej. Formy towarzyskie dominowały nad wszystkim. I tak naprzykład zbliżył się do mnie młody elegant z gukiem w oku i zapinając rękawiczkę mówił mi coś napół z żartem, napół z dowcipem, o wrażeniu moich szafirowych oczu. Widząc żem go cierpliwie słuchała, stopniował ton swój i afekt, i w pół godziny zaszedł do formalnego oświadczenia się. Odpowiedziałam mu grzecznie i otwarcie, i przeprosiłam, że będąc roztargnioną, nie uczyniłam tego zaraz przy pierwszych słowach. Myślałam, że przynajmniej westchnie za swemi marzeniami, że przynajmniej trzy wieczory nie pokaże się w towarzystwie. Gdzie tam! Za pół godziny rozmawiał ze mną tak wesoło i dowcipnie, jakby nigdy odemnie koszyka nie dostał. Był przyjacielskim i ugrzeczniwym i z rozmysłu schodził się zawsze ze mną na wieczorach. Czy to ludzie tak czynią, czy automaty? Czy była w sercu tego człowieka miłość, czy była choć iskierka namiętności?...

Dwa miesiące upłynęły mi w ten sposób. Miałam niby nadzwyczajne powodzenie, ale przyznam się, że w owym jednostajnym, dwuletnim życiu we dworku przedmiejskim daleko częściej uderzyło mi ciepłej serce, niżeli tu na tych wszystkich wieczorach. Nieraz nawet smutno mi się zrobiło, gdym sobie wspomniała ów domek ciemnego organisty i mego niewdzięcznego »dzidzia«. Miałoby to być właściwością serca, że tam żywiej bije, gdzie niema wzajemności, a tam milczy, gdzie mu najwyszukańszym frazesem składają hołdy?...

W porze koncertów, w drugim czy trzecim tygodniu wielkiego postu, zaszła w towarzystwie naszym najściślejszem mała odmiana, skutkiem przybycia nowego gościa.

Był nim mój szanowny kuzynek, pan Leon. Zjawił się w stolicy niespodziewany, a nawet prawie zapomniany. Przyjęłam go serdecznie, jako dawnego znajomego i kuzyna, i byłam mu wdzięczną, że mnie tym razem nie przestraszył, ani przez głębiny do mnie skakał.

Kuzynek zmizerniał znacznie. Niebo hiszpańskie opaliło mu twarz i na pięknem czole jego zagięło kilka zmarszczek. Jasne jego oko przyćmiło się nieco, ale właśnie do twarzy był mu ten wyraz bajronowski, z tym lekko szyderycznym uśmiechem koło ust, pięknym wąsem ocienionych.

— Kochany stryjasek — rzekłam do niego żartobliwie — nie zasypiał, jak widać, na różach przez te dwa lata.

— Czy kuzynka rzeczywiście to odgadłaś? — podjął szybko, a twarz jego zarumieniła się.

— Ciernie odgadują się łatwiej nizeli róże — odparłam — bo te zostawiają tylko przy nas swoją woń niewidzialną, a tamte widoczne ślady.

Ścisnął mnie za rękę i czułam wyraźnie, że ten uścisk był naturalnym wypływem serca. Potem zwrócił nagle rozmowę na rzeczy obojętne, z których powoli wywiązała się konwersacya z wujaszkiem o rzeczach publicznych.

Kuzynek prawił jakby z uniwersytetu powrócił. Mówił wiele o odczytach Wołowskiego, o teorii Milla i stanowisku ekonomii społecznej w krajach zachodnich i wreszcie wtrącił z humorem pewne zdarzenie między Amerykaninem a lordem angielskim. Lord miał ogromne dobra w Irlandyi, sprzedał je i z papierami w kieszeni pojechał do Bostonu, gdzie zakochał się w córce obywatela Stanów zjednoczonych.

— I któż pan jesteś, który chcesz ożenić się z córką moją? — zapytał lorda Amerykanin, gdy tamten oświadczył się o córkę.

— Jestem lordem — odparł konkurent.

— Ale ja chcę wiedzieć czem pan jesteś, co pan robisz? — pytał dalej nieubłagany Yanke.

— Mam znaczny majątek i żyję z procentów — odpowiedział z dumą Albiończyk.

— Toś pan próżniak, ja panu córki nie dam — zakonkludował obywatel Stanów zjednoczonych.

Podobała się ta anegdota wujaszкови. Zacierał ręce, co znaczyło, że był w dobrym humorze. Kuzynek w tym duchu mówił więcej i byłby może przeszedł od ekonomii do robienia sztucznych nawozów, gdybym nie była mu przerwała zapytaniem o Natalię i jej ojca chorego. Dodać muszę, że doszły nas niepokojące wieści.

Kuzynek spojrzał na mnie i blade jego oko przybrało wyraz melancholiczny. Po chwili w krótkich słowach potwierdził te smutne wieści. Pan Tadeusz umarł w Marsylii, a biedna Natalia została tymczasem w Paryżu.

Wiadomość ta sprawiła na nas przygnębiające wrażenie. Trochę zdziwiło mnie, że wujaszek nagle zapytał:

— Czy Natalii został jaki majątek? Zdaje mi się, że nieboszczyk mocno nadszarpnął fortuny.

Kuzynek pomyślał chwilę, spojrzał po nas wszystkich, a potem rzekł:

— Nie mogę w tym względzie dać wyjaśnienia, bo mimo blizkiego pokrewieństwa, miałem zawsze tyle dyskrecyi, że nie wdzieriałem się w tajemnice rodzinne.

Widziałam w tem wielki takt ze strony kuzynka. Nic obrzydliwszego jak te papugi rodzinne, które na każde zawołanie powtarzają chrypliwym głosem, co w kole rodzinnem zastały. Przeczuwałam jednak, że biedna Natalia nie jest w najlepszym położeniu i postanowiłam w duchu przy pierwszej lepszej sposobności zgłosić się do niej. Teraz szanowałam jeszcze jej żal. Niema bowiem nic boleśniejszego dla nieszczęśliwych, jak narzucanie się z pomocą i protekcją wtedy, gdy nie chcą jeszcze przed światem przyznać się do swego nieszczęścia.

Od zjawienia się kuzynka w stolicy czułam w usposobieniu mojem jakąś odmianę. Nie było to żadne wyraźnie sformułowane uczucie dla niego, ale było coś, co nas zbliżało do siebie. W stolicy, mimo tak licznego otoczenia, nie miałam poufniejszych znajomych. Wujostwo byli zanadto starzy, abym mogła przed nimi zwierzać się z pobieżnych wrażeń. U rówieśnic nie widziałam wielkiej szczerości, a nawet widoczną była ich niechęć ku mnie, z powodu, jak się zdaje, dosyć znacznej siły przyciągania, jaką dla wszystkich adonisów miał mój majątek. Kuzynek więc musiał w tym względzie, chcąc nie chcąc, być powiernikiem, a często nawet sprzymierzeńcem moim.

Przy tem wszystkim jednak byłam kobietą, którą od dziecka uczono wszystkich możliwych sposobów podobania się i niejako zwyciężania. Już dawniej powiedziałam, że jeszcze w dworku przedmiejskim bolało mnie to, gdy kuzynek rozmawiając ze mną zachowywał bajronowską swą obojętność. W stolicy, otoczona wykwintnością życia i aureolą powszechnej admiracyi, spotęgowałam jeszcze więcej w sobie to pragnienie. Chciałam poprostu, aby i kochany kuzynek nieznacznie biegł za rydwanem moich podbojów, ale w tak delikatnych więzach, aby, nie wyjmując nawet mnie samej, nikt tego nie widział. Był to jednak tylko kaprys dziecka zepsutego, które miało w stolicy nadzwyczajne powodzenie... i nic więcej.

Kuzynek bywał u nas prawie codziennie. Bawił się ze mną wesoło, opowiadał mi o podróżach, śmiał się do rozpuku, gdym wspomniała o Hiszpanii i wzajemnie tonem poufnym pytał mnie o moje zdobycze w stolicy, chwając tego i owego, o którym coś wyszczególniającego powiedziałam. Wysławiał tedy mój gust i cieszył się, że kuzynka jego prawdopodobnie dobry wybór zrobi.

Wszystko to gniewało mnie. Tak mógł tylko mówić człowiek najobojętniejszy w świecie. Postanowiłam więc zatoczyć większe działa.

Pewnego razu, na wieczorze u prezesa, poznałam młodego człowieka, pana Augusta z Ukrainy. Był to człowiek na to stworzony, aby młodym kobietom i pannom głowy zawracać. Nazwisko piękne, powierzchowność żurnalowa i majątek bajeczny. Widziałam, jak wszystkie matki z upragnieniem na niego patrzyły, jak stenografowały każde jego słowo, fotografowały ruchy i spojrzenia. Rozumie się, że w oczach wszystkich był on »bardzo dobrze«.

Dla mnie był ten człowiek bardzo niesmacznym, wiedział bowiem o swoim kursie na jarmarku sercowym. Zdawało mu się, że jest słońcem, a wszystkie serca powinny być słonecznikami, zwracającymi się ku niemu. Tego człowieka chciałam użyć do mojej ukrytej zabawki, w pewnych niewinnych granicach. Sumienie nie robiło mi w tym względzie wyrzutów, bo pan August zasługiwał na małą nauczkę.

Zaraz nazajutrz, gdy kuzynek do nas przyszedł, zarzucałam go pytaniami o tego Augusta, i tyle umiałam o nim pochwalnego powiedzieć, że człowiek najtępszego nawet pojęcia byłby mógł domyśleć się, iż jestem panem Augustem zajęta. Słowem, o ile kobieta to okazać może, okazałam się widocznie zakochaną.

Kuzynek z największym spokojem wysłuchał mnie. Doskonale znał pana Augusta i wiele dobrego o nim opowiadał mi, tak co do jego osoby, jakoteż i majątku. Obiecał nawet podać moim przypuszczalnym zamysłom rękę pomocną. Cały wieczór był wesoły i dowcipny.

Zdumiałam się. Pan August, według zwykłych obliczeń, był tak niebezpiecznym rywalem, że nie można było zbyt spokojnie o nim mówić. Czegóż więc to wszystko dowodziło? Oto, że kochany kuzynek ani myślał o mnie. Co większa, na drugi dzień przyprowadził do nas pana Augusta i tak serdecznie przedstawił go wujowi, jakby był jego najlepszym przyjacielem.

Na drugi dzień była u nas większa herbata. Wujaszek zaprosił pana Augusta, ja zaś, spotkawszy po rannej mszy

kuzynka na ulicy, zawezwałam go stanowczo, aby o wieczorze nie zapomniał. Kuzynek przyrzekł, ale tylko częściowo. Obiecał zajrzeć na chwilę, a potem miał gdzieś pójść na wieczór, na który był już zamówiony.

Kuzynek mówił to z pewnem roztargnieniem, nie patrząc prawie na mnie. Byłam pewną, że ma dziś przyjemniejszy wieczorek i nim jest w tej chwili zajęty. Pożegnałam go więc obojętnie i zwątpiłam co do kuzynka o potęgę mego uroku.

Wieczór był świetny, gości bardzo wiele; pan August królował najwidoczniej. Wszystkie oczy patrzyły na mnie z zazdrością, piętnaście matek przysięgało mi wieczną nienawiść. Między godziną ósmą a dziewiątą wpadł mój kuzynek. Był w różowym humorze, nagadał mnóstwo dowcipów i kalamburów zabawnych, przepłynął jak wprawny pływacz kilka razy cały salon od pieca aż do okien, rozrzucając po drodze iskry trafnych dowcipów i stanął wreszcie koło mnie, odprowadzony rozplómonionemi oczami pańien i tęsknem wejrzeniem matek. Ze mną rozmawiał niemniej wesoło i dowcipnie czas dłuższy, przyczem ciągle na zegarek spoglądał i pewien niepokój zdradzał. Twarz jego była rozmarzona oczekiwaniem jakiegoś szczęścia. Takiej twarzy nigdy u niego nie widziałam. Wreszcie pożegnał mnie i cicho wysunął się za drzwi. Wyszłam do przybocznego pokoju, z którego drzwi wychodziły na galerię. Słyszałam, jak szybko biegł po schodach, nucąc sobie jakąś wesołą aryjkę. Wróciłam do salonu smutna i zadąsana.

Była to druga dotkliwa rana mojej próżności. Pierwszą zadał niepocziwy »dzidzi«, gdy na mnie ani razu nie spojrział, a drugą, boleśniejszą zostawił w sercu mojem kochany kuzynek. Boleść ta wprawiła mnie chwilowo w jakiś niepojęty szal. Śmiałam się i bawiłam tak szczerze i serdecznie jak nigdy. Prześcignęłam sama siebie we wszystkim. Śpiew mój był prawdziwym śpiewem primadonny, a Chopina zazdrościli mi wszyscy obecni artyści. Pan August nawet za-

omniał o wymuskanych wąsikach swoich i uraczył mnie konwersacją tak długą, że aż wujenka na mnie mrugać musiała. Słowem dokazałam prawie rzeczy niemożliwych; nie było dla mnie żadnej zagrody ani przepaści, jak niema ich dla sarny zranionej...

Na drugi dzień rano zaczęłam się z sobą rachować. Rozdałam wczorajszego wieczoru mnóstwo kwiatów i liści zwiędłych pomiędzy moich adoratorów, rozsypałam pełny róg najpiękniejszych i najkosztowniejszych frazesów, obdzieliłam wszystkich najsympatyczniejszymi spojrzzeniami; lecz serce moje pozostało zimne.

Przy herbacie, gdy wujaszek aluzę uczynił do mego serca, odpowiedziałam z uśmiechem:

— Jestem skąpą, kochany wujaszku; mam dotąd całe serce, ani szeląga na jałmużnę z niego nie ubyło.

— Źle czynisz, moje dziecię — odparł wujaszek — bo trzymasz kapitał, który procentu nie przynosi.

Odpowiedź ta wujaszka nie mogła mnie rozweselić. Byłam smutną i niezadowoloną z siebie. Przed obiadem już nie mogłam znaleźć sposobu, aby rozpędzić mój zły humor. Myślałam o różnych zatrudnieniach, ale wszystko mi szło nie w ład. Farby powysychały, nuty gdzieś porozpożyczałam. Wreszcie przyszła mi myśl coś przeczytać. Wczoraj mówił ktoś o najnowszym romansie pani George Sande: *Le diable à la campagne*. Zapłaciłam na kwartał kartę w wypożyczalni książek, jak to sobie w tej chwili przypomniałam. Namówiłam więc wujenkę do miasta, a za pół godziny byliśmy już w księgarni.

Pomocnik księgarza szukał długo w spisie żądanej książki. Znalazł wprawdzie jej numer, ale w szafie nie było tego numeru. Łaził więc po różnych drabinkach i wszędzie zaglądał, ale napróżno. Musiałyśmy się odnieść do wyższej instancyi. Księgarz zamyślił się na chwilę, potem pobiegł do biurka, wyciągnął małą karteczkę i przeczytał ją. Potem z wyrazem zakłopotania na twarzy oświadczył, że tę książkę

wziął wczoraj, przed samem zamknięciem sklepu, służący pana Leona, tylko na dzień jeden. Jutro więc obowiązywał się księgarz służyć nam tym romansem.

Biedny księgarz w zafrasowaniu swoim nie wiedział, ile radości mi tem sprawił.

Już nie potrzebowałam książki jego. Spiesznie zmusiłam wujenkę do odwrotu, a wsiadając do karety, nakazałam stangretowi aby prędko jechał. Byłam pewną, że kuzynek musi w tej chwili być u nas.

I nie oszukałam się. Z gabinetu wujaszka wyszedł ku nam kuzynek, uśmiechnięty i szczęśliwy.

— Gdzie to kuzynek był na wczorajszym wieczorku? — zapytałam.

— W towarzystwie angielskiem, które za granicą poznałem, a które przed kilkoma dniami tutaj przyjechało — odparł z wielkim spokojem i wrodzoną mu otwartością.

Patrzałam chwilę w jego oczy. Był tam zawsze ten sam spokój, ta sama niczem nie zamącona pogoda. Zmarszczyłam brwi i zawołałam gniewnie:

— Nie kłam tak szkaradnie, kuzynku! Przynajmniej słowa twoje niech nie kłamią, jeżeli kłamią twarz i oczy.

Dwa fałdziki zarysowały się na czole kuzynka. Spojrzał na mnie ciekawie, ale nic nie mówił.

— Kuzynek byłeś wczoraj w domu i czytałeś *Le diable à la campagne* — mówiłam dalej tonem gniewnym.

Usta jego otwały się z lekka, zadrżały jakby coś mówić chciały, i znowu się zamknęły. Po chwili zapytał całym spokojnie:

— Któż to kuzynce tak fałszywie doniósł?

— Mówił mi sam księgarz.

— To zapewne mój służący dla siebie wypożyczył.

— Służącego odstąpiłeś kuzynek na wieczór prezesowi.

Nastąpiła chwila milczenia. Patrzyliśmy sobie prosto w oczy. Kuzynek zdawał się być zupełnie spokojny, ja czułam żem drżała.

— I pocóż tak szkaradnie kłamać? — zawołałam wreszcie i poczułam łzy w oczach.

Kuzynek pociemniał na twarzy. Był podobny do posągu z brązu. Oczy tylko błyszczały ogniem nadzwyczajnym. Patrzył na mnie chwilę. Potem odwrócił się szybko i rzekł we drzwiach:

— To nie jest szlachetna broń, kuzynko.

Rzekłszy to, wyszedł.

Pobiegłam szybko do mego pokoju. Usiadłam na sofie i gorący strumień łez wytrysnął mi z oczu.

Nie wiem dlaczego płakałam, ale łez tych nie zapomnę do śmierci. Jeżeli jest jaka rozkosz na świecie, jeżeli jest taki stan duszy, w którym można bez bólu ponieść najśrodsze katusze, a nawet i życie utracić; jeżeli to wszystko prawda co mówią o ludziach, którzy w zachwyceniu szli na stosy, lub z wysokich skał w przepaść się rzucali: wszystko to uczułam w tej chwili, przy tych łzach dziwnych, niezrozumiałych.

Od tych łez niepojęta zmiana zaszła w mojej duszy. Szukałam samotności i ciszy, szukałam kawałka błękitnego nieba, listka zwarzonego mrozem zimowym, bo to budziło we mnie dawne wspomnienia. A gdy w nocy bezsennej błądy księżyc przez okno do mnie zaglądał, widziałam w tem świetle rysujący się mały korytarzyk w dworku przedmiejskim, lub zawiłe fale owej rzeczki, na której głębinach skoczył on do mnie!...

Dziwiłam się, że dotąd to wszystko lekceważyłam, że nie umiałam na dnie tych wydarzeń dojrzeć tego wielkiego, szlachetnego uczucia, które dla mnie w sercu jego płonęło...

Wujaszek nic mi nie mówił, chociaż z uwagą mi się przypatrywał. Z Leonem często i wiele po wieczorach rozmawiał, a rano przy herbacie, całując mnie w czoło, nieraz do mnie mawiał:

— Doświadczenia, moje dziecię, są skarbem, jeżeli korzystać z nich umiemy. Były tylko te doświadczenia zostały nam duszę całą i serce nienadpsute.

Zazwyczaj wstawałam wtedy do wujaszka i kryłam zapłakaną twarz u jego piersi. Była to moja odpowiedź na jego słowa.

W trzeci tydzień po Wielkiejnocy biegali usłużni roznosiciele wieści po salonach stolicy. Był wielki hałas, były i małe szepty...

Wieczorem zostałam żoną Leona.

XII.

Za dwa tygodnie oddał mi wujaszek dokumenta mojej pełnoletności, jakoż dokładny spis mego majątku, wraz z przyrośniętymi procentami. Wieczorem miał długą rozmowę z Leonem, po której wyszedł z nim do mnie, uśmiechnięty i zadowolony. Całując mnie w czoło, rzekł potem:

— Spodziewam się, Helciu, że nie będziesz kłaść bardzo ścisłej granicy między: moje i twoje. A jeżeli wypadnie wyjąć kół z jednego płota, by drugi płot nim podeprzeć, to także nie będziesz miała nic przeciw temu.

Pobiegłam natychmiast do biurka, wyjęłam pęk skryptów i włożyłam go Leonowi w zanadrze, mówiąc:

— Wziąłeś mnie Leonie, więc bierz także i to co do mnie należy.

Leon uśmiechnął się, wyjął skrypt z zanadru i położył na mojem biurku. Ucałowawszy mnie rzekł:

— Niech to wszystko będzie pod twoim kluczem, moja Helciu, a jeżeli mi koła do płotu zabraknie, to przyjdę i uniozoną prośbę u nogi mojej królowej złożę.

Wujaszek był zadowolony z tego przebiegu rzeczy, a zaledwie drzwi za sobą zamknął, przyskoczyłam do Leona i... ukarałam go pocałunkiem za to nieposłuszeństwo. Odpowiedział mi, że przy takiej karze odtąd będzie nieposłusznym.

Za kilka dni zwinął wujaszek dom w stolicy i odjechał napowrót do swego dworku przedmiejskiego, aby w zaciszy dalej nad swoim »Emilem« pracować.

Dla nas zostawały dwie drogi: mogliśmy się udać w podróż, albo do majątku Leona. Leon zostawił mi do wyboru te dwie drogi. Rozważywszy wszystko, uważałam za rzecz słuszną nie wyjechać z kraju bez potrzeby. Wód zagranicznych nie potrzebowaliśmy, zabawy nie pragnęłam, bo całym światem moim był Leon. Krótki więc był mój namysł. Leon z ochotą przystał na mój wybór, a nawet ucieszyło go to. Za tydzień byliśmy już na wsi.

Majątek Leona przypierał do ostatnich rozsypanych pagórków podgórza karpackiego. Nie był to pałac ani zamek z czasów feudalnych. Nie było tam murów ani wałów otaczających siedzibę szlachecką, nie było ostrokołów ani mostów zwodzonych, jakimi od swoich poddanych i sąsiadów zabezpieczał się Gaugraf niemiecki. Był to prosty domek, dawniej prawdopodobnie pod strzechą, otwarty na wszystkie strony, jak otwartą była ręka szlachcica dla swoich poddanych, osiadły pośród rozsianej w około gromady, jak pasterz między pasącą się trzodą.

Z jednej strony był to widok na piętrzące się pagórki, z drugiej, rozciągała się przed okiem nieprzejrzana równina, której ostatnie krawędzie stykały się z niebem. Z pomiędzy pagórków wypływała mała rzeczka i coraz szerszą wstęgą płynęła po bezkresnej równinie.

Dworek szlachecki uległ w ciągu lat znacznej przemianie. Dano mu dach nowy, napuszczono go ciemną farbą. Po obu bokach przybudowano małe pawiloniki z oknami szwajcarskimi. W samym środku wysunięto ganek i oszklono go szybami rozmaitego koloru. Całe więc zabudowanie tworzyło razem dosyć ładną, chociaż nieregularną całość. Ale właśnie nieregularność ta nadawała mu najwięcej uroku. Niema nic nieznośniejszego w naszych wiejskich siedzibach, jak te liliputowe kamieniczki miejskie, wyglądające z poza klombów i drzew ogrodowych. Ojcowie nasi nie mieli klasycznego stylu w budowaniu. Kilka generacji składało się nieraz na kształty dworców do naszych czasów przechowanych; ale

właśnie te dodatki, te daszki, zakomórki, stanowiły pewien całościowy kształt, tak wybitnie cechujący nasze dwory.

Wewnątrz tego dworku znalazłam prawdziwy labirynt. Były tam komnaty i gabinetiki, korytarze i ciasne uliczki, drzwi szerokie, podwójne i niewidzialne tapetowe. Kilka dni zeszło mi, nim wszystkie kąty oglądnęłam, nim z przeznaczeniem wszystkiego obeznałam się.

Równocześnie z naszym przyjazdem, zawitała i wiosna do tego zakątka ziemi. Drzewa zazieleniły się i pokryły kwiatem, na ziemi rozwinęły się najpiękniejsze dywany, a gdy słońko do snu się ułożyło, błyszczały migające dyamenty na niebie ciemno-szafirowem... I czegoż więcej potrzeba było dla dwojga kochających się ludzi?

Nie śmiem, a nawet nie umiem opisać tych dni jasnych i szczęśliwych. I nacóż wreszcie przydałoby się to opisanie? Każde kochające serce ma te chwile złotem pismem zapisane i często w nie patrzy, gdy burze życia szaleją nad niem!... Jestto konieczny rozdział w życiu kobiety, choćby najnieszczęśliwszej. Ale rozdział ten, niestety! nie zostaje w żadnym związku, ani z tem co było, ani z tem co po nim będzie. Jest to oderwany epizod życia, z którego na przyszłość nic bynajmniej wnosić nie można. Jest to ekstaza, szal, jest to życie poza granicami zwykłego życia, są to krople nektaru, spadające z przepełnionego kielicha... Ta chwila zbliżenia się i zbratania aż do śmierci dwojga dusz w jedną wolę, jedno marzenie, jeden wzrok i jedno ucho... ta chwila nie jest normalnem życiem człowieka i tylko jako błysk przelotny ma niejakię znaczenie.

Gdybyśmy chciały według tych chwil, tych kilku tygodni lub miesięcy sądzić o szczęściu naszym, toby nie było pod słońcem nieszczęśliwej kobiety. Wszystkie mniej więcej jesteśmy w tym względzie do siebie podobne. Dlatego tylko tyle o sobie powiedzieć mogę, że byłam szczęśliwą, jak tylko kobiecie wolno jest na ziemi być szczęśliwą. W porównaniu do innych, byłam może nawet jedną z najszczęśliwszych.

Piękna okolica, zatrudnienia gospodyni, sąsiedztwo, to wszystko nie bawiło mnie. Nic nie widziałam, żadnej nowej znajomości nie pragnęłam. Zmieniłam się zupełnie. Zdawało mi się pierwej, że mam nieco weny artystycznej; teraz straciłam wszystko i tylko wspomnienie zostało mi po tem.

Wszystkiem bowiem był dla mnie mój Leon. Najszczęśliwszą byłam, gdy siedział koło mnie, mówił ze mną, lub gazetę czytał, a ja, patrząc na niego, zatrudniałam palce mechaniczną robótką. Niczego więcej nie pragnęłam na świecie.

Tak upłynęły pierwsze miesiące. Leon był ciągle przy mnie. Gospodarstwo zdał na ekonoma i tylko w chwilach ważniejszych zaglądał do niego. Był dla mnie we wszystkim uprzedzającym. Moje myśli, moje marzenia odgadywał, a tych przy nim było tak mało! I zdawało mi się, że rzeczywistym być może obraz poety, często teraz przedrzeźniany:

»Dla kochanka i kochanki,
Dosyć chatki pustelnika?«...

Kilka wizyt w sąsiedztwo utwierdziło mnie jeszcze tem bardziej w mojem mniemaniu, że tylko obok Leona jest dla mnie szczęście. Poznałam kilka matek stroskanych zbytniem błogosławieństwem Bożem, kilka młodych mężatek wycubionych i wymuskanych, i na tem się skończyło. Całe ich wykształcenie składało się z kilkudziesięciu francuskich frazesów. Nad to żadnego dowcipu, żadnego rozleglejszego poglądu na sztukę i literaturę.

I pozostaliśmy znowu sami z Leonem. Ale samotność nasza była przeplatana małemi dziecinnymi sporami. Gniewało mnie to, iż Leon był tego zdania, że ja się nudzę. Codziennie trapił mnie jakimś nowym projektem. Raz wszedł do mego buduaru uśmiechnięty i przyznał mi się, że gotuje dla mnie małą niespodziankę, o której wtedy dopiero się dowiem, gdy z nim konno pojedę na górę, co od południa zasłaniała widnokrąg. Poszłam za jego radą... i cóż to była za niespodzianka? Oto z góry puszczono kilka zajęcy, które

umykając przewracały koziołki. Można było zatem wybornie strzelać, kilka razy do jednego mierząc.

Innym razem wyprowadził mnie na brzeg stawu i pokazał nową łódkę, krajowemi kolorami pomalowaną. Siedzenie było wygodne, wysłane włosem i obite skórą. Wiosła naśladowały trójżab Neptuna. Wsiedliśmy w łódkę i wypłynęliśmy daleko na staw. Na drugi dzień zaprosił towarzystwo męskie z okolicy i polowano z wielkim hałasem prawie aż do wieczora. Musiałam w amazonce towarzyszyć tej zgrai i odbierać od wszystkich najśmieszniejsze komplementa. Bawiło mnie to, ale bez tego mogłabym być równie szczęśliwą.

Za tydzień znowu wyprowadził mnie do ogrodu, na miejsce, gdzie zamierzał wybudować nowy, odosobniony pawilon. Okazał mi rysunek do tego. Był to szkic z jego podróżnej teki, zdjęty z natury w Hiszpanii. Krzaki bzu i akacyi miały go do połowy zasłaniać. Za nim miał sterczyć odłam sztucznej skały, gubiącej się w zieleni lip i brzoź płaczących. Był to rysunek wielce zajmujący. Dałam chętnie aprobatę, która zazwyczaj kończyła się pocałunkiem, i na drugi dzień zaraz sprowadzono cieśli, stolarzy i innych potrzebnych w takim razie rzemieślników.

Od tego czasu coraz rzadziej mogłam być przy Leonie. W wysokich angielskich butach stał po całych dniach przy robocie. Zaledwie na obiad przyszedł; wieczór zaś tyle miał znowu do dyspozycyi na dzień jutrzejszy, że zaledwie kilka słów miał czas do mnie przemówić.

Gniewałam się na ten pawilon, nie lubiłam patrzeć na robotę, która zajmowała po całych dniach mego Leona, a nawet na seryo myślałam o zaniechaniu jej. Rozmyśliwszy jednak rzecz całą, uznałam, że niesłuszniebym sobie postąpiła i zdecydowałam się czekać.

Skończono wreszcie pawilon, który był prawdziwem pięściółkiem. Patrzałam na niego przez całe pół godziny. Zaledwie do mego budoaru zdążyłam, aby tam lżej już odechnąć, gdy Leon z najeżoną głową wszedł do mnie i oznaj-

mił mi, że robotników jeszcze oddalić nie myśli, gdyż okazała się potrzeba nowej stodoły. Prócz stodoły, napomknął coś i o dachu, którego krokwie miały być nadłamane.

Nie umiałam sobie tego dobrze wytłumaczyć. Spojrzałam w oczy Leonowi. Leon uniknął mego wzroku: wziął z biurka małego pieska z porcelany i zaczął mu się z uwagą przyglądać. Nieprzyjemne uczucie ogarnęło moje serce. Patrzałam czas niejaki na niego. Nic mu jednak nie mówiłam, o nic nie zapytałam. Po chwili namysłu, rozweseliłam twarz o ile mogłam, uśmiechnęłam się i zaczęłam wesoło o jego nowych projektach rozprawiać. Rozmawialiśmy o nowej stodole, słowem wyczerpałam cały zapas moich wiadomości o architekturze gospodarskiej.

Po obiedzie, gdy Leon do rzemieślników odszedł, wzięłam cieplejszą zarzutkę, bo powietrze jesienne już czuć się dawało, i poszłam do ogrodu na przechadzkę. Nie mogłam pozbyć się smutnych myśli. Biegały one przedemną w najrozmaitszych postaciach, przedrzeźniały mi się, uciekały i ponownie wracały, aby mnie tem więcej niepokoić.

Ogród jedną stroną spuszczał się dosyć znaczną pochyłością aż do brzegów rzeczki. Część ta ogrodu była dziko zarosniętą i tworzyła niejako park angielski. Ta ustron i cisza nęciły mnie dzisiaj do siebie. Po raz to pierwszy od kilku miesięcy uciekałam od słońca i szukałam tego ciemnego zakątka. Przypomniałam sobie, że biedne, chore zwierzęta lubią kryć się w podobne ciemne kryjówki. Czy serce moje rzeczywiście było chore? Czy pragnęło dzisiaj ukryć się przed światem, aby swej choroby mu nie okazać?...

Ciemna ścieżka którą postępowałam, spadała coraz niżej na dół i stawała się coraz ciemniejszą. Na samym dole zakręcała się na prawo i szła równolegle z drożyną, która tędy pięła się do góry. Od drogi była ta ścieżka osłonią gęstą ścianą, utworzoną z krzewów krzaczystych.

Idąc koło tej ściany, usłyszałam zwolniony turkot bryczki. Po chwili stanęła bryczka i wysiadło z niej dwóch po-

dróżnych, czyniąc prawdopodobnie ulgę końom idącym pod górę. Przez małą szczelinę pomiędzy gałęzmi widziałam to wszystko. Zatrzymałam się, aby nie zrobić szelestu.

Dwaj podróżni szli zwolna pod górę. Bryczka w niejakej odległości ciągnęła za nimi. Jeden z nich ozwał się:

— Patrz, co ten Leon wyrabia. Nowy pawilon! A z jakimi wymysłami!

— Daj mu pokój — odpowiedział drugi — to biedny człowiek. Cóż ma robić? Czy nie wiesz, że kupiec blizki bankructwa odnawia zazwyczaj wystawę i łokciowe złote litery kładzie nad sklepem? Ile razy takie złote, sążniste litery obaczę, to zdaje mi się zawsze, że tak musiały wyglądać owe głoski Baltazara...

— A cóż to, czyż tak źle z nim? — zapytał pierwszy.

— Wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi — odparł drugi. — Czy myślisz, że on ożeniłby się, gdyby tego finansowe jego interesa gwałtem nie wymagały? Czyżby tak prędko pozbywał się złotej wolności, gdyby nad jego głową nie wisiał miecz subhasty, a może i kozy?...

— A te budowy, te upiększenia?

— To wszystko... ot strachy na Lachy. To odpowiedź na termina, aby dłużnikom zamydlić oczy. To złote litery nad sklepem bankruta.

— Wszak znaczny wziął posag za żoną.

— Toż go przecież jedynie skłoniło do ożenienia się. Bo cóż innego może takiego bywalca oderwać od ładnych baletniczek, sentymentalnych wodwilistek i tragicznych śpiewaczek? Kto w takich był rękach, temu, ręczę, że nie wystarczy żadna inna, zwyczajna a pocziwa kobieta. Kto długi czas jadał trufle, temu domowa strawa nie będzie smakować... A co do posagu żony, to ten jest z boku nadzorowany przez argusowe oko wujaszka. Mecenasa jej ma w tym względzie najsurowsze rozkazy...

— Biedna kobiecina! Ona zdaje się być bardzo dobrą i pocziwą!

— No, no, no! Do czasu dzban wodę nosi. Lecz gdy braknie wody, a do tego czasu nie stłucze się, to będzie musiał nosić błoto i żaby.

I rozśmiali się obaj, ale końca ich śmiechu już nie słyszałam. W oczach mi pociemniało i ledwo tyle miałam siły, aby się kilka kroków dalej potoczyć i na ławeczkę upaść...

W pierwszej chwili zdawało mi się, że mnie ktoś niespodzianie w głowę uderzył. Straciłam zmysły i nic nie wiedziałam gdzie jestem i co się koło mnie dzieje. Przedemną była noc czarna, była niby jakaś przepaść, która pochłonęła słońce dnia Bożego. Słyszałam jakiś dziwny szum, jakby stado dzikiego ptactwa przelatywało nademną. Powoli zaczął ten szum przybierać jakieś głosy zrozumiałe, tworzyły się słowa, rosła jakaś dziwna, straszna mowa! W mowie tej było szyderstwo i urąganie się, był jakiś śmiech okropny! Tylko piekło tak śmiać się może!...

Po jakimś czasie zaczęło mi się rozwidniać przed oczyma. Zrazu odgadywałam otaczające mnie przedmioty, potem występowały one coraz widoczniej przed memi oczyma. I obaczyłam ciemną, zarośniętą ścieżkę, za mną był żywy płot z krzewów, a tam na dole wiła się mała rzeczka. Wszystko to było mi dobrze znane, lecz jakże dziwnie wyglądało teraz! Dawniej tyle uroku, tyle tajemniczej poezyi widziałam w tem cichem ustroniu; dzisiaj każdy, jesiennym wiatrem, zerwany listek ranił mi serce, ocieniona ścieżka wydała mi się zimną i wilgotną, a z wód małej rzeczki widziałem wstające wilgotne mgły, które nieprzyjemną, zgniłą wonią zarażały całą atmosferę.

— Mój Boże! — pomyślałam sobie — jakże brzydką jest sama nawet natura, gdy na nią nie patrzymy okiem miłości! Urok życia i całą poezyę nosimy w sobie, a gdy jej w naszym sercu zabraknie, nie znajdziemy jej nigdzie...

I znowu popadłam w pewne odrętwienie. Patrzałam przed siebie, jak lunatyk i nic nie widziałam. Coś tylko kłębiło się przed memi oczyma, jak tumany mgły jesiennej.

Wszystkie barwy ziemi i nieba, wszystkie przedemną rozłożone przedmioty mieszały się w jakąś brudną, bezkształtną masę, która ruszała się napróżno, aby się w coś uformować.

Po tym drugim ataku trochę ochłonełam. Jaśniej już było w koło mnie i jaśniej było mi w duszy. Wzburzone męty osiadły gdzieś na dnie, a umysł mój wyklarował się. I jakież to myśli okazały się teraz w przezroczu duszy mojej? Cóż to za straszne potwory zaczęły się ruszać i jeden za drugim uganiać?...

— A więc to nie była miłość, która go do mnie zbliżyła! — pomyślałam sobie nieszczęsna. — Byłam tylko nową pożyczką wziętą z banku kredytowego, listem zastawnym, z którego kupony miał odcinać dla zaspokojenia dłużników swoich... On wziął mnie jako skrawek sukna, aby mną rozdartą odzież załatać... Wziął mnie jako podpórkę do upadającego budynku... Ja myślałam, że on mnie kocha, że całe jego zachowanie się dla mnie było wynikłością zarzącego się w jego sercu uczucia! A to wszystko było tylko prostem obliczeniem, wyuczoną rolą, jak mówił wujaszek, a jam nie poznała się na tej roli! Aktora wzięłam za rzeczywistego bohatera i zamiast twarzy, ucałowałam róż i bielidło...

I stanęła mi przed oczami cała sromota mego położenia. Byłam niepotrzebnym dodatkiem do mego majątku. Może ten majątek bezemnie miałby dla niego daleko więcej wartości. Może byłam tylko długiem zahipotekowanym na tym majątku. Możeby chciał jaknajprędzej zmazać ten dług i majątek od tej zmory uwolnić...

Takie dziwaczne myśli biegały mi po rozpalonym mózgu. Wiele rzeczy wyjaśniło mi się teraz. To zatrudnianie mnie rozmaitymi projektami wyglądało mi w tej chwili, jak ów kawałek chleba rzucony psu na to, aby przestał łaścić się koło nas, spinać i walać łapami.

Miotana wewnętrzną burzą, wstałam z ławki i szybkim krokiem pyściłam się na oślep. Chciałam biegiem wyprzedzić ciągnące się za mną potwory, które jak pajęczyna jesienna

czepiały się głowy mojej i wlokły się za mną. Biegłam co mi tchu starczyło, aby krew, która się do serca cisnęła, rozpuścić po całym ciele i nie dać z przepełnienia pęknąć temu biednemu sercu... Zdawało mi się, że tę burzę, która we mnie wrzała, mogę zostawić za sobą i uciec od niej...

Przebiegłam kilka ulic ogrodowych, obeszłam w koło zabudowania gospodarskie, okrążyłam staw dwa razy. Było mi wszystkiego zamało. Weszłam do lasku, który pod górę wspinał się, i zaczęłam drapać się krętą drożyną. Na samym wzgórzu obaczyłam małą chatkę leśniczego. Z chatki rozlegał się śpiew przyjemny. Zbliżyłam się do drzwi. Młoda kobieta wybiegła ku mnie i ucałowała mi rękę. Zapytałam ją o imię.

— Czy miałaś posag, idąc za mąż? — zapytałam.

Kobieta popatrzała zdziwiona na mnie i dała odpowiedź przeczącą.

— O jakże jesteś szczęśliwą! — rzekłam i oczyma zalane wzniosłam ku niebu.

Zdawało mi się, że w tej chwili musiało się niebo otworzyć i że matka moja spojrzała stamtąd na biedną sierotę. Pożegnałam młodą kobietę, która nie mogła z zadziwienia przyjść do siebie, i poszłam dalej.

Wreszcie zmęczona, z głową spuszczoną na piersi, wracałam do domu. Droga prowadząca do oszklonego ganku zaginała się nagle, okrążając krzewami zacieniony klomb. Idąc tą drogą, stanęłam znienacka przed domem.

W ganku stał Leon ze szpicrutą w ręku. Na twarzy jego było pewne zadowolenie pańskie. Widać, że moja długa nieobecność bynajmniej go nie rozdrażniła. Choć stał prawie do mnie zwrócony, nie widział mnie jednak. Machał szpicrutą i pogwizdywał sobie jakąś francuską aryjkę, zapewne reminiscencyę z czasów zakulisowych. Przed nim stała paradna, starożytna landara. Była to karetka, jeżeli się nie mylę, z czasów Stanisława Augusta. Bogate srebrne kutasy wisiały po rogach. Antaby były wyłacane. Na drzwiczkach jaśniały

dwa herby ze złotą armaturą. Wnętrze karety było obite adamaszkiem jedwabnym.

Leon oglądał ze wszystkich stron tę łupinę arystokratyczną jakiegoś dygnitarza. Z szyderczym uśmiechem rzekłam: — Cóż ten drogocenny zabytek znaczy? Leonie.

Leon zwrócił się do mnie i rzekł żartobliwie niby:

— Czy dajesz mi aprobatę do kupna tej złotej karety, którą mi stary szambelan X. przysłał?

— Sądzisz, że ci będzie potrzebną? — zapytałam z przekąsem.

— Ależ Heluniu, co też ty mówisz — odparł Leon, śmiejąc się. — Tę złotą karetę kupuję tylko dla żelaza, które jest na niej. Pudło się potłucze i odrzuci a żelazo zostanie do użytku.

— Przyznam się — odpowiedziałam z gorzkim uśmiechem — że nigdybym na tę myśl nie wpadła, aby to arcydzieło stelmacha i złotnika nabyć tylko dla lichych czterech osi żelaznych i pospolitych obręczy.

— Ale przecież w tem rozum krytyczny — przerwał mi mowę.

— Nie przeczę temu, jesteś praktyczny — mówiłam dalej: jednakże byłoby mi żal tych herbów, tej pozłoty, tych rzeźb. Przecież to inne miało niegdyś przeznaczenie. Dziś to wszystko odrzucić dla lichego zysku!...

— Więc zgoda: pudło każę zdjąć grzecznie i zbuduję naumyślnie dla niego gabinet antyków. Pudło dla ciebie, a żelazo dla mnie.

— Jesteś okropnie praktycznym, Leonie! — zawołałam ostatnim tchem. — Czy i z ludźmi podobnie praktycznie postępujesz, jak z tą karetą szambelańską?...

Leon tak był zajęty oglądaniem antyku, że prawdopodobnie ostatnich słów moich nie słyszał. Schylił się, zaczął starannie obmacywać resory i mierzyć grubość obręczy na kołach. Artystyczna część karety wcale go nie obchodziła.

Rozśmiałam się szyderczo i odeszłam do mego budoaru.

— Jakież to straszny dla mnie obraz, ta złocona karetą!
 — pomyślałam sobie, rzucając się na sofę. — Jakaż to okropna odpowiedź na wszystkie moje dręczące myśli! Czyż mnie nie kupiono, podobnie jak tę karetę dla jej stalowych rysorów, dla tych półcalowych obręczy na kołach?... Czyż te słowa o gabinecie starożytności nie dadzą się i do mnie zastosować?... Nic ze mnie już w sercu jego nie pozostało, prócz cyfry mego majątku! Ona zajęła miejsce moje, a właściwie ona tam była od samego początku zamiast mnie!...

Uczułam naraz zimno i gorąco na całym ciele. Zadzwoiłam na służącą, i położyłam się do łóżka.

Dosyć długo byłam sama, nim do mnie przyszedł Leon. Wszedł z twarzą spokojną, usiadł przy mojem łóżku i zapytał o zdrowie. Zaproponował mi lekarza, chciał nawet sam po niego pojechać, ale ja za jedno i drugie podziękowałam. Nie ułożyłam sobie jeszcze planu co do postępowania mego z Leonem, nie byłam nawet zdolną powziąć jakiegobądź postanowienia. Musiałam więc, chcąc nie chcąc, zostać dyplomatką. Odpowiadałam mu, lecz odpowiedzi moje były nadzwyczaj krótkie i nieraz cierpkością przyprawione.

Leon spokojnie siedział i spokojnie mnie słuchał. Zdawało mi się, że albo nie chce mnie pojąć, albo też tyle jest obojętnym, że istotnie przymówek moich nie rozumie.

Odszedł odemnie znowu do robotników, aby im dać dyspozycje na jutro i długo z nimi rozmawiał. Gdy się już dobrze ściemniło, wszedł do mnie z dziennikami i kazał służącemu w moim pokoju nakryć do herbaty.

— Czy nie mógłbyś mnie dzisiaj od widoku herbaty uwolnić? — zapytałam.

— Jeśli rozkażesz, będę pił sam — odparł krótko.

Spojrzałam mu w oczy: zawsze ten sam niczem niezamącony spokój. Gniewałam się w tej chwili na ułomność naszą. Czemuż nie możemy wprost wiedzieć myśli człowieka, tylko musimy czekać aż on sam przepuści je przez kwarantannę, przez krytykę rozumu czy tam obłądy, i w końcu

coś wręcz przeciwnego powie? Czyż w tych słowach: »będę pił sam« jest rzeczywiście żal jaki, że ja z nim nie będę? czy to tylko frazes, rzucony biednej kobiecie przez niezwykle zręcznego aktora?

Wreszcie rozstrzygnęłam to pytanie na niekorzyść Leona. Powiedziałam mu, że potrzebuję spokoju, i że najlepiej mi będzie, jeśli zostanę sama z moją służącą. Leon przystał na to bez żadnego oporu. Schylił się nademną i pocałował mnie w czoło.

Widziałam raz pastucha, gdy w kapliczce polnej mówił do świętego Mikołaja, że go dziesięć razy pocałuje w złotą laskę, jeśli mu się uda przyswoić sobie na przychówek najładniejsze jagnię ze stada. Czyż między mojem czołem a pastorałem świętego Mikołaja nie było w tej chwili niejakiego podobieństwa?...

Gdy Leon odszedł, ukryłam twarz w poduszki i zaczęłam gorzko płakać. Najrozmaitsze myśli biegały mi po głowie. Był tam i rozwód, i dworek wujaszka na przedmieściu, były także jakieś straszne potwory zemsty, a w końcu białe, zimne, lecz ciche ściany murów klasztornych!...

Wreszcie odrzuciłam wszystkie te natrętne myśli od siebie i prosiłam tylko Pana Boga o ukojenie chwilowe, o spokój duszy, w którym mogłabym powziąć jakieś stanowcze postanowienie.

I zesłał Pan Bóg swego cichego anioła w szacie błękitnej — sen błogi zamknął moje powieki.

XIII.

Właśnie słońce wschodziło, gdym się obudziła. Spojrzałam w okno, dzień był prześliczny. Georginie i żółte astry zaglądały do mnie przez okno, krople nocnej rosy świeciły się jak łzy w ich kielichach.

Dzień wczorajszy wydał mi się jakby jaki sen złowrogi. Chciałam się koniecznie utrzymać w tej wierze, wmawiałam

w siebie, że byłam w gorączce, że to wszystko było majaczeniem. Ale niestety! daremne było to usiłowanie. Po pierwszym wypoczynku zaczęło serce moje bić niespokojnie. To wszystko, wszystko było prawdą!

Wstałam i otworzyłam okno. Umierające pod zimnem jesieni kwiaty posłały mi ostatnie swoje zapachy, ostatni oddech życia. One zamierały już na dnie burzy i niepogody, a ja, jak kwiat przydeptany, musiałam żyć, żyć z boleścią w sercu. Musiałam nawet na ustach mieć uśmiech dla ludzi ciekawych, musiałam zachować pozór szczęścia!...

Mimo to byłam dzisiaj spokojniejszą niżeli wczoraj. Rana moja bolała mnie, ale nie było przytem gorączki, nie było kurczów i spazmów. Pierwsze wrażenie rany przemignęło, potrzeba było teraz starannie ją obejrzeć, wysondować i orzeknąć czy jest do zagojenia, czy nie. Sen spokojny, pogoda piękna, świeży, orzeźwiający poranek i ta cisza, która w około mnie panowała, wszystko to przywróciło mi równowagę zmysłów. Mogłam chłodniej i spokojniej zastanowić się nad nowem mojem położeniem.

Przypomniałam sobie słowa wujaszka, że wypadki, zdarzenia i nieszczęścia nie powinny nigdy przywodzić nas do rozpacz, lub chwilowego odrętwienia. Rozpacz zabija nas, a odrętwienie pozwala nieszczęściu przenieść nasze siły. Nieszczęście szybko trzeba schwycić, jak chwyta cyrulik przeciętą żyłę, i prędko zastanowić się nad możliwą jego naprawą.

I pomyślałam sobie, że nieszczęście moje jest faktem dokonanym. Wrócić się nie można, trzeba więc nad niem pomyśleć. Zostałam żoną człowieka, który na to tylko mnie pojął, aby posagiem moim zrujnowany swój majątek do porządku przyprowadzić. Nie stałam więc u niego na pierwszym planie, ale gdzieś w głębi, jako nic nie znaczące akcesoryum. Na pierwszym planie, zamiast mnie, były cyfry mego posagu.

To nieszczęście było widoczne. Utwierdziło mnie w tem kilka zdarzeń dawniejszych, które teraz dopiero stały się dla

mnie zrozumiały. Cóż było w tem nieszczęściu począć? Dwie drogi miałam przed sobą: wrócić z płaczem, a może tylko z dumą obrażoną, do wujaszka, albo... zostać przy mężu. Pierwsza miała wiele ponęty dla mnie, drugą nakazywały mi obowiązki i wzgląd na opinię publiczną. Wzgląd na obowiązki i opinię publiczną nie mogły jednak uczynić ze mnie dożywotniej ofiary. Do tego byłam jeszcze za słabą, cnoty rezygnacyi nie znałam dotąd. Jakaż była więc rada?

Znowu przysły mi na pamięć słowa wujaszka, że każde nieszczęście trzeba natychmiast zmierzyć, czy się naprawić nie da. A moje nieszczęście byłoby do naprawy?

Myśl ta ogarnęła mą duszę jak błyskawica. Byłam na chwilę olśnioną, tyle pociechy, tyle światła Bożego w myśli tej było. Naprawić, zużytkować to nieszczęście, puginał zabójczy przekuć na lemiesz spokojny!...

Z tą myślą stałam chwilę przy oknie. Lękałam się głośno oddychać, aby tej myśli nie spłoszyć, aby dać jej swobodnie rozwinąć się, dojrzeć i całym blaskiem zaświecić.

Wkrótce usta moje złożyły się do uśmiechu, jakiego od południa wczorajszego na mojej twarzy nie było. Ale równocześnie pojawiły się łzy w moich oczach, łzy wdzięczności, że Bóg natchnął mnie nad brzegiem przepaści myślą zbawienną. Zbliżyłam się do klęcznika i upadłam na kolana, aby Panu Bogu za pomoc w potrzebie podziękować i do dalszych zamysłów moich łaskę od Niego wyprosić.

Po modlitwie zadzwoniłam na służącą. Kazałam podać sobie z odzieży co miałam najgustowniejszego. Były to prawdziwe arcydzieła modniarki. Prostota szła tu w parze z wykwintną elegancją. Do tego ubiór ten był nieco podobny do ubioru, w jakim byłam na łodzi w owym dniu pamiętnym, gdy Leon dla mnie uczynił szaleństwo. Pomyślałam sobie: wtedy on mnie ratował, czemuż i ja dzisiaj uczynić tego nie mam?... Czyż uda mi się uratować go dla siebie?

Kazałam sobie utrefić włosy w sposób jaki on najlepiej lubił. Do włosów wzięłam mały kwiatek błękitny.

Gdym się w zwierciadle obaczyła, byłam z siebie więcej niż kiedykolwiek zadowolona. Ubiór mój był wprawdzie tylko poranny, używany do spaceru po ogrodzie lub przejazdki przed obiadem, lecz mimo to tyle było w nim prawdziwej elegancji, tyle artystycznego zmysłu, że w ubiorze takim musiałabym się podobać największemu stoikowi. Moja twarz była lekko zarumieniona, oczy ożywione wewnętrznym niepokojem.

— Nie, on musi mnie kochać!... — szepnęłam do siebie, odchodząc od zwierciadła.

Drzwi od mego buduaru otworzyły się zcicha. Przez szczelinę obaczyłam ostrożnie zagląającego kamerdynera. Kazałam mu wejść. Dowiedziałam się od niego, że już po raz trzeci przychodzi nadśłuchiwać, czy się nie obudziłam. Zapytałam go o Leona. Odpowiedział mi, że pan długo w nocy czytał, wstał bardzo rano i jest teraz przy robotnikach. Kazałam go do siebie poprosić.

Sporo upłynęło czasu, nim Leon pokazał się w moim budoarze. Przyszedł zamyślony i w jakimś roztargnieniu. Obaczywszy mnie, stanął nagle jak wryty, obejrzał mnie od stóp do głowy i jakby zimną wodą oblał mnie swoim szyderskim, bajronowskim uśmiechem. Była to dla mnie niełata chwila. Czułam, że nogi podemną drżały. Zebrałam wszystkie siły, przymusiłam się do zachwycającego uśmiechu i z przymileniem podałam mu rękę.

— Niewdzięczny! — rzekłam do niego z wyrazem najszczerzej tkliwości — tak mnie bojaźliwie opuścić w słabości!

Leon ucałował podaną rękę, osłodził nieco swój szyderski uśmiech i odparł:

— Rozkaz twój jest mi święty; usłuchałem go, ale myślą byłem zawsze przy tobie.

Trzymałam jego rękę w mojej. Zapewne czuł drżenie moje, bo mi patrzył badawczo w oczy. Po chwili ozwał się:

— Widzę, że masz jakiś planik. Czy nie możnaby odrazu rzecz wypowiedzieć?

Zimny dreszcz przeszedł po mnie. Tak mówi tylko człowiek obojętny, znudzony, nienawidzący kogoś... Zapewne spostrzegł konwulsyjne drżenie na mojej twarzy, bo uśmiechnął się i dodał:

— Wszak wiesz, że każda myśl twoja przysparza mi szczęścia; czemuż mi każesz tak długo czekać?

— Mówią, że to szczęście najsłodsze, na które się długo czeka — odrzekłam.

I wzięwszy go za rękę, wiodłam go za sobą aż do fotelu, przy którym stał aksamitny podnózek. Wpatrzył się we mnie, lecz długo nie namyślał. Z uśmiechem zajął wskazane miejsce. Pochyliłam się ku niemu i objęłam go za szyję.

— Grzeszniku zatwardziały! — szepnęłam mu do ucha gorącym oddechem — nie wstaniesz stąd, aż dostaniesz ode mnie rozgrzeszenie. Toż aż w snach moich muszę się dowiadywać o myślach niespokojnych, które mi marszczą to piękne czoło twoje; sercem odgadywać muszę to, czego powiedzieć mi nie chcesz... Otoż słuchaj teraz wyroku mego. Umiem być królową lub niewolnicą. Jako królowa jestem nieznośna; niewolnicą jestem najszczęśliwszą i wzajem mogę uszczęśliwić. Jeżeli wypowiadasz się przedemną i wypełnisz zadaną ci pokutę, to zamienimy miejsca swoje: ty siądziesz na tronie, ja u podnóżka twego.

Mówiąc to, trzymałam głowę jego w objęciu. Czuł gorący mój oddech, czuł w piersi bijące serce. Owinęłam go ciepłem mojej duszy, jak czarnoksiężnik owija widzów z czarowanym kołem swoim. Niepokoił się w objęciu mojem i czułam szybko bijące pulsa jego.

Podniósł oczy do mnie i rzekł nie bez wzruszenia:

— Jakiej spowiedzi żądasz? Przecież nie zechcesz ode mnie, jak dziecko, potłuczonych cacek, aby się niemi poranić.

Wzięłam twarz jego w obie ręce, patrzyłam w jego ciemne oczy długo i rzekłam po chwili:

— Nie, cacek twoich, które, jak mówisz, już się potłukły, nie chcę od ciebie. Rzuć je wszystkie tam, gdzie się

zazwyczaj potłuczone cacka wyrzucają. Nie spojrzę na nie, również jak ty nie oglądasz się za niemi. Przeszłość twoja niech dla mnie na wieki pozostanie tajemnicą.

Bolesny wyraz przebiegł po jego twarzy. Pokrył go prędko uśmiechem i rzekł:

— Gorąco duszy twojej przechodzi moją. Wiesz, że ogień taki niszczy wiele rzeczy doczesnych.

Uścisnęłam go i ucałowałam namiętnie. W uścisku tym zostawiłam pół duszy, pół serca mego. Gdyby był marmur w objęciach takich, ożyłby i zacząłby czuć, jak czują żywi.

Widziałam, że i mój piękny posąg się ożywia. Twarz jego pokraśniała, na skroniach podniosły się sine pręgi.

— Póty będę cię trzymać w moich objęciach — szeptałam mu do ucha — póki nie odtajesz z tego zimna, któreś ze świata wyniósł. Miłość gorąca wymaga niemniej gorącej, a w tej chwili widzisz czem ja jestem.

Podniósł oczy ku mnie i widziałam wielkie zadziwienie na twarzy jego. Zapewne dziwnie wyglądałam w tej chwili. Wiem tylko, że wszystkie tętna drgały we mnie, że oddech mój mógłby być spalić barwę kwiatów, jak skwar lipcowy, a oczy moje mogły świecić w ciemnościach, jak prawdziwe ogniki Heleny ¹⁾.

Odetchnął głęboko, a oddech jego był również gorący. Chwila więc stanowcza nadeszła. Położył na mojem łonie skroń i ozwał się zmienionym, miękkim głosem:

— Jakież są moje grzechy, najdroższa?

— O grzechach twoich sen mi dopiero powiedział — szeptałam mu do ucha, aby ściany nie słyszały. — Śniło mi się, że nie jesteś szczerym, że chowasz przedemną myśli swoje, plany i projekta. Przecież ja wiem, czem dzisiaj, przy zmienionych stosunkach naszych, jest gospodarstwo. Dzisiaj trzeba przemysłu, trzeba różnych operacyj, trzeba drenów,

¹⁾ Jest to aluzja do płomyków elektrycznych, znanych pod nazwą: ogniki Heleny.

sztucznych nawozów, machin i mnóstwa jeszcze innych rzeczy, o których nie mam wyobrażenia. I ty zatwardziały grzeszniku, chcesz żebym ja w niczem do tego gospodarstwa nie należała? A nacóż będą leżały moje kapitały? Czy jesteś tak zawzięty, abyś mi ze swego zarobku nic a nic nie udzielił? Otóż słuchaj wyroku. Masz tu skrypt, za który mecenas mój wyliczy ci... (tu napisałam cyfrę paluszkami na jego dłoni). Weźże to do spółki, a zyskiem podzielisz się ze mną sumiennie. Sumiennie — mówię — bo będę sama rachować.

Twarz Leona przybrała dziwny wyraz. Walczyły w niej dwa uczucia. Wreszcie spojrzął mi bystro w oczy, jakby słowom moim nie dowierzał, i rzekł po chwili milczenia:

— Przemysłowe gospodarstwo w kraju naszym, to rzecz ślizka. Można wprawdzie mieć trzy razy więcej jak za kupony, ale można też wszystko stracić.

— Wszak dzieckiem nie jestem — odrzekłam z dumą — i wiem co robię. Wiem, że można zarobić, i wiem, że można stracić. Prócz tego wiem jeszcze więcej. Wiem, że rezultatów z przemysłowego gospodarstwa nie można w jednym, ani w pięciu latach czasem obliczyć. Są roboty, które rozkładają się na lat dziesięć, lub dwadzieścia. Bądź więc spokojny: tak prędko rachunków żądać nie będę. Przyrzekam ci, że będę czekała, póki mi ich sam nie przedłożysz. A teraz masz *carte blanche*.

Jeszcze czas niejaki patrzył mi Leon w oczy. Kilka razy szyderski uśmiech wybijał się na wierzch i kilka razy groziły jego oczy wykrzyknikiem: »Komedję odgrywasz, kobieto! Dowiedziałaś się o moich długach i chcesz je zapłacić«. Ale po chwili cofnął się ten wyraz złowrogi gdzieś do głębi duszy, a na jego miejsce zawitał wyraz tkliwego rozrzewnienia. Był to tryumf mego kochającego serca. Ogrzany ciepłem mojem, nie mógł inaczej patrzeć na mnie. W moich oczach gorzała dla niego miłość bez granic, dlategożby i on nie miał być przejęty w tej chwili podobnym uczuciem?

Zcicha i ledwie zrozumiale wyszepnął:

— Czynię zadość woli twojej, Helenciu, a chwilę tę zapiszę... to jest dzień dzisiejszy zapiszę do... książki rachunkowej — dodał z figlarnym uśmiechem.

Ukarałam go za ten dowcip nieznośny pocałunkiem, a włożywszy mu skrypt w zanadrze, rzekłam:

— Teraz masz moje rozgrzeszenie, niepocziwy egoisto. A więc zamieńmy nasze miejsca.

I podniosłam go zręcznie do góry, a sama zsunęłam się na podnózek, na którym on siedział. Położyłam głowę na jego łonie, uroniłam niewidomie kilka łez szczęścia i radości, i pomyślałam sobie:

— Oszukałeś się, niezgrabny finansisto! Chciałeś tylko mego posagu, a tymczasem wraz z posagiem wkradnę się i ja do twego serca. Tyś kochał moje pieniądze, a teraz musisz i mnie kochać. Wlazłeś za ponętą, a tymczasem złapano cię w sidła.

Tak myślałam sobie, upojona szczęściem, a myślałam słusznie, bo czułam w mojem objęciu drzenie wszystkich pulsów jego, przyspieszone bicie serca i, gorące pocałunki...

Rozkoszne georginie i melancholijne astry zaglądały do okna ciekawie i patrzyły z zawiścią na moje szczęście...

XIV.

Nazajutrz wyjechał Leon do miasta obwodowego. Wyjeżdżając był w złotym humorze. Uściskał mnie serdecznie i przyrzekł jaknajprędzej wrócić. Długo stałam w ganku i patrzyłam za odjeżdżającym. On wzajem oglądał się za mną i machał białą chustką. Serce rosło mi w piersiach i zdawało mi się, że nie żoną, ale kochanką jestem w tej chwili.

Wróciłam do pokoju wesoła, śpiewająca. Służącej darowałam suknię wełnianą, a pokojowcowi, który wycierał posadzkę, przyrzekłam nowy kubrak. Byłam szczęśliwą, chciałam, aby w koło mnie ludzie byli szczęśliwi, a przynajmniej z twarzą uśmiechniętą.

Siadłam do fortepianu i zaczęłam grać. Już dawno nie odpowiadały mi tak klawisze jak dzisiaj. Zaśpiewałam tęskną dumkę o Ukraińcu, który rozłącza się z kochanką. Głos mój był tak czysty, tak dźwięczny?

— Mój Boże — pomyślałam sobie — co to może szczęście! I sił przybywa, i serce inaczej bije, i cały świat inaczej wygląda.

Usłyszałam turkot powozu pod oknami. Pobiegłam obaczyć, i wypadłam natychmiast na ganek. Z okrzykiem, ze łzami i ze śmiechem powitałam i obcałowałam mego kochanego wujaszka.

Wujaszek miał wyraz smutny na twarzy. Pieszczoty moje bynajmniej go nie rozweseliły. Moja radość wydawała mu się nie bardzo przyjemną. Długo trzymał mnie w objęciu swoim, a nawet zdawało mi się, że jego łza upadła na moje włosy.

— Cieszę się, moje drogie dziecię — rzekł po chwili, patrząc mi w oczy — że jesteś wesołą. Wesołość, to cenna przyprawa życia. Nie zawadzi jednak dorzucić czasem do tej słodkiej przyprawy kilka ziarenek pieprzu. Życie nie może i nie powinno być samą słodyczą. Słodycz psuje i stępieja nam smak, a użyta po goryczy, smakuje nam w dwójnasób.

Sentencje wujaszka zastraszyły mnie. Miał coś w zanadrzu i widocznie chciał mnie do czegoś przygotować. Przebiegłam szybko w duchu różne wypadki. Wszystkie jednak niczem wydały mi się, wobec wczorajszego mego zwycięstwa. Wesołość moja wróciła więc znowu i gniewałam się na wujaszka, że zaraz na wstępie chciał mnie w tak nielitościwy sposób wypróbować, czy mogłabym znieść jaką przykrość.

— Nie turbuj się, kochany wujaszku, o twoją Helenię — rzekłam. — Ma ona rozumek kobiecy i umie z każdej goryczki wydystylować słodycz dla siebie. Jestem alchemikiem nielada w swoim rodzaju i dałam już tego dowody.

Wujaszka nie rozweseliło to wcale. Był czegoś zamyślony i z litością patrzył na mnie. Przerwałam jednak to

usposobienie jego, prosząc go, aby się w domu moim rozgościł. I chcąc nietylko jego smutek, ale nawet i moje budzące się niedobre przeczucia rozprószyć, wszczęłam w domu ruch wielki, dysponując dla wujaszka śniadanie, dla koni i powozu umieszczenie i mnóstwo innych rzeczy. Wujaszek tymczasem spokojnie przechadzał się po salonie, wyglądając czasem przez okno.

Przy śniadaniu rozmawialiśmy o Leonie, o gospodarstwie, o jesieni, o znajomych naszych ze stolicy. Rozmowa ta jednak toczyła się w granicach obojętnych. Czekałam niecierpliwie na to, co wujaszek dla mnie na ostatek chował.

Wreszcie po śniadaniu wziął mnie za rękę i poszliśmy oboje do mego budoaru. Zabezpieczywszy się, że w przyległych pokojach nikogo niema, przysunął się do mnie bliżej i rzekł:

— Nie potrzebuję pytać się ciebie, czyś szczęśliwa. Widzę w twojej twarzy odpowiedź dla siebie. Zato pytam się o nieobecnego. Czy Leon jest szczęśliwy? Czy nie widzisz jakiej troski na czole jego? Mówiłem ci nieraz, że wychowanie nasze dzisiejsze jest tak spaczone, iż nie może nam dać w całej pełni tego szczęścia, jakiego pragniemy. Trzeba więc sztukować i łątać prędko, jeżeli się gdzie co rozedrże. Ubiór męczyzny, gdy do ślubu klęka, bywa wprawdzie świeży i cały, ale pod tym ubiorem najczęściej szata podarta lub połatana... Nie trzeba więc przestraszyć się, gdy ta podarta szata na wierzch wyjdzie.

Zamyśliłam się nad tem co wujaszek mówił, bo dwojakie było tego znaczenie. Zrozumiał to wujaszek i rzekł:

— Nie mówię w tej chwili o podartej duchowej szacie, która także często się zdarza, ale o podartych materyalnych stosunkach.

Wesołość wróciła mi do duszy. Rzuciłam się w objęcia wujaszka i napół ze łzami, napół ze śmiechem opowiedziałam mu dzieje ostatnich dwóch dni, ze wszystkimi najdrobniejszymi szczegółami.

Wujaszek słuchał mnie z uwagą. Na twarzy jego malowało się coraz większe zadowolenie. Wreszcie uściskał mnie, pocałował w czoło i rzekł:

— Dwa lata życia mego dałbym za to, gdyby podobny koncept przyszedł mi do głowy w »Emilu«. Postąpiłaś sobie nadzwyczaj rozsądnie. Widzę, że będziesz szczęśliwą i że wszelkie następne rozczarowania, jakie w życiu ludzkim często przychodzą, nie zastraszą cię i nie wprawią w odrętwienie... Czy wiesz, drogie dziecię, że za kilka dni miał być termin sądowy? W zmartwieniu twojem widzę tylko palec Opatrzności Boskiej: zmartwienie to uratowało ciebie i jego.

Nastąpiła chwila milczenia. Słowa wujaszka poruszyły w mej głowie różne myśli. I rzeczywiście, dziwnie złożyło się to wszystko. Nieraz narzekamy na nieszczęścia nasze, nie wiedząc do czego one nas prowadzą...

Po chwili zamyślenia, rzekł do mnie wujaszek:

— Otóż widzisz, kochane dziecię, jak nienaturalne i pogmatwane są stosunki społeczne. To co ciebie trapiło, wydarza się bardzo często, a mianowicie w sferach zamężnych. Uczucie moralności, wskutek złego wychowania, tak nisko upadło, że kto ma pieniądze, ten ma wszystko. Żadnej pracy pożytecznej, żadnego zajęcia nie uczymy się; uczymy się tylko od dziecka używać. Cóż więc dziwnego, że mając pieniądze, rozrzucamy je na używanie życia? cóż dziwnego, że mając wszystko za pieniądze, nie pragniemy uczuć wyższych i szlachetniejszych?

Biorąc mnie za rękę, mówił dalej wujaszek:

— Wiedziałem, kochane dziecię, że i twój Leon nie stanowi wyjątku z tego powszechnego zepsucia i dlatego mówiłem ci przy pożegnaniu, abyś nie czyniła różnicy między nim a sobą. Ufałem także twemu rozsądkowi, że będziesz umiała tę drażliwą ranę, jeśli się otworzy, ostrożnie zawiązać. To coś mi opowiedziała, przeszło moje oczekiwanie. Okazałaś takt kobiecy i spryt przytem niemały. Nie podrażniłaś jego dumy, jaką zawsze mieć powinien mężczyzna,

i z człowieka być może obojętnego, zrobiłaś sobie kochanka. On chciał może tylko pieniędzy twoich, a tyś wraz z niemi wcisnęła się do jego serca. Spodziewam się, że ten rozsądek i spryt zachowasz także i w innych okolicznościach.

Po tej rozmowie wstałam spokojna i oswobodzona od wszelkich mar dręczących; z wesołości jednak mojej coś mi ubyło. Przed chwilą byłam podobną do hetmana, który pobiwszy w walnej bitwie nieprzyjaciela, kazał otrąbić zwycięstwo, rozłożyć ognie biesiadnicze i oddał się cały wesołości. Teraz okazała mi się ta radość niebezpieczną. Potrzeba jeszcze czuwać, wysyłać pogoń za uciekającymi, gasić wzniesione przez nich pożary, brać jeńców i zbierać rannych. Słowem, walka jeszcze nie skończona; trzeba jeszcze rozstawiać czaty i być przygotowanym, gdy straże nowe niebezpieczeństwo obaczą.

Takie myśli natrąciły mi słowa wujaszka. Nie trwożyły mnie one jednak, bo pierwsze zwycięstwo dodało mi otuchy! Wstałam więc od wujaszka, jak żołnierz w ogniu wypróbowany, i powiedziałam mu z wielką szczerością, że jestem na wszystko przygotowaną i że żaden wypadek nie zastanie mnie małoduszną. Ucałował mnie wujaszek i rzekł:

— Wy biedne, zamiast wymarzonego ideału, w dziewicze swe objęcia dostajecie częstokroć trupa, którego już świat zepsuty przyjąć nie chciał. Nie uciekajcie jednak rozczarowane, ale ratujcie co jest do uratowania, gorącym duszy własnej ogrzejcie mu serce zaskrzepłe, w objęciach waszych niech na nowo żyć zacznie. Ciężka i prawie niepodobna jest kuracya takiego pacyenta, ale zważcie, że lekarzowi niewolno go odstąpić i zabić.

Kiedy wujaszek to mówił, zapowiedziały psy nowego gościa. Wyjrzałam oknem: był to Leon. Konie były okryte pianą, faetonik zbryzgany błotem. Leon skwapliwie wyskoczył z niego i wprost skierował swe kroki do mnie. Dawno już tego nie było. Zazwyczaj szedł w takim razie do swego pokoju, a dopiero przy sposobności przychodził do mnie.

Zmiana ta wróżyła dobrze. Uradowana wyszłam do niego na pół drogi i rzuciłam mu się w objęcia. Wiadomość o przybyciu wujaszka wprawiła go w jeszcze lepszy humor. Uściskał i ucałował gościa, i rozpoczęła się powszechna rozmowa.

Patrząc w twarz Leona, widziałam w niej nadzwyczajne ożywienie. Zdawało mi się, że odmłodził o jakie dziesięć lat. Z czoła zniknęły mu te dwie niepokorne zmarszczki, które mnie zawsze tak trwożyły, w oczach gorzał czysty płomień, znamionujący stałe, niczem niezamącone szczęście. Nawet uśmiech przybrał inny wyraz.

A wszystko to było mojem dziełem. Tak myślałam sobie, patrząc rozkochana na Leona. Nie było to uczucie żony, ale uczucie kochanki. Zdawało mi się, że dopiero od wczoraj zakochani jesteśmy w sobie. To co było przedtem, było więcej dziełem zbiegu okoliczności, pewnego namysłu i zwykłych formalności. Wczoraj dopiero odstąpiłam mu całe serce moje, a nawzajem przemocą do jego wcisnęłam się serca. Wczoraj połączyliśmy się dopiero tak, jak łączą się dusze wzajem siebie kochające. Zdawało mi się, że nawet to nieszczęście przedwczorajsze było dla mego szczęścia koniecznie potrzebnem.

Rozmawialiśmy o różnych rzeczach. Leon był nadzwyczaj rozmowny, dawny dowcip jego wrócił w całej pełni. Po obiedzie oprowadzał wujaszka po gospodarstwie i opowiadał mu swoje plany na przyszłość. Wujaszek zadowolony był z tego co widział i słyszał, a gdyśmy wszyscy razem siedli do herbaty, rzekł do nas:

— Cieszę się, że was widzę szczęśliwymi. Życie człowieka powinno być jak winograd. Nieszczęścia winny być dla niego tem, czem dla winogradu jest nóż ogrodnika. Z odciętej gałązki wyrasta kilka nowych. Ależ i rękę powinniśmy błogosławić, która zwiędłą gałązkę starannie obetnie.

Przy tych słowach Leon spojrział na mnie. Umiałam jednak tak patrzeć na niego, że z oczu moich nie wyczytał

tego, czego się prawdopodobnie obawiał. Sięgnął po moją rękę, a całując ją, rzekł sentencyonalnie:

— Zawsze całować i błogosławić będę tę rękę, która najskrytszej myśli mojej odpowiedziała... uściskiem. Gdyby ta ręka kiedy nawet zranić mnie chciała, będę ją zawsze całował, pomnąc na ten nóż ogrodnika.

Na tem skończyła się rozmowa; przeszliśmy do rzeczy obojętnych i wesoło przemiął nam cały wieczór.

Wujaszka zatrzymaliśmy dni kilka. Przy odjeździe nie obeszło się bez łez i przyrzeczeń, że w najbliższym czasie wzajemnie siebie odwiedzimy.

Uspodobienie Leona nie zmieniło się wcale po odjeździe wujaszka. Nie trapił mnie żadnymi nowymi projektami, nie rozrywał mnie niespodziankami, nie puszczał zajęcy z góry, ani psów pod górę, nie polował nawet, ani konnych wycieczek nie robił. Kręcił się tylko koło gospodarstwa, a z każdą myślą nową przychodził do mnie, radził się mnie we wszystkim i chętnie ze mną rozmawiał. Zdawało mi się, że myślał moją głową i czuł tylko mojem sercem.

Wieczorem siadał na moim fotelu przy kominku i prosił mnie abym mu grała. Najlepiej podobały mu się własne moje fantazyje. Mówił mi, że z tonów moich snuje sobie moje myśli i uczucia, i stara się je odgadywać. Była to dla niego zabawka, jak gra w szachy, przy której z pojedynczych pociągnięć przeciwnika, odgaduje się cały plan jego.

Potem, zbliżywszy się do niego, zastawałam go często pogrążonego w zadumanju. Jakaś rzewna, uczuciowa struna odzywała się w jego duszy. Z rozkoszą słuchałam wtedy słów jego, bo jak z jednej strony okazywało się jasno, że źródło uczucia żywo bije jeszcze w jego sercu, tak z drugiej spowiedź podobna była rękojmą lepszej przyszłości.

— Wierzaj mi, Helciu — mówił raz do mnie — że człowiek to dziwne, zagadkowe stworzenie. Nieraz najszlachetniejsze skarby, co mu je Bóg wlał w serce, wyrzuca ręką marnotrawną i zdaje mu się, że już je wszystkie wyszafo-

wał. Ale niech tylko ręka kobiety jedną okruszynę dyamentu w to puste serce rzuci, wszystko się tam napowrót odrodzi, i wrócą skarby niegdyś zmarnowane. To mi przywodzi na pamięć bajkę starożytną o klejnocie. Pewien filozof chciał koniecznie być biednym i pozbyć się klejnotu, który był jego własnością. Rzucił go więc w gęste zboże. Pracował cały dzień i zarobił sobie na chleb. Zaledwie jednak chleb ten rozłamał, znalazł w nim swój klejnot. Poszedł więc nad morze i rzucił klejnot do wody. I teraz pracował cały dzień i za zarobek kupił sobie rybę. W żołądku tej ryby znalazł znowu ów klejnot. Bogowie prześladowali go widocznie. Zakopał więc klejnot w piasku na puszczy i uciekł prędko do domu. Kruk ciekawy widział tę robotę filozofa, spuścił się na piasek, wykopał i połknął błyszczący klejnot. Wyszedłszy za parę dni w tę samą stronę, filozof obaczył kruka zdławionego, który tarzając się po piasku, krzyczał przeraźliwie. Filozof zdjęty litością, zbliżył się i wyjął mu z gardła... swój klejnot.

— I cóż uczynił z tym klejnotem? — zapytała Leona, biorąc go w objęcie.

— Oczywiście widział w tem wyraźną wolę bogów, którzy chcą, aby ze swym klejnotem człowiek nigdy nie rozstawał się; przestał być lekkomyślnym i klejnot napowrót z uszanowaniem jako skarb swój schował... Otóż i my wyrzucamy często z duszy naszej złożone tam od Boga klejnoty, ale Bóg dobry oddaje nam je napowrót... ręką kobiety.

Dziwnie zaszeleściały w tej chwili topole w pobliżu okna; zdala zaleciał do nas ostry ton świstawki. Przytknęłam usta moje do twarzy Leona: była zimna jak lód!... Może to było tylko przywidzenie?...

XV.

Od tego wieczora widziałam w Leonie dziwną zmianę. Wyszedł zupełnie ze swego spokojnego usposobienia. Stał

się gorączkowym, jakby się czegoś obawiał. Ile razy na niego spojrzałam, miał zawsze na mnie oczy zwrócone, jakby teraz dopiero chciał mi się dobrze przypatrzeć.

Dziwiło mnie to. A schwytawszy go raz na gorącym uczynku, zapytałam go z uśmiechem:

— Czy teraz dopiero zaczyna cię twarz moja interesować, kiedy przysięgłeś, że mnie nie opuścisz aż do śmierci?

— Przyznam ci się — odparł z ugrzecznieniem kawalerskim — że nie wiedziałem dobrze komu przysięgałem. Jest to mądra taktyka schować coś na potem. W sklepie, który wszystkie swoje bogactwa wywiesił na wystawie, nie mamy interesu długo zabawić. Odstłoniłaś mi nowy przymiot swojej duszy, o którym nic nie wiedziałem. Patrzę teraz dlatego na ciebie, bo z tym przymiotem wydajesz mi się zupełnie inną. A wiesz, że różnaitość dla nas, to znaczy bardzo wiele.

Leon mówił to z uśmiechem, trzymając mię za rękę i patrząc mi w oczy.

— Byleś tylko nie za wiele tych odmian żądał ode mnie — odrzekłam — bo zdaje mi się, że jestem pod tym względem bardzo ubogą. Gdybym miała dzisiejsze doświadczenie, nie znałbyś mnie dotąd i w połowie.

Za to szczere powiedzenie dostałam serdeczny pocałunek i w tem ubóstwie mojem miałam się za najszcześniejszą.

Mimo tego przyznania się do ubóstwa, nie odstąpił mnie Leon ani na krok, jakby się o mnie obawiał. Zaraz tego samego wieczora przyniósł ze swojej biblioteczki Korzeniowskiego »Szczęście za górami« i prosił mnie abym mu je przeczytała. A gdym go zapytała, dlaczego dzisiaj tego odemnie żąda, czego nigdy pierwej nie czynił, odparł:

— Treść tej książki jest piękna i zajmująca, i już ją raz czytałem; ale przez usta twoje przejdzie do mojej duszy jeszcze piękniejszą.

I długo w noc pozostał przy mnie i słuchał powieści. Na kominku palił się ogień. Leon siedział w fotelu naprze-

ciw mnie, i paląc cygaro, patrzył to na mnie, to na siny, ulatujący dymek tytoniu. Spoglądając na niego w przestankach, pomyślałam sobie nieraz w głębi duszy:

— Czyli ten siny dymek, który tak prędko się ulatnia, przedstawia szczęście moje, czy też niedobre wspomnienia Leona? Pierwsza myśl jest smutna, bardzo smutna; druga wielce pocieszająca.

Nazajutrz nie poszedł do rzemieślników, jak to było jego zwyczajem. Kilka razy dowiadywał się, czy jestem już ubrana. Potem wszedł do mego budoaru i prosił mnie abym coś malowała. Wydobyłam więc ze skrzynki zapleśniałe farby, postawiłam przed sobą blejtram i rozpoczęłam pejzaż z młynem. Leon usiadł za mną, oparł się o poręcz mego krzesła i patrzył z uwagą na każde pociągnięcie pędzla. Nigdy nie widziałam go jeszcze tak zajętego mojem malowaniem. Zdawało się, że chciał naprzód odgadnąć moje myśli, całe założenie pejzażu. Widziałam jak cieszył się, gdy podług jego myśli posuwał się mój pędzel po płótnie, gdym umiejętnie kładła cienie lub światła.

Potem wyszliśmy przed obiadem na przechadzkę do ogrodu. Późna jesień poobrywała już prawie wszystkie listki z drzew; leżały one w grupach różnobarwnych pod naszymi nogami. Leon schylał się często, podnosił najczerwieńsze listki i mówił ze mną o przemianach kolorów.

Po obiedzie wyjechaliśmy konno. Cała natura dostarczała nam przedmiotu do rozmowy. Leon zwracał uwagę moją na mniejsze drobnostki. Wszystko interesowało i bawiło go. Przedmioty które dawniej były dla niego zupełnie obojętne, pociągały go dzisiaj do siebie. Umiał o nich wiele pięknego powiedzieć, a nawet rozliczne w tym względzie wiadomości roztoczył przedemną, o których przedtem nie wspomniał ani słówkiem.

Wieczorem siadłam do fortepianu. Leon siedział znowu przy kominku i paląc cygaro, uganiał myślą za memi tonami. Po chwili ozwał się do mnie:

— Otaczasz mnie nową jakąś atmosferą. Zdaje mi się, że jak jedwabnik zasklepiasz mnie i siebie lśniąca pajęczyną w jeden kłębek, poza którym świat staje się coraz mniej widzialnym. Jeżeli tak będzie dalej, to zniknie mi on zupełnie z oczu, i będzie nas tylko dwoje na całym Bożym świecie.

— Dodaj do tego... dwoje szczęśliwych! — dorzuciłam z filuternym uśmiechem.

— Nieszczęśliwi nie zasklepiają się; są oni podobni do chmur rozdartych, które napróżno gonią po szerokim niebie, aby się połączyć. Wiatry rzucają nimi w tę i w ową stronę, ale razem nie sprowadzą ich nigdy.

— Czy sądzisz, że dla nich niema już nadziei połączenia się? — zapytałam bezmyślnie.

Leon wyprostował się w krzesło, wyjął z ust cygaro i badawczo spojrzął na mnie. Patrzał tak czas niejaki. Spokojnie pozwoliłam mu patrzeć w moje oczy, na dnie których nie było żadnej myśli ubocznej. Po chwili zapytał:

— Jakażby była nadzieja połączenia się tych biednych nieszczęśliwych?

— Nadzieja bardzo prosta — odpowiedziałam. — Jeżeli szarpane wiatrem chmury nie mogą połączyć się na niebie, wtedy śród cichej nocy miesięcznej spadają kroplami rosy na ziemię i łączą się... w kielichu kwiatka.

Dziwnym ogniem zabłyśły oczy Leona. Zerwał się z krzesła i przeszedł kilka razy po pokoju. W chodzie jego widać było niepokój i jakieś rozdrażnienie. Włosy na czole podgarnął do góry, jakby tam niezbyt rozkoszne rodziły się myśli. Chciał widać ułatwić im wyjście na świat i ustawicznie gładził ręką czoło. Potem stanął przedemną i rzekł z uśmiechem:

— Biedne dziecię! Ty nie wiesz czem igrasz!... Życie ludzkie podobne jest do wielkich składów amunicji. Słowa przypadkowe działają nieraz jak iskry ognia...

— Czy rzekłam może co nierozważnego? — zapytałam, zdziwiona taką mową Leona.

Twarz jego złagodniała. Usiadł przy mnie, wziął mnie za rękę i rzekł z niekłamaną tkliwością:

— Mówiliśmy o nieszczęściu. To rozbudziło mi w duszy myśl przerażającą. Jest bowiem przekleństwem każdego szczęścia, że się trwoży i lęka swego cięcia.

— Mnie się zdaje przeciwnie — odpowiedziałam spokojnie. — Prawdziwe szczęście ma oczy zawiązane i nie słyszy uderzeń godziny, nie widzi przepaści nad którą stoi i nie wie, że bije ostatnia jego godzina. Właśnie jest to darem Bożym dla prawdziwego szczęścia, że cios przeciwności uderza w nie niespodzianie i zabija odrazu, jak piorun. Niema nic okropniejszego nad powolną mękę..

Leon patrzył na mnie z nadzwyczajną uwagą, jakby oprócz słów moich, chciał jeszcze coś więcej z twarzy mojej wyczytać. Nic tam jednak znaleźć nie mógł, bo nic tajemniczego w moich słowach nie było. Zamyślił się na chwilę, a potem rzekł:

— Jak zawsze, tak i teraz masz słusność, mój aniołku. W tem tylko między nami zachodzi różnica, że twoje szczęście jest prawdziwe, a moje... niezasłużone.

Nie dałam mu dalej mówić. Zamknęłam mu usta pocałunkiem i zarzuciłam mu ramiona na szyję.

— Nie wiem — rzekłam wśród pieszczot — czem sobie na szczęście zasłużyłeś, nie umiem tego sformułować; ale wiem, że powinieneś mieć się za szczęśliwego.

Zdaje mi się, że Leon uwierzył w tej chwili istotnie w swoje szczęście. Czuł na swojej piersi podwojone bicie mego serca, czuł, że to serce bije tylko dla niego, czuł, że poza nim jest dla mnie tylko wielka pustynia życia.

A tam z pięknego jesiennego nieba mrugały do nas jasne gwiazdki i uśmiechały się jak oczy aniołów Bożych, czuwające nad ziemią, a blada twarz księżycy wyglądała z poza obłoku i rzucała szeroki smug światła przez okno na posadzkę, jakby budowała między niebem a ziemią most dla dobrych duchów...

Długo w noc świeciła się lampa przy mojem łóżku. Nie zdołałam oczu zmrużyć. Mówią, że sen jest tylko dla nieszczęśliwych; mogłam się więc liczyć do bardzo szczęśliwych. Szczęście moje stało przedemną w tęczowych kolorach, a było dla mnie tem ponętniejsze, że sama je sobie stworzyłam. Pierwszy raz może w życiu uczułam nagrodę własnej zasługi.

— Leon dzisiejszy, to moje dzieło! — pomyślałam sobie. — Wyratowałam go z toni, ogrzałam zakrzepłą duszę i roznieciłam tam nowe życie. On to czuje i dlatego tak mnie kocha...

I cieszyłam się jak dziecko tą myślą moją. Byłam prawdziwie szczęśliwą, bo nie słyszałam ani godzin, ani nawoływań nocnych stróżów. Godziny mknęły mi jak chwile, a brzask poranny zastał mnie bezsenną.

Zdawało mi się, że słyszę tentent konia. Odkryłam ucho i coraz wyraźniej dochodziło do mnie echo galopującego konia.

Wstałam z łóżka i nieznacznie odchyliłam zasłonę... Właśnie drogą poprzec moje okna jechał zwolnionym kłusem... Leon.

Był zamyślony, jak człowiek, który jedzie na koniu bez żadnego wytkniętego celu. Wróciłam do łóżka i postanowiłam sobie porządnie go za te ranne wycieczki wystrofować. Mgła jesienna bowiem zakrywała całą okolicę i nic łatwiejszego jak przeziębic się w takiej porze.

Lecz gdy za kilka godzin obżałowany wszedł do mego budoaru, zapomniałam o karze i serdecznie go przywitałam. Po niejakej dopiero chwili wspomniałam mu żartobliwie o tej rannej wycieczce. Zmieszał się widocznie i rzekł:

— Gniewam się zawsze na pisarzy francuskich, że w dramatach swoich wprowadzają łudzące pozory złego, pod którymi kryje się zawsze cnota najczystszej wody. Jest to, podług mego zdania, niebardzo prawdopodobnem. Najprzód prawdziwa cnota unika złych pozorów; powtóre, mogły po-

dobne sytuacje stać się łatwo płaszczykiem dla niecnoty, która tak zręcznie wszystko wyzyskuje. Dzisiaj widzę, że francuscy dramaturgowie mają czasem, ale tylko czasem, słuszość... Nie mogłem spać przez całą noc. Nie wiem czy księżyc, czy jasne gwiazdy, ale coś przeszkadzało mi zamknąć powieki. Przed brzaskiem postanowiłem wsiąść na konia i szybką jazdą zmęczyć się fizycznie. I to poskutkowało. Zaledwie bowiem zsiadłem z konia, rzuciłem się w ubraniu na łóżko i przespałem smacznie dwie godziny... Widzisz, droga Helciu, oto prosty przypadek mógłby cię naprowadzić na Bóg wie jakie myśli.

Mówiąc to, patrzył na mnie tak szczerze i z taką otwartością, że nie mogłam ani chwili wątpić o tem co mówił. Twarz jego zarumieniła się nawet pewnem oburzeniem, jakby na myśl, że temu przypadkowi możnaby podsunąć zupełnie inne znaczenie.

Dzięki Bogu, serce moje nie miało najmniejszego niepokoju. Wierzyłam mu, jak dziecko wierzy ojcu swemu, jak chrześcijanin wierzy kapłanowi. Najmniejsze przeczucie nie zmąciło błogiej ciszy duszy mojej. Gniewałam się tylko na niego, że sam tym wypadkiem tak się zafrasował, i że tak wiele o nim mówił. Niepotrzebnie w moich oczach rozwozdział się nad nim i nie wiem poco wmieszał literaturę francuską. Wszystko to wypowiedziałam mu otwarcie i bez planu. Przeczucie kochającej kobiety jest w takim razie wyrokiem. Nic złego nie przeczuwałam.

Zostałam też sowicie wynagrodzoną za tę pocziwą wiarę moją. Leon cały dzień był przy mnie i mną tylko się zajmował. Bezemnie wszystko mu nie było takim, jakim być powinno. Kiedy bezemnie roboty oglądał, zawsze był niezadowolony. Rymarz niedobrze uszył, stolarz źle spoił deski, stelmach nie zrobił bryczki według danego wzoru. Przy mnie wszystko było dobre i wyśmienite. Ludzie uważali mnie jako dobrego anioła, który wszędzie z sobą przynosi pokój i pogodę. W końcu ta rola moja tak się stała

w całym domu powszechną, że arendarz przychodził wtedy do kancelaryi Leona, gdy się dowiedział, że ja tam jestem, ekonom, zdając raport tygodniowy, patrzył na mnie błagalnemi oczyma, a parobek proszący o zaliczkę kłaniał mi się pierwej, nim do Leona mówić ośmielił się.

Cieszyła mnie z razu ta rola moja. Później jednak zaczęłam nad tem rozmyślać i doszłam w końcu do przekonania, że między fałdami tej niewinnej szaty mojej ukrywa się jakaś rola tragiczna... Czy było to tylko niedobre przeczucie, czy chwilowy niepokój szczęściem rozkapryśzonego serca?...

XVI.

Pewnego dnia po południu zajechała przed ganek żółta kareta, o wysokich, starożytnych resorach. Miałam zawsze wstręt do żółtego koloru. I teraz, na widok tego olbrzymiego pudła, zatrzęsło mi się serce w piersiach i dziwny niepokój ogarnął całą mą duszę. Zapytałam z pewnym niepokojem służącą, kto to taki przyjechał; nim jednak służąca zdobyć się mogła na odpowiedź, usłyszałam w salonie chrypliwy, dobrze mi znany głos pewnej już niemłodej kobiety, którą w okolicy nazywano panią majorową.

Tak zwana »pani majorowa«, była to postać dziwnym a niezbadanym dla mnie zbiegiem okoliczności narzucona całej nieszczęśliwej okolicy, uosobiona dobroczynność, porada w nieszczęściu, pośredniczka między powaśnionymi, opatrność dla tonących. Przychodziła w dom ze słowami ewangelii na ustach, ze łzą pociechy w oku, z uśmiechem szczęścia dla szczęśliwych. Mimo to wszystko jakiś niewidzialny ogon nieszczęścia ciągnął się za nią i każdy, przeczuwając to, wykręcał się jak mógł od jej pociechy, od jej życzeń i od rady dobroczynnej. Był to istny złowieszczy kometa, który przepowiadał wojnę, głód albo morowe powietrze. W towarzystwie usuwali się od niej wszyscy, a ten był najszczęśliwszy, kto najdalej od niej mógł usiąść.

Chociaż widocznie ludzie od niej stronili, nie można jej było ominąć. Kawalerowie starali się o jej względy, panny na wydaniu nazywały ją wszystkie ciocią, troskliwe matki sadzały ją na kanapie po prawej stronie, a przy herbatkach zawsze stał dla niej fotel na pierwszym miejscu. Była to zbiegiem okoliczności narzucona powaga całej pięciomilowej społeczności, przed którą mimowoli bito pokłony.

Zdaje mi się, że to dziwne zjawisko tem tylko można wytłumaczyć, że towarzystwo tej strony nie grzeszyło bynajmniej starannością wychowania. Kobięca edukacja całej okolicy opierała się na przyniesionych ze Szwajcaryi wiadomościach przez kilka bon francuskich, które w swojej ojczyźnie prawdopodobnie były pokojówkami. Majorowa zaś, była to istna encyklopedia. Nietylko mówiła biegle i poprawnie po francusku, ale wiedziała nawet jak się wymawiają wielcy mężowie z pisownią angielską. Wiedziała także, w jakim porządku następowali królowie polscy, przynajmniej w ostatnich stuleciach. Umiała nawet opowiedzieć wiele rzeczy z epoki Stanisława Augusta, w której najważniejszą rolę odgrywali jej krewni. Dalej wiedziała o wszystkich zwyczajach i zwyczajach wielkiego świata i była w tym względzie wyrokiem ostatniej instancyi. Każdej damie, mającej pretensyę do wyższego tonu, umiała powiedzieć: jaką suknię bierze się do obiadu, jaką na wieczór proszony, a jaką na zwykły, przypadkowy zjazd kilku osób; co daje się do herbaty w mniejszym kółku wybranych, a co na wieczór solenny. Ale najwięcej dodawały jej uroku nieprzeliczone wiadomości o tajemnicach sąsiedztwa. Jeżeli kawaler chciał się zakochać w jakiej ładnej twarzyczce, starał się pierw wywiedzieć od pani majorowej o posagu przyszłej swojej królowej. Matka zasięgała jej rady co do majątku starającego się o jej córkę kawalera. Poważnione zaś małżeństwo uciekało się do niej ze swemi skargami, nie dlatego, aby za jej pomocą znowu się pogodzić, ale poprostu, aby zjednać sobie jej opinię, nim ta opinia przez nią stanie się opinią powszechną.

Kto ona właściwie była i skąd się w tej okolicy wzięła, nikt napewno nie wiedział. Nawet o jej mężu, panu majorze, chodziły tylko niejasne wieści. Widocznie jednak, obóz nie był jej obcym. Wiele wiadomości nabrała w tej szkole życia i wiele doświadczeń, których innym rada udzielała.

Najpewniejsze wieści o niej datowały się dopiero od lat dwudziestu. Pojawiła się wtedy dosyć jeszcze młoda u nieboszczyka szambelana X., jako daleka jego kuzyna. Po śmierci pana X. odziedziczyła tytułem zapisu skromny jego majątek i odtąd na nim gospodarowała w towarzystwie wąsatego ekonoma, który ją widocznie kradł i oszukiwał, ale od którego dziwnym sposobem nigdy uwolnić się nie mogła.

Gdy głos jej w salonie usłyszałam, przeniknęło mnie jakieś przykre uczucie. Wysłałam jednak czempredzej z budoaru, bo majorowa lubiła wchodzić bez zapowiedzenia aż do sypialni.

Spotkałam ją na środku salonu. Wysokiego wzrostu, chuda i chwiejąca się, jak trzcina na wietrze, z twarzą pomarszczoną i wiecznie zachmurzoną, z dziwnym jakimś kornetem *a la Marie Stuart* na głowie, wyglądała jak złowieszcza nocna mara, która wśród snów rozkosznych przychodzi straszyć nas swoją zimną, marmurową twarzą.

— A widzisz, serce, żem o tobie nie zapomniała — zawołała głosem chrypliwym — i dziwię się tylko, żem tego dawniej nie uczyniła. Dzisiaj tak trudno o dobrych ludzi, a ty, serce, należysz do nich.

— Czemu sobie na to zarobiłam? — rzekłam, prosząc ją siedzieć.

— Prawdziwy klejnot nigdy nie zna swojej wartości — odpowiedziała z uśmiechem jak lód zimnym — a czeski kamień odyma się pychą. Ty, serce, jesteś w tem ustroniu naszym prawdziwym klejnotem... Ale wiesz, serce, jaki ja kłopot mam z moim Garbulewiczem? Znowu mnie okradł i okłamał. Sto korcy żyta sprzedał i zataił przedemną.

— Odprawić go, to sprawa najkrótsza.

— Odprawić, odprawić... to każdy potrafi... Ale kto jest katolikiem, ten powinien być jako ów Samarytanin... powinien obwiązać rany i pomódz do wyleczenia się.

Nic na to nie odpowiedziałam, bo śpiewka o Garbulewiczu była zawsze pierwszą na każdej wizycie. Czekałam więc cierpliwie na rozmowę z innego tonu. I niedługo czekałam.

— Nie zgadniesz, serce, co mnie dzisiaj do ciebie sprrowadza — odezwała się nagle.

Rzekłszy to, wzięła mnie za obie ręce i zaprowadziła do okna. Tam stanęła przedemną i jak inkwizytor zaczęła na mnie patrzeć przesywającym swoim wzrokiem. Po chwili zaczęła mówić niby do myśli swoich:

— Cicho, spokojnie śpi dusza. Oko jasne, swobodne, z wiarą i ufnością patrzy w świat co go widzi przed sobą... Usta trochę zbladły... jest w nich coś cierpienia... coś goryczki... ale to tylko z żalu, że ten raj nie jest — niebem... Nieprawdaż, że zgadłam, odrazu zgadłam!

— Masz pani słuszość — odpowiedziałam — obawiam się czy nie grzeszę przed Bogiem zbytkiem szczęścia mego.

— To mi się podoba — odparła z szyderczym uśmiechem. — Kochasz całą duszą, całym sercem. Nie warto kochać inaczej. Gdy byłam młodą, także tak kochałam. Inne kobiety mają odmienne zdanie. Lubią one dzielić serce swoje na pigułki homeopatyczne i rozdają je z tak dobrą miną, jak homeopata lekarstwo swoje. Wierzaj mi, kobiety takie uważałam zawsze za głupie. One myślą, że to są ich zwycięstwa, a właściwie każde zwycięstwo takie jest przegrana. Podbijając, zdaje im się, że zyskują, a one tracą. Późniejszy dopiero obrachunek okazuje to jasno; w chwili gorączki tego się nie widzi. O wiem ja to, wiem doskonale, z własnego doświadczenia...

— Pani musisz mieć smutne doświadczenia — rzekłam bez myśli.

— Serce, co ty wiesz o tem! Ty kochasz całą duszą, świat ani okruszyny tej duszy nie dostanie. I mówię ci, że

to jest szczęście prawdziwe. Miłość taka czyni kobietę ślepą, a ślepotą jest koniecznie do szczęścia potrzebną.

Słowa te obudziły w mej duszy jakieś nieprzyjemne uczucie. Spojrzałam w twarz majorowej i zapytałam:

— Czyż tylko ślepe kobiety mogą być szczęśliwymi? Czyż mają one być podobne do słowika, który wtedy tylko śpiewa, gdy mu oczy wypalą?... Ach to byłoby okropnie, okropniej niżeli wzrok rozczarowania.

— Ktoż mówi o rozczarowaniu? — podjęła szybko z zimnym uśmiechem. — Wiesz przecie, że cię kocham i szacuję więcej niżeli kogokolwiek w okolicy. Miałażbym, jak sowa złowieszczą, lecieć do ciebie z jaką plotką, w której żadnej niema prawdy i mącić twój pokój domowy? Wiem ja, co znaczy pokój domowy i wiem jak się unika tego, kto przychodzi jak strażnik skarbowy do gorzelnii, aby kocioł z brahą zamieszać. W młodszych latach moich byłam tyle nieszczęśliwa, że umiem cenić szczęście cudze, a jeżeli kiedy jakie słówko rzeknę w tym względzie, to tylko na to, aby większe nieszczęście odwrócić, którego ślepi szczęśliwi nad sobą nie widzą.

— Słowa pani zaczynają mnie niepokoić — rzekłam wystraszona.

— Mówię ci, serce, że nie przychodzę tutaj z niepokojem, przychodzę właśnie, aby cię uspokoić.

— Niemam dotąd żadnego niepokoju.

— Tem pożądaną powinna ci być moja wizyta. Niema nic okropniejszego, jak nieszczęście niespodziewane. Grom z jasnego nieba gorzej działa na nerwy nasze, niżeli z łona chmur nagromadzonych... Ale właśnie przychodzę uspokoić cię. Nie wszystko to, co huczy i trzaska jest piorunem. Nie lękaj się więc, nad tobą niebo jasne.

Dziwnie zrobiło mi się koło serca. Wszystkie krew zebrała się w niem, a ręce moje zaczęły drżeć od nadmiernego wzruszenia. Widząc to, majorowa przyłożyła zimną rękę do mego czoła i rzekła:

— Uspokój się, serce, niema jeszcze nic złego. A na języki ludzkie wcale nie uważaj. Głupi plecie, a wiatr niesie. Ludzie nudzą się w jesieni i komponują różne plotki. Starałam się zbadać wszystko i mówię ci, nie bój się niczego.

— Dla Boga — zawołałam prawie bez zmysłów — jakże okropnie pani mnie męczysz!

— Otóż nagroda za dobre serce moje! Ale do tego jestem przyzwyczajoną. Niewdzięczność pospolitą jest u ludzi.

— Chciej mi pani jaśniej te ciemne słowa wytłumaczyć.

Uśmiechnęła się majorowa, a biorąc mnie za rękę i patrząc na mnie, rzekła po chwili:

— Jesteś jeszcze młodą i niedoświadczoną. Mówiłam ci z góry, że to wszystko mogą być plotki i nic więcej. Jeżeli tak jest w istocie, czyż warto, czyż po chrześcijańsku byłoby truć ci spokój duszy?... Ale obowiązkiem chrześcijańskim jest ostrzedz przed niebezpieczeństwem i zbudzić spiącego nad przepaścią.

W tej chwili wszedł Leon do salonu. Nie umiem zdać sprawy z uczucia, jakie mnie opanowało na jego widok. On także wyglądał przestraszony, a przynajmniej w najwyższym stopniu zdziwiony. Jedna majorowa zachowała przytomność umysłu. Twarz jej rozjaśniła się, jakby najlepszego przyjaciela przed sobą widziała. Poskoczyła żywo do Leona, a podając mu wyschłą rękę, rzekła do niego:

— Nie weźmiesz mi pan za złe, jeśli się trochę otrę o szczęście wasze. Górale nasi mają dziwny zabobon. Jeżeli się góralowi nie wiezie, jeżeli ma wielkie nieszczęście w domu, bydło mu choruje, lub żonka go nienawidzi, wtedy wchodzi do chałupy, w której jest stadło szczęśliwe i rad z niem zabawia się. Wierzy, że duchy nieczyste, które go w domu prześladują, zostaną za progiem szczęśliwej chałupy i gubią się w mgle wieczornej. Otóż i ja dzisiaj z tym zabobonem do waszego domu przychodzę. Garbulewicz okradł mnie i oszukał znowu na sto korcy żyta. Jankiel rudy posprzeczał się z nim o owies, który obaj kradli, i wszystko

przedemną wyśpiewał. Poczciwy Żydzisko! Zbił go za to Garbulewicz, aż krzyże musiał smarować.

Leon szybko przyszedł do siebie po tej tragiczno-komicznej mowie pani majorowej. Uścisnął z fantazyą jej rękę i posadził ją na samym środku kanapy. Wiele także dowcipnego umiał jej opowiedzieć *à propos* Garbulewicza i Jankła z rudą brodą, których spotkał przed wschodem słońca jadących na workach koło »Mokrej«.

— A cóżeś pan tak rano robił o milę od domu przed wschodem słońca? — podjęła majorowa z wejrzeniem na mnie.

Leon nie zmienił się wcale. Spojrzał na mnie z uśmiechem, a potem rzekł:

— Nie było to w porządku rzeczy, ale za to dostałem już absolucyę od Heleny.

Majorowa dziwnie spojrzała na nas. Oczy jej kilka razy przechodziły ze mnie na Leona. Po chwili zawołała:

— Byłam pewną, że pan byłeś w Borowie.

Rzekłszy to, spojrzała znowu na mnie z pewnem znaczeniem. Leon na te słowa zmieszał się widocznie. Prędko jednak uspokoił się, a wzięwszy z koszyczka pęk biletów wizytowych i przeglądając je z wolna, odpowiedział:

— W Borowie wcale nie byliśmy. Jest wprawdzie dalekie kuzynostwo między nami, ale pani z Borowa miała do mego ojca jakąś pretensyę o las, którą sąd rozstrzygnął na naszą korzyść. Odtąd powstała wieczna między nami nienawiść, a dziedziczka Borowa z postępem lat staje się coraz zawziętszą. Obawiałem się nieprzyjemności, gdybyśmy w jej dom weszli. Parlamentowałem nawet przez sąsiada o zawarcie pokoju, lub przynajmniej o zawieszenie broni; ale było wszystko napróżno. Uparła się, a upartej kobiety, jak to mówią, i sam... Twardowski nie przemoże.

Leon sprowadził rozmowę do tonu wesołego i zaczął dowcipkować z majorową, która dla dowcipnej konwersacji zapomniała, jak się zdaje, celu swoich odwiedzin. Rozmowa więc szła wesoło, bo Leon godnego siebie miał towarzysza.

Dziwiłam się tej wesołości Leona i podejryywałam go, że albo chciał majorową odwieść od Borowa, albo sam siebie przemocą rozweselić.

Rola moja między nimi wydała mi się nadzwyczaj nieznośną. Korzystałam z ich zajęcia i odeszłam na chwilę do mego pokoju.

Mój Boże! Jakaż to chwila była dla mnie! Upadłam na sofę i chwyciłam się za serce, bo chciało się rozłuc we mnie. Przed oczyma majaczyły mi jakieś dziwne potwory, a portrety na ścianach szczyrzyły do mnie zęby i śmiały się okropnie...

Po chwili opamiętałam się. Przyglądałam sobie włosy i wyszłam znowu do sali. Teraz dopiero, w całym okropnem świetle, stanęło mi przed oczami nieszczęśliwe położenie damy wielkoświatowej, która wśród towarzystwa musi nieraz uśmiechać się przez łyzy i pogodną twarzą kłamać przed tymi, którzy piją i jedzą w jej domu... Zazdrościłam w tej chwili ubogim, którzy przed światem żadnych nie mają tajemnic. Jeżeli im się na gniew zbierze, wypowiedzą to sobie w oczy. Świat niema im tego za złe, a ujrawszy ich potem w zgodzie, zapomina to co widział i słyszał. W salonie inaczej. Tu nieraz serce krwawi się, głowa pęka pod naciskiem myśli rozpaczliwych; ale towarzystwo zebrało się, trzeba dla niego wesołej twarzy, trzeba nawet dla oka pieśszczot małżeńskich, aby o katastrofie, która się przed chwilą odbyła, nic do publiczności nie doszło. Wprawdzie łudzimy się okrutnie, myśląc, że w zamkniętych szczelnie komnatach kryjemy wszystką mękę naszą moralną przed światem. Prędzej niż to pomyśleć możemy, rozbiegają się wieści o nas po świecie, i wtedy dopiero dowiadujemy się o nich, kiedy spotęgowane i wypotwarzone wracają do naszych budoarów.

Widać, że i ja w ten sposób łudziłam się. Zdawało mi się, że zarysowania się budowy mego szczęścia, prócz mnie, nikt nie dostrzegł, że nawet nikt nie poznał tego rysu, gdym wprawną ręką rozsuwające się ściany napowrót spoiła. A tym-

czasem prawdopodobnie mówiono o tem między ludźmi szeroko i daleko, więcej niżeli było w istocie.

Weszłam więc do salonu z twarzą pogodnie uśmiechniętą. Jeżeli cierpienia kobiety mają przed Bogiem jaką zasługę, to najwyższą jej zasługą będzie ów na twarzy wymuszony uśmiech, kiedy wśród bólu i rozpaczcy podaje gościom filiżankę herbaty.

Taką była herbata moja, którą za godzinę podawałam majorowej i Leonowi. Musiałam jeszcze baczyć i na wszelkie drobiazgi, bo majorowa była w tym względzie niepocziwym krytykiem: prócz tego miała ustawicznie oczy na mnie zwrócone, jakby ją kto na zwiady przysłał, jakie jest między nami pozycie. Udawałam więc nie tylko spokój zupełny, ale byłam nawet dla Leona więcej tkliwą i serdeczną niżeli kiedykolwiek. Chciałam dać majorowej jaknajpiękniejszy obraz naszego szczęścia, bo przewidywałam, że za kilka dni wiedzieć będzie o tem z wszelkimi szczegółami cała okolica. Miałam jeszcze i to na względzie, że jeżeli jest ktoś, który czyha na spokój naszego domu, obraz naszego szczęścia powinien go rozbroić i złe zamiary jego zamienić w przychylność prawdziwą.

Udawałam więc wszystko, co tylko udawać można. Prześcignęłam sama siebie i nie wiedziałam, że tyle mam siły i wytrwałości. Boleść bowiem moja była większą od bóleści chorego, leżącego na stole anatomicznym.

Dopiero późno w noc odjechała majorowa. Przy pożegnaniu spojrzała jeszcze raz na mnie owym zimnym, szyderczym wzrokiem, który aż do szpiku wnikał, a potem wzięła mnie w ramiona i ucałowała z taką tkliwą serdecznością, jak się całuje biedną ofiarę nieszczęścia i niedoli. Od progu wróciła się jeszcze raz, i powtórnie pożegnała się ze mną.

Po jej odjeździe zbliżył się do mnie Leon, wziął mnie za rękę i czas niejaki patrzył mi w oczy. Po chwili rzekł:

— Widzę, żeś niemniej odemnie tą wizytą zmęczona. Jest to fatalna kobieta! Nie wiem dlaczego, ale boję się jej.

— A przecież bawiłeś się z nią wesoło i byłeś nawet dowcipnym — dorzuciłam, zaciskając usta, aby nic więcej nie powiedzieć.

— O moja droga — odparł z dobrocią, toż mnie nie znasz? Jestem w stanie cierpieć w duszy najokropniej, a dla ludzi mieć uśmiech, a nawet dowcip. W życiu doczesnem uczymy się wszystkiego.

Zdawało mi się, że lekkie westchnienie wyszło z jego piersi. Spojrzałam na niego pełnem okiem i rzekłam:

— Nie mów mi tego, Leonie. Gotowam myśleć, że mnie poprostu oszukujesz. A ty wiesz, że w takim razie mogłabym... umrzeć! W miłości nie znam żadnego kompromisu, rozumiesz mnie?...

Wymówiwszy to, przystąpiłam szybko do niego, aby widokiem jego zmieszania się nie odebrać sobie ostatniej nadziei, jaką jeszcze żywiłam w duszy. Nie chciałam patrzeć na to, co bym zobaczyć mogła, a złowrogie przeczucie straszło mnie, że nie zobaczę tego, co bym obaczyć chciała. Więc szybko przyłożyłam usta do jego czoła i okazując wielkie zmęczenie po wizycie majorowej, powiedziałam mu dobranoc.

Leon prawdopodobnie nic nie przeczuwał, bo serdecznie mnie uściskał i przyznał, że wizyta majorowej w samej rzeczy może zmęczyć i najsilniejszy umysł.

Noc dla mnie była nocą pamiętną. Opisać jej nie można. Chaos najrozmaitszy myśli i uczuć błędził we mnie. Nie widziałam nic jasnego przed sobą. Byłam podobną do więźnia w ciemnicy. Słyszałam nad sobą dziwne krzyki i hałasy, ale nie umiałam ich zrozumieć i odgadnąć, czy to wybawiciele moi zbliżają się do mnie, czy oprawcy.

Taki stan mój trwał prawie do północy. Po północy opanowała mnie trwoga dotąd niepojęta. Byłam pewną, że mi coś grozi, ale nie wiedziałam co, i z której strony. Zamknęłam oczy jak tonący, co w ostatniej chwili odwraca się przynajmniej od widoku fal, w których grób swój znajduje. Sen błogi spuścił się na mnie w postaci cichego anioła...

Przebudziłam się cała drżąca i spłakana. Śniły mi się dziwne i okropne rzeczy, których nie mogłam powiązać w jeden obraz. Wszystkie szczegóły tych snów zniknęły mi z pamięci; nie wiedziałam właściwie co mi się śniło, ale serce moje gwałtownie bijące, drganie nerwowe, oddech krótki i przyspieszony okazywały jasno, że sny moje musiały być nadzwyczaj straszne.

Spojrzałam na zegarek: była godzina czwarta. Mój Boże, pomyślałam sobie, i jaż to o tej godzinie sama jedna w całym domu czuwać i łzy lejeć, podczas gdy inni marzą rozkosznie?!

Wstałam i uklękłam przed obrazem Matki Boskiej, przed którym paliła się lampka. Błękitne światło migało dziwnie po ciemnych kątach pokoju i odbijało się od wyłacanej korony Królowej utrapionych. Twarz jej była dwa razy cięta; mimo to z łagodnością orędowniczki z obrazu na mnie patrzyła i zdawało się, że z uwagą słucha modlitwy mojej.

Po modlitwie wstałam nieco uspokojona. Zaczęłam chłodno rozbierać wszystko to, co mi gadatliwa majorowa wczoraj powiedziała. Niestety! im chłodniej te słowa rozbierałam, tem wyraźniejszymi były dla mnie, tem więcej miały znaczenia. Do każdego bowiem słowa wiązało się jakieś przypomnienie, jakiś pobieżny wypadek, coś, co pierwaj było niczem, a teraz wyjaśniało mi rzeczy dotąd niewytłumaczone. Wszystko to nanizalam, jak różaniec, na jedną nić czerwoną i utworzył się z tego cały łańcuch.

Uderzała mnie dawniej dziwna zmiana mego męża. Dzisiaj wytłumaczyłam sobie tę zmianę. Ten jego niepokój, ta gorączkowość, to ustawiczne siedzenie przy mnie, aby ktoś obcy nie miał do mnie przystępu i nie doniósł mi o tem, o czem może cała okolica na piękne sobie gadała... to wszystko było mi dziś jasne i zrozumiałe.

Dotąd myślałam, że Leon, biorąc mnie za żonę, czynił to może w nieco obojętnem usposobieniu. Na to znalazłam lekarstwo i wyprowadziłam go na chwilkę przez moje postę-

powanie z tej zimnej obojętności. Dzisiaj jednak grozi mi daleko większe niebezpieczeństwo... Serce Leona jest kimś innym zajęte!...

Ta myśl odebrała mi na chwilę przytomność. Była to straszna, okropna myśl! Obojętne serce można ogrzać, ale płonącego tam ognia nie ugasisz!...

Ale znowu przypomniałam sobie słowa wujaszka, że żadne nieszczęście nie powinno nas wprowadzić w stan bezczynny, w stan odrętwienia. Powinniśmy szybko zbadać je i zmierzyć.

Już sama czynność umysłu w takim razie uśmierza czasowo ból dokuczający. Sama ciekawość jest niejako chwilą wytchnienia pod brzemieniem nieszczęścia.

Zaczęłam więc rozmyślać nad tem nowem mojem nieszczęściem. Wszystko co tylko kiedy Leona otaczać mogło, postawiłam sobie przed oczy. Byłam przekonaną, że jeżeli serce jego rzeczywiście jest czem zajęte, to mogło to tylko być coś z przeszłości. Słyszałam nieraz, że najniebezpieczniejsze są rany niby zagojone. O nowe rany nie obawiałam się, bo tych nie dopuściłam; ale przeszłość mogła mi być bardzo niebezpieczną.

Miłość a miłostki, mówiła dalej majorowa, to dwie zupełnie różne od siebie rzeczy. Miłość wyobraziłabym sobie jako piękne, wspaniałe morze, w którym odbija się księżyc i gwiazdy z całym niebem Bożem; a miłostki, to górski potok, który z szumem i pianą spada ze skały na skałę, tworząc najpyszniejsze kaskady i malownicze widoki. Miłą jest podróż na morzu w łódce o białym żaglu, ale może stać się trochę nudną. Potok zaś taki więcej ma powabu, a niebezpieczeństwo kaskad sprawia przyjemne wzruszenie... Z morza do potoku mile się wraca, z potoku zaś na morze wypływa się tylko w celu upatrzonym.

Wszystkie te słowa żywo stanęły mi przed oczyma. Zdawało mi się, że one zawierają dla mnie straszną, nieubłaganą prawdę. Dziwiłam się, że tego dotąd nie widziałam,

że zaślepią własnym szczęściem, niczego za sobą nie spostrzegłam. A przecież wydało mi się dzisiaj to wszystko tak prostem, tak naturalnym!... Co to mogą chora wyobrażenia i serce zranione!...

Sam fakt był mi już jasnym, brakowało tylko osoby.

Wracając się do wczorajszej mowy majorowej, przypominałam sobie, że ze szczególniejszym przyciskiem wymówiła słowo »Borów«. W Borowie mieszkała staruszka, którą znano jako dziwaczkę, chroniącą się przed światem. W ostatnich czasach przywdziała nawet sukienkę tercyarki i nikogo z sąsiedztwa za próg swój nie przepuszczała. Trudno więc było zrozumieć, dlaczego majorowa właśnie tego dworu użyła, aby Leona zaintrygować.

Ta myśl zaprzętała mnie aż do rana. Jak fale na morzu burzliwym, to się wznoszą w obłoki, to w dół upadają, tak myśl ta moja straszna, to wznosiła się do prawdy oczywistej, to upadała w powątpiewanie i nikła na dnie najpopularniejszych plotek. I znowu z tej głębi nicości podnosiła się z zarzutem niewytłumaczonym: dlaczego Leon tego domu w Borowie tak starannie dotąd unikał? dlaczego w ostatnich czasach nigdy o nim ze mną nie mówił? Przypominałam sobie, że razu jednego nie dał mi żadnej odpowiedzi, gdym go o Borów zapytała... Cóż tedy kryje ten dwór tajemniczy, opasany dokoła wysokim parkanem? Dlaczegoż mieszkańcy jego tak stronią od naszego dworu?...

Wszystkie te pytania były daremne, bo na nie odpowiedzieć nie mogłam. Echo tylko szydlerce odbijało się o serce moje i wracało do zbolełej duszy, jak wraca ostatnia zgłoska od brzegów rzeki odbita...

Ranek miał mi coś na to odpowiedzieć, chociaż niewiele. Zadzwoniłam na służącą i kazałam się ubierać. Mi-mowoli wymknęło mi się zapytanie o Borów. Dowiedziałam się na moje nieszczęście, że od kilku tygodni przybyła tam jakaś młoda dama. Chodzi cała czarno ubrana. Czasem nawet można ją widzieć jadącą na koniu w czarnej amazonce.

Na wzgórzu z tamtej strony rzeki stoi długo nieruchoma i przez perspektywę przypatruje się okolicy. Potem nagle zwraca konia i galopem pędzi do domu. Nikt jej nie zna, bo w Borowie nikt nie bywa. Starą dziedziczkę Borowa nazywa »babunią« i często płacze.

Tyle wszystkiego wiedziała i wypowiedziała gadatliwa moja garderobiana. Był to wprawdzie tylko rysunek w konturach, ale kompozycja miała charakter nader romantyczny.

Długo patrzyłam na służącą, czy mówiąc to nie roześmieje się i nie przyzna, że dla mego udręczenia wymyślił ktoś i wyuczył ją tej historyjki. Tak jakoś dziwnem wydało mi się to wszystko, tak nienaturalnem, że długo nie mogłam z tą całą historią dać sobie rady. Spokojna jednak twarz garderobiany i przywiązanie jej do mnie starczyło za dowód, że to wszystko może być prawdą. Chciałam jeszcze względem tej czarnej damy jedno zapytanie uczynić, ale powściągnęłam się, bo podobne zwierzanie się sługom wydawało mi się zawsze śmiesznem.

Pożegnałam więc służącą, bo chciałam czempredziej zostać sama. Wyszła z uśmiechem, nie przeczuwając wcale co za ciężar rzuciła na moje serce.

W pierwszej chwili, gdym się samą obaczyła, usiadłam na sofie i roześmiałam się głośno. Śmiech ten powtórzył się kilka razy. Za trzecim razem przestraszyło mnie echo tego śmiechu. Obejrzałam się naokoło, czy niema w pobliżu mnie jakiego waryata... Niestety! byłam sama, a śmiech ten wychodził z moich piersi...

Pierwszy raz roześmiałam się prawie wesoło. Romantyczna dama o czarnej amazonce wydała mi się tak zabawną, tak jakoś teatralną, że prędzej byłabym skłonna wziąć to wszystko za dawne jakieś podanie, tyżące się dworu w Borowie... Drugi raz śmiałam się z boleści, którą nagle uczułam w sercu mojem; a trzeci raz śmiał się za mnie jakby ktoś inny... W tej chwili przypomniałam sobie ową ranną wycieczkę Leona.

Długo siedziałam tak oszołomiona. Nie wiedziałam co począć. Nie chciałam przez wypytywanie narazić się na śmiešność, a broń Boże, bez dostatecznych dowodów okazać się wobec męża zazdrosną. Zazdrość moja, niczem nieugruntowana, mogłaby mi serce jego odwrócić na zawsze.

Postanowiłam więc ostatecznie wszelkie szczegóły mego niepokoju raz jeszcze wziąć pod rozwagę, a tymczasem rozpoczynając śledztwo, to jest obserwację jaknajściślejszą wszystkiego tego, co się w moim domu dzieje. Przed Leonem miałam zostać zawsze tą samą. Przykrą tę rolę moją miały mi nieco urozmaicić malowanie i gra na fortepianie. Byłam pewną, że serce kochające prędko coś odgadnie, skoro już jego czujność jest w pewną stronę skierowana.

XVII.

Właśnie zabierałam się do malowania, gdy do mnie wszedł Leon. Był on zupełnie ubrany, a nawet wyglądał, jakby gdzieś dalszą odbył przechadzkę. Wejrzenie jego było jasne i otwarte, chociaż tam w głębi drżał utajony niepokój i paliła się ta sama co dawniej gorączka. Usta miał wyraźnie spieczone, na skroniach ślady moralnego zmęczenia.

Szczerze i serdecznie spojrzałam mu w oczy, bo mimo wszelkich obaw i podejrzeń, kochałam go całą duszą. Miłość moja mogłaby się wprawdzie zmienić w nienawiść i pogardę, a może nawet w końcu i w obojętność, owo ostatnie słowo umierającego uczucia, ale na to potrzeba mi było pewności. Tej jednak na teraz nie miałam jeszcze.

— Mam dla ciebie coś bardzo ciekawego — rzekł do mnie Leon — co cię mocno ucieszy, jeśli do szczęścia swego potrzebujesz dawnych wspomnień. Chcę cię więc samą z tą nowiną zostawić, a gdy przyjdę, zdasz mi sprawę z wrażenia, jakie ona na tobie wywarła. W życiu trzeba często kierować się instynktem, zostawiam cię więc własnemu twemu wrodzonemu uczuciu.

Leon mówił to z uśmiechem, odgarniając jedną ręką włosy z mego czoła, a drugą wkładając mi w zanadrze mocno naperfumowany liścik, złotą pieczętką zamknięty. Wzięłam szybko list do ręki, aby na adres popatrzeć się; nim jednak oczy podniosłam, aby na Leona spojrzeć i bliżej go o list wypytać, był on już we drzwiach i rzucając mi stamtąd pocałunek, dodał, że spieszy się do robotników i że wkrótce przybędzie, aby obszerną z mej strony wysłuchać relację.

Drżącą ręką rozerwałam pieczętkę. Pismo to było mi znane. Przedewszystkiem chciałam tylko dwa słowa z całego listu wyczytać, i znalazłam je jednym spojrzeniem. Pierwsze słowo było: »Borów«, drugie »Natalia«...

Położyłam list przed sobą i usiadłam. Nie byłam ciekawą treści jego. Te dwa słowa wszystko mi naraz wyjaśniły. Stałam się podobną do skazanego na śmierć, który obaczywszy kata z toporem przed sobą, nie jest wcale spragniony odczytania umotywowanego wyroku... Cóż go bowiem interesować mogą motywa sądu nioodwołalnego?

Nie wiem jak długo przed tym listem siedziałam. Wreszcie podniosłam ręce do góry, aby niemi oczy przetrzeć, bo coś mi je zasłaniało. Były one zimne jak lód. Przestraszyłam się tego zimna i zerwałam się z fotelu, aby sił swoich spróbować, bo myślałam, że mnie zamieniono w kamień. Spojrzałam w zwierciadło: byłam strasznie blada, a twarz moja miała nawet martwy połysk marmuru...

Przeszłam się kilka razy po pokoju, aby się rozgrzać. Powoli zaczęło się we mnie budzić życie. Czułam przynajmniej ból w sercu i ból w skroniach. Z bolem wróciły mi i zmysły, i pozwoliły mi spojrzeć w bezdenną przepaść.

Rzecz dziwna: po chwili zrobiło mi się lżej koło serca. Niepewność mojej sytuacji zniknęła, a całe nieszczęście stało już przedemną jasno określone. Pierwej byłam podobną do człowieka rzuconego w ciemną jaskinię. Chodziłam po omacku i za każdym krokiem zdawało mi się, że nastąpiłam na ślizkie ciało potworu. Teraz rozwidniła mi się ta jaskinia.

Straszny, niebezpieczny potwór siedział opodal mnie, ale widziałam go już.

Jak zawsze, tak i teraz gniewałam się na mój wzrok krótki. Cała ta sprawa była jasna, jak słońce. Potrzeba było być tak ślepą jak ja byłam, aby nie obaczyć, że między Leonem a Natalią istniał stosunek miłosny.

Teraz dopiero uszykowały się w mojej pamięci owe słówka i spojrzenia Natalii podczas wizyty u nas we dworku przedmiejskim. Wszystko to, wszystko stanęło mi przed oczy i związało się w jedną całość dla mnie okropną. Przypomniałam sobie jej listy pisane do nas, w których o Leonie zawsze tyle było. Pod płaszczykiem żartu i dowcipu były tam skargi na niego i czernienia, aby sympatyę moją dla niego zniweczyć. Przypomniałam sobie, że w jednym liście utyskiwał Leon na moc stosunków, które go krępowały i zaraz potem, niby przypadkiem, spotkał się z Natalią u wód pirenejskich. Hiszpańskie niebo nęci go do wycieczki wraz z Natalią, z której dopiero wtedy wraca do stolicy, gdy ojciec Natalii umarł, a po śmierci jego okazało się, że Natalia niema znaczniejszego posagu. Rzecz więc jasna, że kochał się w kuzynce, jeździł z nią przez kilka lat, a dowiedziawszy się w końcu, że niema posagu, nie mógł się z nią ożenić, bo do jego interesów potrzeba mu było znacznego majątku. Tam więc była miłość, u mnie był... posag...

Objęłam cały ogrom mego nieszczęścia. Rywalka moja miała nademną widoczną przewagę. Była to jedna z tych kobiet, które stworzone są tylko na kochanki. Jako żony rozczarowałyby w kilku tygodniach najupartszych mężów, jako kochanki przybierają z każdym dniem więcej powabu.

Małego wzrostu, zwinna i fertyczna, była jak kotek młody. Twarz zawsze ożywiona, jakby w ekstazie, oczy świecące, jak dwa brylanty, nosek zgrabnie do góry poddany i miniaturowa wykończoność wszystkich form ciała, nadawały jej nadzwyczaj wiele uroku. Do tego, mimo lat trzydziestu, umiała tak być dziecinną w pozie, w ruchach i w mowie

swojej, że zdawała się być dziewczynką dwunastoletnią. Dodajmy do tego łzy na każde zawołanie, gniew, spazmy i zachwycenia, które jak w tęczy kolory grupowały się swobodnie obok siebie, niemniej też i ową tak ponętną dla mężczyzn, wybuchającą gwałtowność uczucia, a będzie to słaby obraz Natalii, z którą nieszczęśliwa do walki stanąć miałam. Główną zaś jej przewagę nademną stanowiło, że ja byłam żoną, a ona kochanką.

Śród tych rozmyślań obaczyłam list jej na stole. Wiedziałam, że ten list będzie fałszem, ale przecież wypadało go odczytać. Wzięłam do ręki i czytałam.

»*Chère cousine!* Chciałam wam uczynić niespodziankę, tymczasem uczyniłam ją sama sobie. Przypomniawszy sobie, że w Borowie, trzy mile od was, jest daleka, po kądzieli, stryjeczno - cioteczna niby babunia, napisałam do niej czuły list, jak sierota nie mająca nikogo na świecie. Przyjechałam więc *incognito* do Borowa, chcąc sprawić wam niespodziankę. Inaczej jednak stało się. List mój rozczulił staruszkę: postanowiła zapisać mi Borów, pod warunkiem, jeżeli u was nigdy noga moja nie postanie. To wszystko nic jeszcze; byłyby na to sposoby. Ale na nieszczęście, albo może na szczęście moje przyszłe, rozchorowała się staruszka i ja muszę teraz koło jej łóżka siedzieć, jako przykładna heretyczka. Między kleikiem a kawą słyszę zawsze coś o zapisie Borowa, a że w dzisiejszych czasach każda panna zerem jest bez posagu (czemu nawet i Leon nie zaprzeczy), muszę więc czasowo stosować się do woli mojej dobrodziejki, pełniąc zarazem obowiązek chrześcijański. Później więcej o tem. Ucałuj Leona i t. d....

Natalia«.

List ten nie miał żadnej daty. Obejrzałam go nadzwyczaj starannie na wszystkie strony. Zdawało mi się, że kolor atramentu okazywał jego wiek daleko starszy, niżeli z dnia doręczenia wnosićby można było. Nawet koperta była w jednym miejscu nadbrukana. Złożyłam więc ten list na stole i zamyśliłam się.

Wstałam nagle i spojrzałam na zegar. Była godzina jedenasta. Myśl jasna przyszła mi do głowy. Chodziło tu o pewne *coup de théâtre*. Węzeł gordyjski chciałam przeciąć jednym zamachem. Chciałam, jak śmiały dowódzca, przejść czaty nieprzyjacielskie i do samego dotrzeć obozu...

Do tego łączyła się także pewna myśl chrześcijańska. Ta nieprzyjaźń Borowa była mi oddawna solą w oku. Myślałam nieraz nad pojednaniem sąsiedztwa. Teraz wydarzyła mi się dobra sposobność. Wyobrażałam sobie biedną staruszkę leżącą na łożu boleści, z różańcem w ręku. Prawdopodobnie była już po spowiedzi i komunii. W takim razie serce nie zna żadnej zawiści; mogłam więc śmiało przystąpić do jej łoża, ucałować jej rękę i przyjazdem moim rozbroić ją. Zawięzałabym z nią sojusz przyjaźni, a kto wie w czymby mi pomocną być mogła. Przytem obaczyłabym moją rywalkę, mogłabym obliczyć jej wdzięki i przygotować się do walki.

Takie były moje myśli, gdym wydawała rozkaz, aby czemprędzej zaprzęgano. Leon pojechał na folwark, a w takim razie nie wracał aż na obiad, który zazwyczaj podawano o godzinie czwartej. Za kwadrans byłam już w drodze.

Powietrze było zimne. Szare, śnieżne chmury wisiały na niebie. Wiatr wschodni przeciągał smutno po krzewach zamarzniętych. Kilka wron towarzyszyło memu powozowi, i krakało przeraźliwie.

Wjechaliśmy w las sosnowy. Wiatr świstał przerażająco po konarach sosen. W głowie mojej tłoczyły się myśli najdziwniejsze. Często zdawało mi się, że to sen tylko, że to jakaś mara złośliwa tak mnie dręczy. Wtedy wstawałam z siedzenia, odmykałam okno i patrzałam między sosny, aby się przekonać, że nie śnię, że to wszystko dzieje się na jawie.

I kiedy raz w ten sposób głowę przez okno powozu wychyliłam, zdawało mi się, że słyszę tętent konia galopującego. Wychyliłam się jeszcze więcej, ale nic widzieć nie mogłam. Tętent konia słyszałam teraz wyraźnie, lecz było to na innej gdzieś drodze.

Wkrótce otworzył się las, a na krawędzi widnokręgu obaczyłam topole Borowa.

Serce mi się ścisnęło, ale silna wola moja przywróciła mi wnet spokój potrzebny. Jechaliśmy długą ulicą wysadzoną topolami. Na topolach siedziało ptactwo i z zimna nastrzępiło pierze do góry. Smutno wszędzie było.

Wreszcie wjechaliśmy przez bramkę na oparkaniony dziedziniec. Zgraja psów opadła nas szcekając. Na dziedzińcu stały bezdenne kałuże błota, z których biała para buchała w górę. Porozrzucane kupy oborniku piętrzyły się przed samem wejściem do ganku. Widząc, że koła powozu coraz więcej wrzynają się w błoto niezamarznęte, kazałam stanąć, mając i to na względzie, aby chorej staruszki turkotem kół nie przestraszyć.

W tej chwili poza jedną kupą oborniku usłyszałam krzyk służącej dziewczki. Wyskoczyła stamtąd, trzymając się za pół twarzy i płacząc. Równocześnie ozwał się z poza oborniku głos piskliwy, a wkrótce za głosem ukazała się mała postać starej kobiety, w habicie tabaczkowym, z paskiem świętego Franciszka. Obaczywszy mój powóz, uciekła szybko do sieni, skąd słyszałam donośny jej rozkaz, jaki dawała słującemu, że pani w domu niema.

Roześmiałam się na to i kazałam słującemu powiedzieć pani, że wiadomość o jej słabości była powodem moich odwiedzin i że cieszę się nie zastawszy jej w domu, dowodzi to bowiem, że nie jest chorą.

Po tej odpowiedzi kazałam nawrócić. Za bramą spotkałam pastuszka i zapytałam go o Natalię. Tyle mi tylko umiał o niej powiedzieć, że od kilku tygodni tu bawi i dwa razy dziennie konno gdzieś wyjeżdża. W tej chwili również jest na przejażdżce poobiednej.

Kazałam jechać do domu, a sama rzuciłam się na poduszki, smutna i zmartwiona.

Wycieczka moja żadnej nie przyniosła dla mnie korzyści. Przeciwnie, przekonałam się, że wszelkie moje domysły

i obawy były prawdziwe. Cały list Natalii był wierutnym fałszem: nikt w Borowie nie chorował... Ale cóż znaczyło to ukrywanie się jej kilkotygodniowe i to dzisiejsze stronięcie od mego domu?

Niestety, odpowiedź na to była łatwa. Tkwiły w tem jakiś nieczyste rzeczy, które bały się jawności. Wszystko to widziałam jasno, jak na dłoni. Nieszczęście moje żadnej nie pozostawiało już wątpliwości.

Jakaż więc na to była rada? Na pytanie podobne raz sobie odpowiedziałam; po raz drugi nie miałam już konceptu. Mogłam tylko płakać i nazwać się nieszczęśliwą. I hojnie wytrysły mi łzy w tej chwili z oczu, i pozwoliłam im płynąć, bo mi sprawiały ulgę.

Po jakimś czasie mogłam znowu skupić myśli swoje. Cóż należało począć przedewszystkiem? Oczywiście nic innego, jak to, na co rano zgodziłam się: badać stan duszy Leoną i podług tego dalej działać. Dotąd nic naprawdę nie wiedziałam. Cóż mu mogłam zarzucić? Jaki fakt mówił przeciw niemu?

Takie było moje postanowienie, gdym na dziedziniec wjeżdżała. W ganku czekał już na mnie Leon. Na twarzy jego malował się widoczny niepokój. Podał mi rękę i szybko wszedł ze mną do mego budoaru.

— Jakkolwiek nie ograniczam cię w niczem — ozwał się do mnie z czołem ponurem — wolałbym jednak, gdybyś mi o tej przejażdżce coś była powiedziała. Możeby mi się udało odwieść cię od niej, bo i tak spodziewam się, że rezultat jest niepomyślny. Znam dobrze ludzi, a najlepiej naszą sąsiadkę.

Wzięłam go za rękę i zaczęłam mu opowiadać cały mój plan, oświetlony jaknajwspanialej. Była tam jedna z cnót chrześcijańskich, była chęć załagodzenia tej czterdziestoletniej nienawiści, a w końcu i chęć zobaczenia się z Natalią.

Leon wysłuchał mnie, a gdym mu w końcu o scenie za kupą oborniku opowiedziała, uśmiechnął się i rzekł:

— Nie dziwiłoby, mnie bynajmniej, gdyby ten pasek św. Franciszka zapoznał się był z twemi sobolami. To istotna waryatka. Biedna Natalia siedzi tam dla swego interesu; nie trzeba jej przeszkadzać.

— Czy tak sądzisz? — zapytałam, patrząc mu w oczy.

— Nie inaczej — odparł spokojnie — tego wymaga interes Natálii.

— Zastosuję się więc do twego poglądu na świat i ludzi — odparłam z uśmiechem.

Leon patrzył na mnie czas niejaki. Oczy jego zaczęły się rozweselać i coraz więcej błyszczeć. Zbliżył się do mnie, a całując mnie w czoło, rzekł nachylony:

— Ty droga idealistko moja! Ty cały świat przerobiłabyś na wiarę swoją, a cóż dopiero mnie, który przed twem okiem sam siebie nie poznaje...

Zadziwiły mnie te słowa Leona. Patrzałam długo w ciemne oczy jego, szukałam po twarzy jakiejś choćby najmniejszej kontrabandy; ale nic tam nie znalazłam. Było to widocznie przyjazne uczucie dla mnie. Uściskałam go za to serdecznie.

Na tem skończyła się sprawa mojej wycieczki do Borowa. Leon więcej o Borowie nie wspomniał, ani o Natalii. Ja również nie uczyniłam tego, choć to milczenie o osobie, z którą byliśmy dawniej tak blisko, wyglądało jakoś bardzo dziwnie. Zdaje się, że był to niby kompromis między nami, o którym jednak żadne z nas nic wiedzieć nie chciało.

Ja z mojej strony pozostałam wierną memu postanowieniu. Obserwowałam Leona i według różnych spostrzeżeń moich malowałam sobie stan całej sprawy. Od szpiegostwa jednak i wypytywań sług pozostałam daleką.

Spostrzeżenia moje były te same co dawniej. Leon zaczął znowu nieodstępnie mi towarzyszyć. Zaraz zrana czytywał ze mną, albo przypatrywał się moim rysunkom. Przed obiadem wyjeżdżał konno, i za każdym razem zapraszał mnie z sobą. Często jeździłam z nim. Nikogo na tych prze-

jażdżkach nie spotykaliśmy. Najmniejszego powodu podejrzenia nie znalazłam. Dwór w Borowie był jakoś tak szczelnie wysokim parkanem swoim zamknięty, że z niego nic a nic do nas się nie dostawało. Wieczorami Leon bywał także ze mną i słuchał gry mojej na fortepianie.

Przyznać muszę, że z mojej strony używałam całego arsenału kobiecego, aby Leonowi nie pozwolić ani marzeniem odemnie się oddalić. Zmieniałam prawie codziennie toaletę, a włosy kazałam sobie coraz w inny sposób fryzować. Garderobiana moja miała ciągle ze mną do czynienia i dziwiła się tej dziwnej we mnie kokieteryi. I prawdę mówiąc, ktoby mnie teraz był widział, nie poznałby pewnie, że to dziewczyna z owego dworku przedmiejskiego.

Starania moje nie chybiały celu; Leon codziennie widywał mnie w nowej odświeżonej postaci. Po całych godzinach wpatrywał się we mnie, i widziałam wyraźnie, że z pewnem zadowoleniem uśmiechały się jego oczy. Widocznie był każdą moją przemianą zajęty.

Biedny Leon nie wiedział wcale, że z męża, z kochanka, stał się chwilowo dla mnie przedmiotem studyów psychologicznych. W samej rzeczy były to studia nader ciekawe. Wielką rozrywkę przyniosłyby mi one, gdyby przytem serce było obojętne, jak jest serce zwykłej kokietki. Ale te moje studia psychologiczne kosztowały mnie wiele łez, jeszcze więcej nocy bezsennych, a prawdopodobnie niemało także lat mego życia.

Daremne jednak były narzekania. Urodzona w sferze, w której przesąd odwieczny zacieśnił mi koło wyboru, musiałam wybrać to, do czego miałam najwięcej pociągu. Poza to koło, choćbym tam mogła znaleźć zdrowe serce i duszę bez przesytu, nie pozwolono mi wyjść. Musiałam więc pielęgnować mego pacyenta, obserwować go nieustannie i myśleć ciągle o naprawie tego, co tam w duszy było nadpsutem lub wyczerpanem. Jest to los niejednej kobiety, podobnej mi położeniem.

Upłynęło kilka dni, a nawet tygodni. Leona dręczył zawsze ten sam, co pierwiej, niepokój. Chodził zamyślony i często niepokoił się. Mnie ani na krok nie odstępował. Patrzał, gdym malowała, słuchał, gdym grała lub śpiewała. Wieczorem, paląc cygaro przy kominku, słuchał mego czytania lub jakiego opowiadania. W każdym jego ruchu, w każdym słowie, w każdym zdaniu objawiała się jakaś gorączka, która go wewnątrz trawiła.

Drażliwy był na każdy turkot powozu, na każdy tętent konia, na każde głośniejsze zawołanie. Wtedy konwulsyjnie prawie chwycił mnie za rękę i tak czekał wyjaśnienia. Zdawało się jakoby obawiał się jakiego nieczystego ducha, i jak Twardowski przy zjawieniu się czarta wziął dziecię na rękę, tak on mnie się trzymał. Utyskiwał przytem często na afekcyę nerwową, której przyczyną miało być ostre powietrze od gór wiejące.

Dziwny był to dla mnie symptomat stanu duszy Leona. Gdym się jednak głębiej nad tem zastanowiła, byłam z tego zadowolona. Stan ten duszy jego wróżył mi dobrze.

Obojętną więc stałam się na przejażdżki i przechadzki Leona. Czasem dowiedziałam się, że równo z dniem gdzieś wyjechał, a czasem widywałam go wracającego ze strony wręcz przeciwnej niż zapowiedział. Nawet wyjazd kilkakrotny do miasta obwodowego bynajmniej mnie nie podrażnił.

Po każdej takiej wycieczce wracał z pewnym wyrazem ciekawości na twarzy. Patrzał na mnie w milczeniu i zdaje się, że czekał zapytania. Nigdy jednak nie okazałam najmniejszej ciekawości, a broń Boże podejrzania. Zawsze miałam dla niego ten sam uśmiech wiary i zaufania bez granic, z jakim widział mnie obok siebie na stopniach ołtarza... Była to rola trudna i bolesna, ale silna wola wszystko przemogła.

Obojętną byłam nawet na różne słówka majorowej, z którą w sąsiedztwie raz spotkaliśmy się. Dla mnie wystarczała twarz i usposobienie Leona. Tam czytałam jasno i wyraźnie, że jakkolwiek nieprzyjaciel jest blizki, nie przegrałam

jeszcze ostatniej stawki mojej. Wiedziałam o niebezpieczeństwie, ale nie mogąc mu stanowczo zapobiedz, przypatrywałam się jego postępowi, czyli raczej stagnacyi, ufając przytem w miłosierdzie Boga i dobre przymioty serca ludzkiego.

Stagnacya niebezpieczeństwa była widoczną. Widziałam z twarzy Leona i z całego jego usposobienia, że sam najbardziej czuje to niebezpieczeństwo, ale że dotąd walczy przeciw niemu. Czytałam w jego oczach, że szatan mieniący się tysiącem barw, kusił go wszelkimi sposobami, przynęcał słodkimi wspomnieniami, obiecywał las pomarańczowy i niebo hiszpańskie... Leon jednak opierał się dotąd, choć miał przytem chęć niezwyciężoną wpaść w sidła nastawione. Jak się ta walka zakończy? Czy wyjdzie z niej zwyciężko? Były to pytania, które rozstrzygały o mojem szczęściu, a nawet o mojem życiu.

XVIII.

Pewnego dnia wstałam rano i według zwyczaju zapytałam o Leona. Garderobiana była trochę zmieszana tem zapytaniem. Po chwili jednak przybrała wyraz surowy, zajęła się falbaną mojej sukni i odpowiedziała, że pan, jak zwykle, był na przejażdżce, a teraz wydaje właśnie rozkazy, że do miasta pojedzie.

Nie było nic dziwnego w tych słowach pokojówki, ale przecież jakiś niepokój ogarnął mą duszę. Za chwilę wszedł Leon i na pewien czas rozprószył moją obawę. Był taki sam jak zawsze. Z gorączkową skwapliwością pocałował mnie w rękę, kilkoma słowy nadmienił o interesie do miasta i cieszył się widocznie, że ze mną będzie pić herbatę, przy której przeczytam mu gazetę wczorajszą. Wszystko więc było w porządku, nic nowego nie zaszło.

Po odjeździe Leona chciałam, jak zwykle, czemś zatruć się. Brałam się do malowania, do gry, do czytania, ale wszystko to nie kleiło mi się dzisiaj. Myśli moje wybiegały

gdzieś poza płótna, poza okładki książki, nie dotykały się nawet klawiszów fortepianu. Odłożyłam wszystko na bok i zaczęłam przechadzać się po salonie. Rozrywka ta wydała mi się w końcu jednostajną. Przystąpiłam do okna i przypatrywałam się zimowemu pejzażowi.

Niebo było pogodne i jasne jakby w czerwcu. Krawędzie jego wpadały w kolor zielonawy, na którym prześlicznie odbijały się ciemne stropy chałup wieśniaczych. Gromady wron i kruków krążyły ustawicznie między chałupami i ożywiały w sposób dziko-melancholijny ten krajobraz białym mrozem przyprószoney. W okolo była cisza i spokój, jak w komnacie umierającego człowieka. Wiatr nawet cicho przerynał się przez suche, bezlistne konary...

Długo tak stałam w oknie i patrząc nasłuchiwałam. Wreszcie doleciał mnie znany mi turkot, i porwana dziwną jakąś radością, wybiegłam mimo zimna na ganek.

Leon wyskoczył do mnie z powozu i szybko pociągnął mnie za sobą do pokoju. Tam przywitał się ze mną i obsypał mnóstwem prezencików.

Spojrzałam na niego i czegoś zatrwożyłam się. Widziałam w nim jakąś zmianę. Nie mogłam sobie tego dobrze wytłumaczyć, ale było coś w jego oczach, czego w ostatnich tygodniach bynajmniej nie dostrzegłam.

Siadłam do obiadu smutna i rozstrojona. Leon dojrzał to i zapytał o zdrowie moje. Mówiłam coś o migrenie, o bezsenności i dodałam z uśmiechem także coś o oczekiwaniu. Leon ucałował mnie zato, ale pocałunki jego nie były takie jak wczorajsze...

Przy obiedzie Leon był bardzo rozmowny. Przez ostatnie kilka tygodni zazwyczaj mało mówił, a więcej lubił wpatrywać się w moje malowanie, słuchać gry na fortepianie i śpiewu, lub opowiadania; słowem, lubił być razem ze swemi myślami. Dzisiaj przeciwnie, wszystko opowiadał, co tylko w drodze widział i słyszał. Ta gadatliwość była mu dotąd zupełnie obcą.

Niemniej też widziałam w jego oczach pewne zadowolenie, jakie zwykle po przebytych niepokojach następuje. Zadowolenie to objawiało się w różny sposób. Obiad, na który dawniej często sarkał, wydał mu się dzisiaj wybornym; kucharzowi będącemu już na odchodnym, podwyższył pensję i przyrzekł nawet podarki. Neptun, któremu nigdy niewolno było postać w pokoju jadalnym, otrzymał dzisiaj smaczny kęs pieczeni, z dodatkiem chleba. Nawet usługującemu pozwolił wmieszać się do rozmowy i spróbować swego dowcipu. Słowem Leon w tak złotym był humorze, w jakim cała służba nigdy jeszcze go nie widziała.

Po obiedzie zaprosił mnie do partyi szachów i grał ze mną z takim zajęciem, jak student, gdy idzie o włoskie orzechy. Kłócił się nawet ze mną o jedno posunięcie i nie darował mi żadnej pomyłki. Słowem nie był zwykłym mężem, pozwalającym się bawić żonie, ale graczem w całym znaczeniu tego słowa.

Potem odszedł do swojej biblioteczki i czytał coś aż do zmroku. O szarej godzinie zjawił się znowu u mnie. Był czuły i tkliwy, ale oraz wesoły i pełen najrozmaitszych conceptów. Wreszcie siadł przy mnie koło fortepianu. Wziął kilka akordów, przeszedł z dur w mol i czystym, po mistrzowsku cieniowanym głosem rozpoczął prześliczną piosnkę Bohdana :

Nigdyż serce stęsknione mar minionych nie prześni?
Wiecznie w jedną gdzieś stronę zaczaruje me pieśni?

Kilka razy tylko słyszałam Leona śpiewającego, a było to zawsze przy jakimś nadzwyczajnym wstrząśnieniu duszy; dlatego dzisiaj zadziwił mnie niemało jego śpiew. Zresztą nie treść dzisiejszej piosenki, bo ta mogła być przypadkową, ale ten głos jego, ta dziwna modulacja tonu, która najwierniejszym jest zwierciadłem duszy, ta wymowna vibracja w jego piersi uderzyła mnie i przekonała, że długo nierozstrzygnięta walka skończyła się wreszcie... moją przegraną!

Całe życie moje zbiegło gdzieś do serca, z oczu puściły się łzy obfitym strumieniem.

Ciemność w pokoju nie dozwoliła Leonowi widzieć, co się ze mną działo. Nie przeczuwał nawet tego. Po kilku zwrotkach zmienił akordy i zaczął inną, ale wesołą śpiewkę. Było to coś z operetki Offenbacha. Treść była wesoła i pusta. Zdawało się, że piosenka ta stosowniejszą była do dzisiejszego jego usposobienia. Śpiewał ją nawet z pewną brawurą.

Przy ostatniej zwrotce chciał wziąć prawą ręką samą melodyę, gdy nagle urwał i do mnie się zwrócił. Kilka gorących łez moich upadło mu na rękę...

Prędko zapalił sam świecę i zbliżył się do mnie. Ujrzał mnie całą we łzach. Wpatrzył się zdziwiony we mnie i rzekł:

— Cóż ci to, Helciu? Czyś nagle zasłabła?

Ścisnęłam go konwulsyjnie za podaną mi rękę i drżącym głosem odpowiedziałam:

— Nic mi. Nie wiem sama dlaczego płyną łzy moje. Płyną bez zwykłego uczucia płaczu. Mówią, że łzy takie wyciska nam z oczu anioł-stróż, aby nas ostrzedz, że nieszczęście zbliża się do nas!... Czy znasz ty takie łzy, Leonie?

I spojrzałam na niego oczyma pełnymi bóleści.

Zerwał się odemnie i odstąpił kilka kroków. Stał tak chwilę, więcej do statuy marmurowej, niżeli do człowieka żyjącego podobny. Potem ożywiły się jego rysy i w oczach błysnęła mu ironia bajronowska.

— Jesteś dziwnie sentymentalną, moja Helenciu — ozwał się z gorzkim uśmiechem. — Przecież nie jesteśmy kochankami, którym opiekun lub ciocia pobrać się nie pozwalają. Wymarzone, idealne nieszczęścia i przywidzenia nie powinny nas trapić. Już dosyć tych przeczuć złowrogich; używajmy życia jak ludzie praktyczni. Przed nami droga jasna, nie mamy żadnych przeszkód, żadnych zagadek. Ze ścieżek wężykowatych weszliśmy na bity gościniec życia i już bez żadnych przygód romantycznych potoczy się nasz wózek aż do...

— Aż do grobu, chciałeś powiedzieć — dorzuciłam.

— A gdyby i tak było, to przecież myśl chrześcijańska — odparł z uśmiechem bajronowskim.

— Prawda... ale ta straszna jednostajność?

Spostrzegłam, że rozbolełe serce moje porywa mnie na drogę wręcz przeciwną moim postanowieniom. Zamilkłam więc i nic więcej nie mówiłam. Leon patrzył na mnie czas niejaki w milczeniu. Rysy jego twarzy łagodniały, uśmiech współczucia okolił jego usta. Zbliżył się znowu i wziął mnie za rękę. Zastał już spokój na mojej twarzy, a nawet usiłowałam zdobyć się na uśmiech. Snadź udał mi się ten parlamentarzysta zgody i pokoju, bo Leon gwałtownie przyciągnął mnie do swojej piersi i gorąco ucałował.

Widząc mnie rozpogodzoną, odzyskał wesołość, puszczając w niepamięć ten mały epizodzik tego wieczora. Opowiadał mi wiele i dowcipnie o figurach miejskich, które dzisiaj widział, o Żydach-faktorach i grających Czechach. Powyciągał także niektóre rzeczy ze wspomnień swoich i bawił nimi mnie i siebie. Przy herbacie stał się jeszcze weselszym i z Neptunem wyprawiał najrozmaitsze figle.

Tak zakończyła się, niewidziana przez nikogo jedna z katastrof mego serca.

Nie upadłam jeszcze na duchu. Jak majtek, widząc przez wyłom buchającą wodę do okrętu, nie narzeka, tylko czemprowadziej schodzi na miejsce niebezpieczeństwa, tak i ja stanęłam z odwagą przy wyłomie mego szczęścia, z nieprzpartą wolą ratowania, co się da uratować.

Kilka dni następnych przekonały mnie, że wszelkie domysły moje były prawdziwe. Leon zmienił się w całym usposobieniu swoim, a chociaż dla mnie usiłował być tym samym co pierwej, a nawet przesadzał we względach dla mnie, oczy moje jednak widziały jasno, że serce jego utraciłam. Wychowany w salonach, myślał, że kochającą kobietę można zbyć zgrabnym frazesem i tysiącnymi innymi względzikami. Ale omylił się. Widziałam czczość tych dziurawych frazesów,

które z wielką zręcznością rzucał, poznałam się na tej zdawkowej monecie, jaką daje się poczciwej kobiecie, aby za jej plecyma wynagrodzić się za uciążliwą rolę swoją czarnemi oczami baletniczki.

Położenie moje było okropne. Wiedziałam, że to powrót złego ducha. Słyszałam nieraz, że odnowiona dawna miłostka tysiąc razy gorszą jest od świeżej. Rozerwać ich było to samo, co oleju nalać w ogień. Rozumowanie, gniew, płacz, rozpacz, wdanie się obcych ludzi, wszystko to pogorszyłoby tylko tę sprawę. Serce żyje najczęściej tylko uporem. Biada, kto ten upor wywołuje! Ze słabych może stworzyć łatwo bohaterów.

Takie myśli nachodziły mnie w nocach bezsennych, a rola moja wobec Leona stawała się coraz nieznośniejszą. Wiele rzeczy postanowiłam i znowu wszystkie zarzucałam. W głowie mojej kłębiło się ustawicznie.

Drobny przypadek spowodował, że plan mój dojrzał nareszcie.

Wieczorem był u mnie Leon i czytał dzienniki. Rano wstawszy chciałam te dzienniki z sofy pozbierać. Z jednego dziennika wyleciała mała karteczka na ziemię. Podjęłam ją i przeczytałam.

Nie dowiedziałam się z niej nic nowego; była to tylko prosta konsekwencya tego, co już wiedziałam. Pismo Natalii nie było nawet zmienione.

Chwilkę tyło namyśliłam się. Potem zapaliłam stoczek i karteczkę spaliłam.

Usiadłam przy biurku i zaczęłam pisać. Za godzinę oddałam służącemu dwa listy do Borowa, jeden dla właścicielki, drugi dla Natalii. Kazałam mu natychmiast osiodłać konia i spieszną przywieźć odpowiedź.

Jakoś źle zrobiło mi się na sercu. Przeszłam się kilka razy po pokoju i czułam wyraźnie, że mi sił przybywa. To było dla mnie bardzo pocieszającym, bo sił potrzebowałam teraz bardzo wiele.

W godzinę może, wróciwszy z folwarku, przyszedł do mnie Leon. Powitałam go wesoło, a nawet z pewną pustotą. Leon z początku był mocno zdziwiony. Dostrzegłam nawet jakiś przemijający cień smutku na jego twarzy. Wszystko to jednak minęło, a dla oka obcego przedstawialiśmy w tej chwili szczęśliwe małżeństwo. Najpiękniejsza harmonia pawała między nami; dokuczaliśmy sobie wzajem jak dzieci.

Leon przeczuwał, że się tu święci drobna tajemnica. Był jednak pewnym, że ta tajemnica tyczy się zapewne jakiej niespodzianki, którą wyprawić mu chciałam. Patrzał więc po różnych kątach, czy gdzie czego nie ujrzy: kapciuszka na tytuń, lub czapeczki haftowanej. Zbliżył się także i do stoiczka. Na srebrnej miseczce leżał jeszcze popiół ze spalonej kartki. Leon zdmuchnął ten popiół, który rozleciał się w atomach po całym pokoju, a ja, widząc to, pomyślałam sobie:

— Tak jak ten ostatni ślad waszego niecnego porozumienia się sam zniszczyłeś, tak sam musisz rozerwać ten stosunek występny.

Jakaś dziwna nadzieja ogarnęła serce moje. Byłam pewną, że plan mój uda się wybornie! Tym tylko sposobem mogłam być tak swobodną i wesołą, jaką mnie prawie nigdy jeszcze Leon nie widział. To szczęśliwe usposobienie pokryło grubą zasłoną prawdziwe moje zamysły przed przenikliwym okiem Leona. Niczego się nie domyślał, a niebezpieczeństwo było wielkie, bo cały obmyślany plan mój zakrawał na środek heroiczny.

Długo jeszcze droczyłam się z Leonem. W pomoc przyszedł mi służący, odwołując Leona do rzemieślników.

Gdy znowu do mnie powrócił, było już w jadalnym pokoju nakryte do obiadu. Przechodząc przez ten pokój, stanął na chwilę zdziwiony. Potem zwrócił się ku mnie:

— Proszę cię, Helciu — zapytał szybko — co to się dzisiaj stało lokajowi? Czy się upił, czy ty kogo oczekujesz?

— Jeżeli nie jedno, to pewnie drugie — odpowiedziałam figlarnie.

Leon stanął zadziwiony. Po jego czole przesunęła się chmurka zamyślenia. Rzuciłam się w jego objęcia i zaczęłam go pieścić. Wypatrzył się na mnie, jakby czekając wyjaśnienia.

— Drugie, drugie... kochany Leonie — mówiłam wśród pieśczot, to jest, że oczekuję kogoś, któremu ja i ty radzi będziemy, a naszym zadaniem będzie, aby i ten gość nasz był z nas zadowolony... Zaczekaj, każę ogrodnikowi, aby z oranżeryi przyniósł wszystko to, co tam najpiękniejszego zakwitło... Gość dzisiejszy musi naocznie przekonać się, że są serca które go kochają, choć wszelka przyrodzona miłość dla niego zagasła.

Na twarzy Leona pojawiły się dwa fałdziki. Szybko przyłożyłam dłoń do jego czoła, a wyglądając na nim te zmarszczki, rzekłam:

— Nie, na te chmurki na twojem czole nie pozwolę, bo to byłoby obrazą Boga, który każe nam kochać biedne sieroty. Ja byłam sierotą i wiem co to znaczy tułać się po obcych. Sierocie każdy kawałek chleba jest gorzki, dlatego trzeba go jej osładzać uśmiechem i szczerym uściskiem. Precz więc z temi fałdami brzydkimi! Szpecą one twoje czoło, bo jestem przekonaną, że tam w duszy jest inaczej. A jeśli ci chodzi o powagę pana domu, której ubliżyłam, postępując sobie bez rozkazu, lub przynajmniej uwiadomienia, to ukarż mnie, jak na to sobie zasłużyłam. Wszystko zrobię; pójdę nawet do kąta, albo będę klęczeć.

Mówiłam to wśród pieśczot i śmiechu. Leon zamyślił się i z uwagą patrzył na mnie.

— A zresztą, mój drogi — mówiłam dalej — cóż na to powiedzą ludzie, że biedna sierota musi siedzieć u tej dziewczki, która ją na śmierć zamęczyć może? Wprawdzie nie zażądała dotąd pomocy naszej, ale ja umiem to ocenić. Nic niema boleśnieszego, jak do dawnych znajomych, z którymi żyliśmy na stopie równości, wyciągnąć potem rękę po jałmużnę. Trzeba więc samemu uprzedzić tę prośbę i oddalić wszelkie pozory łaski, jaką jej wyświadczamy.

— Więc tu o Natalię chodzi? — zapytał Leon, nie wychodząc z zamyślenia.

— Przecież dość jasno mówię do ciebie — odpowiedziałam — i darować sobie tego nie mogę, że dawniej na tę myśl nie wpadłam. Ale szczęście nasze temu winno. Szczęśliwi zapominają o nieszczęśliwych... Czyż sam widok naszego szczęścia nie powinien rozgrzać zbolałego serca biednej sieroty? Czyż biorąc w dom opuszczoną sierotę, nie czynimy wobec Boga miłosiernego uczynku?

Leon nie mógł mnie jeszcze dobrze zrozumieć; ale nie dałam mu ani na chwilę wypoczynku. Wprawdzie myślałam o czemś, wszystko jednak urywało mu się widocznie. Nie zdołał końca nitki pochwycić i napróżno motał całą przędzę. Widziałam to wyraźnie na jego twarzy. Na wszystko inne mógł być przygotowanym, ale nigdy na podobną scenę...

Powodzenie moje dodało mi jeszcze więcej siły. Wzięłam go za obie ręce, spojrzałam mu w oczy i rzekłam:

— I cóż ty na to? Czy mam pójść w ką, czy klęczeć? mów, z ust twoich nic jeszcze nie słyszałam, coby mi mogło być nieprzyjemnem.

Ocknął się powoli, przesunął ręką po czole i zapytał głosem bezwładnym:

— I cóżeś uczyniła? Czyś pisała do niej? Czy zaprosiłaś ją tylko na obiad?... Zdaje mi się, że to popsuje jej sprawę u tej dziwaczki.

— Jaką sprawę? — ozwałam się śmiało — czy sprawę zapisu Borowa? Śmiej się z tego! To było tylko zgrabnem zmyśleniem ze strony Natalii. Wstydziała się swego ubóstwa i wymyśliła tę historyjkę, ale od nas czeka zaproszenia.

Badawczo spojrzał mi w oczy. Uśmiech szyderczy zaczął się wić koło ust jego. Nie dałam czasu dojrzeć jego szyderstwu.

— Wypełniłam wszelkie warunki formy — mówiłam dalej. — Byłam sama z wizytą, potem napisałam list nadzwyczaj grzeczny do pani Borowa, dziękując jej za gościn-

ność, wyświadczoną naszej kuzynce, a drugi list zaadresowałam do Natalii, w którym w mojem i twojem imieniu ofiarowałam jej nasz dom, wraz z naszymi sercami. Powiedziałam jej wyraźnie, że jako sierota, ma wszelkie prawo do mego serca, które także było sierocem, nim przyjął nad niem opiekę mój drogi Leon. Odmalowałam jej także w żywych kolorach nasze szczęście obopólne, a nawet z pewną poetyczną werwą opisałam jej, w jaki sposób samotne, lecz nader szczęśliwe dni w tem ustroniu spędzamy. Nadmieniłam potem, że otarłszy się o szczęśliwych, może i sama tego szczęścia dostąpi, do czego z naszej strony wszelką gotowość zastanie.

Widziałam wyraźnie, jak ten fatalny, szyderyczy uśmiech na twarzy Leona walczył z jakimś lepszym uczuciem. Przyszłam więc w pomoc temu lepszemu uczuciu i przycisnęłam moją twarz gorącą do jego piersi.

Staliśmy tak chwilę, podczas której ważyło się nasze szczęście. Jeszcze nic stanowczego nie odpowiedział mi Leon, jeszcze obawiałam się jakiegoś wybuchu z jego strony, bo pierś jego robiła strasznie, gdy przed gankiem zaturkotały koła powozu. Uczucie lepsze przemogło w Leonie. Przycisnął mnie do siebie i nim do salonu zdążyć zdołał, ujrzał już na progu Natalię.

Byłam im wielce pomocną w tej scenie. Nie obserwując bynajmniej Leona, rzuciłam się w objęcia Natalii, która mi tyle owe szczęśliwe dni w dworku przypominała.

Natalia drżała w moich uściskach; myślałam, że serce jej pęknie. Łzy gorące puściły się jej z oczu. Oparła twarz na moich piersiach i zaczęła głośno szlochać.

Owinęłam ręce moje około jej ramion, przycisnęłam ją serdecznie do piersi, a podnosząc do góry jej twarz bladą i znękaną, rzekłam wzruszonym głosem:

— To serce, Natalio, którego bicie czujesz w tej chwili, kochać cię będzie, jak się kochać powinno każdą biedną sierotę opuszczoną. Byłam nią i wiem czego sierocie potrzeba. Dom nasz będzie twoim, rozrządzaj wszystkim i rozkazuj.

Jakkolwiek rolę moją z góry sobie obmyśliłam, w tej chwili jednak przestała ona być rolą, a stała się rzeczywistością. Widok Natalii pomieszał mi szyki. Na twarzy jej malowało się wielkie cierpienie i sieroctwo. Była godna politowania. Bez rodziny, zawiedziona w nadziejach swoich, wyglądała na smutną ofiarę. Poczuwałam się nawet do pewnych obowiązków względem niej, a przytem liczyłam na szlachetne jej serce.

Tym sposobem bardzo łatwą stała się moja rola. Słowa moje płynęły szczerze i serdecznie.

Obiad był królewski. Chciałam, aby dzień ten, w którym sierota w dom nasz weszła, był dla nas uroczystością. Wyraźnie to powiedziałam Natalii. Łzy jej świadczyły zem się nie omyliła.

Przy obiedzie byłam wesołą. Dla Natalii starałam się być tak uprzedzającą, jak tylko kochająca siostra dla siostry być może. Leon jeszcze nie przyszedł do siebie. Mówił mało i często wpadał w zamyślenie. Patrzył to na mnie, to na Natalię, jakby chciał czynić porównanie. Widocznie popsulałam mu szyki: każda rzecz w odległości ma więcej powabu...

Po obiedzie poszliśmy wszyscy troje do mego pokoju. Leon usiadł na fotelu przed kominkiem, a ja przy fortepianie. Milczenie chwilowe spowodowało mnie do wzięcia kilku akordów. Jakaś dziwnie wspaniała fantazyja, jakiś hymn wyrósł z pod moich palców.

Natalia siedziała przy mnie na taboreciku. Gdym grę skończyła, zsunęła się na dywan, a usiadłszy tam jak dziecko, zniżyła głowę ku ziemi i, ucałowała mi nogi. Kiedy schyliłam się po nią, aby ją podnieść i do serca przycisnąć, obaczyłam łzy obficie po jej twarzy płynące...

— Nie podnoś mnie, Helciu — rzekła głosem wzruszonym — moje miejsce jest tutaj! Nie usta, ani ręce, ale nogi twoje powinnam całować!...

Leon z podziwieniem patrzył na tę scenę. Potem jakby się ocknął, wstał szybko i przystąpił do okna.

XIX.

Kilka tygodni upłynęło. Natalia już stale zamieszkała u nas. O zapisie Borowa najmniejszej wzmianki nigdy nie było między nami. Otoczyłam ją tem wszystkim, co tylko kochające serce dać może. Położenie jej osładzałam, wyszukując najrozmaitszych sposobów, gdyż o to chodziło, aby dumy ubogiej nie zranić.

Leon patrzył na to wszystko z boku i często zdawał się niedowierzać mojej roli. Zbiłam jednak każde powątpiewanie jego mojem zachowaniem się. Musiał w końcu uwierzyć i mieć mnie za najnaiwniejszą kobietę pod słońcem.

Spostrzegłam zaraz w pierwszych dniach, że plan mój prawdopodobnie uda się; Leon bowiem wrócił do dawnego swego usposobienia. Był często razem ze mną i z pewną gorączką wynajdywał sobie różne zatrudnienia.

Natalia widocznie unikała go, a mówiąc z nim, nie podnosiła nigdy ócz do jego twarzy. Daleką byłam od szpiegostwa. Przeciwnie, z pewną ostentacją dawałam wszelką wolność Natalii i Leonowi, a nawet czasem zachęcałam ich do wspólnej wycieczki, albo do gry w szachy. Jeżeli kiedy z sobą rozmawiali, nie byłam nigdy natrętną moją obecnością. Pragnęłam, aby się bliżej siebie przypatrzyli, w przekonaniu, że ja tylko skorzystać na tem mogę.

Studyując bliżej Natalię, przekonałam się, że była nadzwyczaj niebezpieczną, ale tylko zdaleka. Należała do tych kobiet, które całe życie swoje tylko na to się uczą, aby popisać się w sali gościnnej. U wód zagranicznych, gdzie proza życia daleko poza niemi zostaje, umieją one olśnić, oczarować, podbić i zwyciężyć. Krótka pora nie wystarcza na dłuższe rozpatrzenie się. Mały zapas wiadomości swoich potrafią tak zręcznie na ten czas rozłożyć, że z ostatnim frazesem, który najczęściej zabłyśnie ogniem bengalskim, siadają do wagonu, żegnając uprzejmie białą chustką zagapionych adoratorów swoich.

Drugim popisem są dla nich wieczorne herbaty, które nie częściej jak raz w tygodniu przypadają. Adorator musi cały tydzień czekać, a oczekiwanie zaostza każde wrażenie. Należy wtedy przelecieć mu w lśniącej sukni przed oczami, jak sen rozkoszny, uraczyć go znaczącym frazesem, wyuczonym przed zwierciadłem uśmiechem i zniknąć znowu na kilka dni lub cały tydzień, zostawiając dośpiewanie reszty rozbudzonej fantazyi.

W takich efektach mistrzynią była Natalia. Sądzę, że mogłaby zawrócić głowę osiwiatemu dyplomacie, gdyby się na to uwzięła. Szalałby za nią aż do głupstw i niedorzeczności. Nietylko przymioty zewnętrzne pomagały jej do tego. Miała także pewien spryt kobiecy, wykształcony do najwyższego stopnia. Dla adoratora wszystko u niej stawało się znakami telegraficznymi. Mogła wśród najliczniejszego towarzystwa porozumiewać się i niktby nie odgadł, że rozmawia. Spojrzenie, ruch ręki, cieniowanie głosu, wszystko miało wtedy pewne znaczenie. Wiedziała ona kiedy się gniewać, kiedy odmówić, kiedy kwiatek z listków obrywać, a kiedy go wetknąć w roztargnieniu do włosów.

Taka kobieta, jak Natalia, zdaleka byłaby mi nadzwyczaj niebezpieczną. Mogłaby romans w ten sposób zawiązać, że najpocziwszy człowiek nie zdołałby się z niego wymotać. Zbliżka zaś traciła bardzo wiele. Podobną była wtedy do dekoracyi.

Czy aktor, grający hrabiego Essex, sprawiłby na nas to wrażenie, gdybyśmy byli w jego garderobie i widzieli jak się zwolna charakteryzował? Często cały dzień obracamy na to, aby wieczorem dobrze się wydać. Oprócz powierzchownych wdzięków robimy także ład w naszej głowie, nastrajamy się do odpowiedniego usposobienia. Chwila popisu wybija nam rumieniec na twarz, oczy nasze pałają ogniem. Nawet nam sił przybywa, i ruszamy się daleko lepiej...

Wszystko to niknie, gdy w każdej godzinie jesteśmy widzialni dla towarzystwa, mianowicie tam, gdzie było tro-

chę sztuki. Po nocy źle przespanej, siadamy do rannej herbaty z twarzą pospolitą, o rysach rozstrojonych. Brak nam dowcipu, bo ten był u nas sztucznym produktem. Uśmiech nasz niema tego wyrazu, oczy okazują barwę zieloną. Figura nasza wydaje się także inaczej, bo jej brak tych wszystkich akcesoryów, jakimi błyszczeliśmy na wieczorze.

Jeżeli miłość niema głębszych podstaw, jeżeli nie zrodziła się w duszy, jeżeli nie wiążą jej wyższe przymioty kobiety, to musi w takim razie rozwiać się, jak niktą i rozwiewają się mgły jesienne pod okiem słońca. Cały ten sztuczny blichtr i szych czernieje przy świetle dziennem, a wtedy zdarza się, że wielbiciel sam sobie nie wierzy, aby go kiedykolwiek coś podobnego zajmować mogło.

Na to wszystko liczyłam w planach moich. Postawiłam przed oczy Leona dwa obrazy. Mógł je swobodnie zbliżka oglądać i porównywać. Nie lękałam się porównania. Zbyt wysoko ceniłam moją miłość dla Leona, abym mogła powątpiewać o jej ostatecznem zwycięstwie.

Liczyłam także i na dobre przymioty serca ludzkiego. Wiedziałam również, że serce tylko sercem zwyciężyć można. Obsypywałam Natalię pieszczotami i codziennie opowiadałam jej, jak szczęśliwą jestem miłością Leona. Mówiłam jej, że bez tej miłości nie mogłabym żyć, bo ona stała się potrzebą mego życia. W jej obecności często także mówiłam o tem z Leonem i dawałam Natalii naoczny przykład naszego szczęścia.

Postępowanie takie wywarło, jak mi się zdawało, należyty skutek. Natalia była często smutna i zamyślona. Godziniami siedziała w swoim pokoju i rozmyślała. Dobrze w gruncie serce, jak widać, nie pozwalało jej być podłą i nikczemną. Jakkolwiek wielką mogła być pokusa, serdeczne moje obchodzenie się z nią było dosyć silną zaporą, aby złemu duchowi bronić przystępu. Słowem, spostrzegłam w niej widoczną walkę dawnych urojeń, wspomnień i marzeń, z odmiennymi warunkami dzisiejszego położenia.

Jak się ta walka zakończy? Czy nadejdzie straszniejsza od samej choroby recydywa?... były to pytania, które z drżeniem serca co godzina sobie zadawałam.

Leon także dziwne okazywał symptomata. Zdarzenie to zaskoczyło go nieprzygotowanego. Dotąd jeszcze nie mógł zorientować się w nowym swoim położeniu. Jeżeli w jego sercu była w istocie jaka iskra miłości dla Natalii, przygasiałam tę iskrę mojem zachowaniem się. Musiał mi być wdzięcznym za moją miłość ku niej, a nawet więcej jeszcze kochać mnie zato. Zdaje się jednak, że cały jego stosunek do Natalii był sztucznie przez nią stworzony i sztucznie utrzymywany. Romantyczne przygody, schadzki tajemne, oczekiwanie, tęsknota, listy z efektem stylizowane, mogły wprawdzie długo podniecać ten sztuczny ogień; ale gdy wszystko to ustało, gdy bohaterkę dramatu mógł codziennie, bez żadnych przysmaków romantycznych, widywać, do woli z nią rozmawiać, śmiać się, zartować, całe to sztuczne rusztowanie nie mogło już szczęściu mojemu zagrażać.

Tak sobie to wszystko tłumaczyłam. Utwierdzało mnie także w tem dziwne usposobienie Leona.

Okazała się w jego humorze jakaś niepojęta zgrzyliwość. Pierwej we wszystkich rzeczach rad był widzieć poezję, a przynajmniej wobec mnie nie zaprzeczał jej. Dzisiaj należało to do największych przyjemności jego, aby każde moje poetyczniejsze uniesienie zniżyć do najgrubszej prozy. Bajronizm w najwybitniejszej postaci dojrzał w nim.

Gdym siedziała przy malowaniu, patrzył z ironią na moją robotę i mawiał nieraz:

— Ciekawy jestem jak długo chcecie siebie i innych ludzi. Pojmuję, że panna chcąc się wydać, uczy się pędzlem na płótnie mazać, co potem zapłacony nauczyciel zręcznie poprawia i w salonie zawiesza. Dodaje to zawsze nieco pojęty do posagu, jeśli mówią: maluje. Ale prawdę mówiąc, po ślubie taka zabawka jest tylko łudzeniem siebie; bo darujcie mi, żadna z was malować nie umie. Najlichszy artysta

spaliłby wszystkie wasze obrazy ze złości, że sztukę profanujecie, tak samo jak sławny Arago powiedział, że wynalazca fortepianu do piekła na wieczne męki iśćby powinien.

Był to wprawdzie tylko wyskok najgorszego humoru; długo jednak myślałam nad tem, i przyznam się, że słowa te nie pozostały dla mnie bez korzyści. Było w tem wiele, wiele prawdy...

Zły humor Leona zaczął przybierać coraz szersze rozmiary. W gospodarstwie nikt mu nie dogodził. Psy, konie, bydło... wszystko mu dokuczało. Siedział często przy nas zamyślony po kilka godzin. Wrony krakające nad dworem chciał wszystkie wystrzelać i wytruć. Piece dymiły i nie miały należytego przeciągu.

Taki stan duszy Leona nie trwożył mnie wcale. Nie był on przyjemnym ani dla mnie, ani dla całego domu, ale był dla mnie psychologiczną dyagnozą. Widziałam, że chory od razu do zdrowia nie wraca, że żadne lekarstwo nie smakuje mu i w zły humor go wprawia, ale widoczne było, że ono działa.

Razu jednego, gdy cierpkość Leona była już nie do zniesienia, wstałam z krzesła i pobiegłam do niego.

— Drogi Leonie, zrobiłyśmy już z Natalią znowę... przecie nam nie odmówisz?

— Czy idzie o przejażdżkę do Borowa? — zapytał z sarkazmem.

— Nie.

— Może macie ochotę posłuchać traktatu wujaszka o wychowaniu?

— Później.

— Innych zachceń prawdopodobnie nie macie?

— Zdziwisz się.

— Cóżby to być mogło? — zapytał z widoczną ciekawością.

Poszłam do mego biurka i wyjęłam stamtąd pakiecik zapieczętowany.

— Patrz Leonie — rzekłam do niego — to przysłał mi wujaszek, z tym jednak warunkiem, abyśmy na początku lutego przyjechali do stolicy i tam z nim razem aż do wiosny zabawili.

Leon pomyślał chwilę. Następnie rozjaśnił czoło i odpowiedział:

— Wujaszek miewa doskonale pomysły. Jeden lepszy od drugiego. Pakiet ten i stolica, to najgenialniejsze jego dwa pomysły, nie wyłączając nawet rozprawy »o wychowaniu«... Jestem na wasze rozkazy, dziś, jutro lub pojutrze.

XX.

Za tydzień byliśmy już w stolicy.

Chciałam Leonowi okazać się w nowym świetle. Na wsi brakło mi już odmian. Tutaj otwierało się obszerniejsze dla mnie pole. Leon mógł znowu podziwiać moje przymioty i... porównywać.

Znajomi powitali nas w stolicy z ironicznym uśmiechem. I mieli poniekąd słuszność. Jeżeli młode małżeństwo porzuca wieś i wyprowadza się do stolicy, jest to oznaką, że w szczęściu jego coś szwankuje. Potrzeba więc było prędko zatrzeć te szeptki i uśmiechy. Posłużył nam do tego wybornie wujaszek, który o mojem nieszczęściu doskonale wiedział i pomysł mój wyprowadzenia się do stolicy zupełnie potwierdził. Puściliśmy więc w obieg, że wujaszek porządkuje swoje interesa majątkowe, i że w tym celu jako prawdopodobni spadkobiercy przez niego zostaliśmy zawezwani.

To dodało nam w stolicy nowego blasku. Wizyty szły za wizytami, a za tydzień dysponowałam już znaczną liczbą gości najznakomitszych.

W planie moim było stworzyć w stolicy dom, jeżeli nie zbytkiem najświetniejszy, to przynajmniej odznaczający się tem, czego innym brakowało. W domu moim chciałam zgromadzić znakomite talenta krajowe i ludzi rzeczywiście

zasługi. Otoczona tym światem, chciałam przed okiem Leona nowymi zabłysnąć przymiotami, o których wiedziałam, że spoczywają w duszy mojej. Na wsi zaś nie miałam pola rozwinąć tych nowych barw... w stolicy mogły one zabłysnąć całym kolorytem i chorą wyobraźnię Leona olśnić nowym życiem.

W tym celu porobiłam znajomości i wizyty. Niedługo czekałam na ich skutek. Zaraz na drugi dzień przyjechała do mnie hrabina X., pocziwa staruszka i godna matrona z grubą paczką w ręku. Byliśmy właśnie oboje z Leonem.

— Witaj rekrucie — rzekła do mnie zaraz na wstępie — nie damy ci tu próżnować. Twoja ładna buzia i ta prześliczna figura jest dla nas nowym kapitałem, który do naszej kasy wchodzi. Musisz nam służyć, bo Pan Bóg nie napróżno wyposażył cię temi wdziękami. Mamy tu Towarzystwo dobroczynności; musisz więc najprzód dać składkę, a następnie przeznaczymy ci wydział tych ubogich, którzy się wstydzą żebrać.

— A któż to są ci wstydlivi? — zapytałam z wielką ciekawością.

— O serce moje, dziwne rzeczy tam poznasz! — odparła z westchnieniem.

— Piszę się na wszystko — odpowiedziałam — i uczynię wszystko, czego odemnie wymagacie. Mam jednak pod tym względem swoje zdanie, które tutaj wyjawic muszę. Dlatego pytam się, któż są ci, co się żebrać wstydzą?

— O wielu, wielu jest! Najprzód członkowie wielkich podupadłych domów!...

— Tym nie dałabym nic — odparłam żywo. — Czyż nazwisko jest przywilejem na próżniactwo? Czyż dlatego, że ktoś miał kasztelana w rodzie, nie powinien już nic robić na świecie? Opowiadał mi wujaszek, że we Francyi nieraz zdarza się poznać młodego oficera z prostym nazwiskiem. Za lat kilkanaście spotykamy się z nim, ale jest już generałem i nosi tytuł *duc*. Pytamy się o wyjaśnienie tego tytułu, a ge-

nerał z uśmiechem odpowiada nam, że ten tytuł należy mu się z urodzenia, ale wysługując się opuścił go ze swego podpisu, bo ten tytuł na niższych stopniach żenował go i koszta utrzymania mu podnosił. U nas człowiek z takim tytułem jużby od dziecka nic nie robił.

— Ślicznie mówisz — rzekła na to poczciwa hrabina. — Dalej, są ludzie talentu... a wiesz moja droga, że jednakże trzeba jakoś im dopomódz, trzeba ich wziąć w opiekę...

Lecz nie dokończyła biedna hrabina, bo miałam prawdopodobnie gorzki uśmiech na ustach. Rzekłam do niej z powagą:

— A więc mianujesz mnie hrabina do wydziału dla wstydzących się żebrać, a do tych należą także ludzie talentu! Czyż być może?... Czyliż nie ubliża ogółowi przekonanie, że artystów swoich jałmużną tylko żywi?...

— Ślicznie mówisz, serce — odparła znowu hrabina — ale tak jest, cóż robić?

— Darujesz hrabina, ale wątpię, aby tak było — rzekłam z uniesieniem. Zdaje mi się, że talent pierwszego rzędu niema nigdy przyczyny uskarżać się, jeżeli pracuje. Ale pod talenta krajowe podszywają się różni ludzie. Jedni po prostu zarabiają sobie tem na chleb codzienny; drudzy są zarozumiałą miernotą, która tylko opieką i jałmużną ostać się może. Jeżeli co zasługuje na względy i opiekę, to talenta, które się już wypracowały, i z których społeczeństwo pewną korzyść odniosło. Jeżeli zaś bez względu wszystkich kandydatów do wielkości zarówno będziemy protegować, wtedy stanie się to, że każdy salon będzie miał swoją znakomitość, jak w Hiszpanii każdy dom miał dawniej swego księdza.

— Mój Boże — zawołała zafrasowana hrabina — mówisz tak ślicznie, że na to nawet nic odpowiedzieć nie można. Ale powiedzże mi serce moje, jakże to nam słabym kobietom poznać, kto jest talentem prawdziwym?

Uśmiechnęłam się na ten frasunek poczciwej matrony. Ucisnęłam jej rękę i rzekłam:

— Wprawdzie pisma stołeczne wprowadzają nas w błąd niemały. Każdy skrzypiciel, każdy wierszokleta, autor powieści o »Strasznym komecie«, mają zawsze przydomek »znany«, albo »znakomity«. Ale ten błąd jest łatwy do uniknięcia. Znakomitość taka żyje tylko w jednym numerze gazety, poza tym numerem nikt jej nie zna.

— Ale przecież trzeba dać inicjatywę opinii publicznej — wtrąciła hrabina.

— Nasze patenta nie mają prawie żadnej wartości. Są one ważne tylko na parę wieczorków, między ścianami naszych salonów.

Hrabina siadła na kanapie i w niemałym była kłopotcie, co począć z tym fatalnym pakietem, który w rękę trzymała. Mowa moja popsuła jej szyki widocznie. Zrozumiał to Leon. Widać było po jego twarzy, że na taką akademiczną mowę z mojej strony nie był przygotowany. Miło mu jednak było dowiedzieć się, że i tak mówić umiem. Rozpoczął więc rozmowę z hrabiną, przyznając mi w zasadzie zupełną słuszność, a w zastosowaniu tylko moich wyrazów czyniąc hrabinie niejaki ustępstwa. Uśmiechałam się na to i pomagałam Leonowi zbijać samą siebie, z czego hrabina była mocno zadowolona.

— Ależ to była tylko teoria moja — rzekłam z uśmiechem — w praktyce zaś idę zupełnie innymi drogami. W praktyce poddaję się rozkazom towarzystwa i zaraz ten oto pakiecik sobie przywłaszczam.

Mówiąc to, wyjęłam hrabinie pakiecik z ręki i rozwinęłam. Były to prześlicznie litografowane bilety na koncert. W samym środku ozdobnymi literami wypisane było nazwisko koncertanta: »Casimir J.«

— Jest to młody artysta — rzekła hrabina z zadowoleniem — przybywający z zagranicznego konserwatorium, który zamierza dać tu szereg koncertów. Gra na skrzypcach i fortepianie.

— Czy gra znakomicie? czy przywozi ze sobą sławę zagraniczną? Wszak wiesz, hrabino, że my tylko to uwielbiamy, co się za granicą podoba.

Uściskała mnie za to pocziwa hrabina i rzekła:

— Tak, tak, my tylko obce lubimy. Artysta ten młody grał na wieczorku u hrabiny Z. i powszechnie się podobał. Powierzchnowość *comme il faut*. Twarz, włosy, ubranie całe, prawdziwie genialne!... Proszę cię więc, przez swoje stosunki, przez te śliczne oczy swoje, możesz biednemu dopomódz...

— Bardzo chętnie — odpowiedziałam. — Wcisnę każdemu bilet w zanadrze, choćby był najmniej muzykalnym.

Pozegnałam pocziwą hrabinę. Za pół godziny byłam już w karecie na ulicy, a gdy na obiad wróciłam, nie miałam już żadnego biletu. A było ich pięćdziesiąt.

Dowiedziałam się potem, że fakt ten zrobił mi wielkopomną sławę w świecie artystycznym: od tego czasu odbierałam ukłony od różnych osób o długich włosach.

Leon był także widocznie z tego zadowolonym. Rozmowa moja z hrabiną nadzwyczaj mu się podobała. Ucałował mnie zato po jej wyjściu i nagadał mi mnóstwo komplementów. Nawet Natalia musiała tego słuchać, i chociaż ze mną nie zgadzała się we wszystkim, nie zaprzeczała jednak trafności spostrzeżeń.

Na drugi dzień miałam u siebie na wieczorze wielu artystów ustalonej już sławy i młodych adeptów. Salon mój odznaczał się dobrem towarzystwem, na jakie tylko stać było stolicę. Leona niemniej to interesowało. Poodnawiał dawne stosunki, chodził, zapraszał i przyjmował. Cieszyłam się z tego, bo patrząc w to nowe życie nasze, musiał zawsze na mnie patrzeć, bo ja byłam środkiem tego życia. Koncertant, dla którego tyle zrobiłam, nie dał mi się jeszcze osobiście poznać; chciał on na mój salon wejść dopiero z laurami.

Za kilka dni nadszedł wreszcie ów oczekiwany wieczór, w którym miał publiczności zaprezentować się nowy talent, nowy gladiator.

Sala była pysznie oświetlona. Służba kręciła się jeszcze tu i owdzie, przynosząc najrozmaitsze akcesorya sztuki. Zgromadzenie, choć nieliczne, ale doborowe, czekało z upragnieniem rozpoczęcia tych nowożytnych turniejów. Każdy trzymał w ręku mały programik, na różowym papierze drukowany.

Wreszcie szmer zaczął się uciszać. Ku drzwiom zwróciło się kilkanaście głów: artysta wychodził przed słuchaczów.

I stanął na podwyższeniu i uklonił się naprzód za przyszłe oklaski publiczności.

I któż opisze moje zadziwienie?... Był to mój »dzidzi«.

Każda inna kobieta byłaby się rozczuliła, widząc w tak odmiernej pozycji ulubienca dziecinnych snów swoich, byłaby może z tego stworzyła sobie jaki epizod romantyczny. Mnie, przyznam się, widok ten zasmucił.

»Dzidzi« dojrzał na przystojnego mężczyznę. Schudł wprawdzie i zbladł, ale cała postać jego miała w sobie coś charakterystycznego, coś właściwego królom świata muzycznego. Ubiór miał cały czarny i nadzwyczaj wykwintny. Czarna chustka pod szyją była zawiązana misternie »à la Byron«, choć tylko prostym węzłem, który ustawicznie dążył do rozwiązania się. Ale najcharakterystyczniejszą cechą jego przyszłej sławy były duże, w kędziorach na ramiona spadające włosy. Każdy znakomity artysta nosił wówczas długie włosy. »Dzidzi« poszedł także za tą tradycją, bo prawdopodobnie bez długich włosów nie mógł sobie żadnej znakomitości muzycznej wyobrazić. Twarz miał gładką, wygoloną, bo ani Liszt, ani Rosini nie nosili wąsów.

Gdy do dzisiejszego artysty przyrównywałam dawną postać poczciwego mego »dzidzia«, zrobiło mi się bardzo smutno. Miałam jakieś niedobre przecucie. Przypomniałam sobie, że jestem damą dobroczynności i należę do wydziału, który wspiera tych, co się wstydzą żebrać... Mój »dzidzi« nie byłby nigdy żebrał...

W oczach poczułam łzy. Natalia spojrzała na mnie. Nic jej nie powiedziałam, tylko ją za rękę ścisnęłam. Dziwny

uśmiech okolił jej bladą twarz. Potem rozjaśniło się oko i pewne zadowolenie ożywiło jej rysy.

Nie miałam czasu z nią pomówić, bo w tejże chwili przystąpił artysta do kwartetu, którego pierwszy takt już się rozpoczął.

Kwartet poszedł, jak zwykle na koncertach wszystkie kwartety i sekstety. Jeżeliby nawet była jaka pomyłka, to ta oczywiście nie spadała na koncertanta, ale na zapłacyonych grajków.

W drugim numerze miał się dopiero talent koncertanta w jasnym świetle okazać. Była to własna jego kompozycja, nazwana »Dramat poza światem«. Grał tylko sam na fortepianie.

Z niecierpliwością oczekiwaliśmy tego numeru. Wreszcie zjawił się artysta. Poprawił zgrabnie krzesło i rzucił z ukosa melancholijnym wzrokiem w tę stronę sali, gdzie najwięcej dam było. Potem dobył przezroczystrą, jak muślin, chustkę batystową i posunął nią po białych klawiszach. Oczekiwanie rosło coraz więcej.

Wreszcie siadł, zgrabnym ruchem głowy podrzucił swe długie włosy i natchnionem okiem w sufit wpatrzył się.

Przytłumiony szmer dał się słyszeć w sali; było to pierwsze, przedwstępne wzruszenie publiczności. Usłyszawszy ten szmer, artysta uderzył nagle obiema rękami w fortepian, aż wszystkie struny zabrzęczały.

Co grał, tego zrozumieć nie mogłam. Widziałam jednak, że były tam nagromadzone największe trudności techniczne, i że z łatwością je pokonywał. Skakał po klawiaturze, jak polny konik po łące i wybierał najrozmaitsze tony, tylko melodyi żadnej tam nie było. Była to rzeczywiście muzyka z poza świata, bo nic z niej w ziemskim sercu pozostać nie mogło.

Gdy się ten »dramat za światem« szczęśliwie zakończył, ozwały się owe obowiązkowe oklaski, które każdy artysta ocenić umie...

Przyznam się, że po tym dramacie jeszcze smutniej mi się zrobiło. Porównyując z tem jego dawną modlitwę poranną, omal że w głos nie zapłakałam, tak mi jakoś ciężko zrobiło się na sercu...

Po koncercie poszliśmy na herbatę do prezesa. Tam zastałam jedną z naszych znakomitości muzycznych.

— Co pan sądzisz o tym młodym talencie naszym? — zapytałam z biciem serca.

— Cóż innego mogę pani powiedzieć nad to, że skończył kurs w konserwatorium, i że będzie mógł być użytym w orkiestrze — odparł z ironicznym uśmiechem kompozytor.

— Czyż warto było na to poświęcić całe swoje życie? — odparłam ze smutkiem.

— Cóż robić? Po długiej pracy, po wielkich móżołach zaświeca dopiero talent prawdziwym blaskiem swoim. Idąc do cyrku, jesteście wszyscy równi i wszystkim przystoi nadzieja laurów.

Zasmucona wróciłam do domu. Natalia patrzyła na mnie z boku i uśmiechała się ironicznie.

— Czy wiesz Natalciu, że mnie dzisiejszy wieczór zmartwił? — rzekłam do niej.

— Widzę to po twojej twarzy — odparła z dyplomatycznym uśmiechem Natalia.

— Ale pewnie nie domyślasz się przyczyny.

— Zdaje mi się, że się domyślam.

— Naprzykład?

— Reminiscencya z czasów ubiegłych, z samotnego pobytu w dworku przedmiejskim — rzekła Natalia i zamknęła się w dyplomatycznym milczeniu, które mówiło więcej niżeli jej słowa.

— A tak, zgadłaś — odparłam dobrodusznie. — To mój »dzidzi« puścił się niefortunnie na pole artyzmu.

— Dlaczego niefortunnie? — podjęła szybko Natalia. — Podobał się z powierzchowności powszechnie; słyszałam za sobą pochwały... przystojny mężczyzna, jak mało w stolicy.

Nic na to nie odpowiedziałam, nie mając wcale humoru do dysputy. Zdarzenie to jakoś dziwnie mnie nastroiło.

Późno położyłam się w łóżko i długo zasnąć nie mogłam. »Dzidzia« stał mi ustawicznie przed oczyma. Przypomniały mi się wszystkie te sceny pod kasztanem pocziwego wujaszka. Przypomniały mi się owe słowa ciemnego organisty, który wyrzekł do syna: »Zapracuj sobie, bo biedny nic nie powinien brać od innych. Wygląda to zaraz na jałmużnę!«... Stanęły mi żywo przed oczyma owe sielankowe marzenia moje, w których »dzidzia« widziałam w kościółku Panny Maryi, jak pobożnemu ludowi pieśni nabożne intonował. Widziałam go zakładającego przedmiejską szkółkę dla biednych dzieci, w której uczył je podług zdolności każdego... Wszystko to rozwiało się dzisiaj... ujrzałam przed sobą człowieka, który za pomocą sztuki chciał gwałtem wysunąć się z niższego stanowiska swego, gdzieby był tak pożytecznym. Takie przynajmniej miałam przeczucie.

Na drugi dzień, między godziną dwunastą a pierwszą, usłyszałam w przedpokoju mocno skrzypiące botynki. Po chwili wszedł służący i wymienił nazwisko artysty. Kazałam go wpuścić.

Byłam sama. Leon poszedł do resursy a Natalia siedziała w swoim pokoju.

Otworzyły się drzwi salonu. Woń paczuli wprzód doleciała do mnie, nim wchodzącego obaczyć mogłam.

Zaprezentował mi się i podziękował za łaskawą protekcję, jaką nie jemu, ale sztuce udzielić raczyłam.

Prosiłam go, aby usiadł. Widząc go teraz zblizka, mogłam mu się dobrze przypatrzeć.

Gdybym pod innymi warunkami obaczyła swego »dzidzia«, za którym ze łzami rzuciłam białą, prześliczną teę, gdy dom rodzinny opuszczał, nie mogłabym może patrzeć na niego bez wzruszenia, bez bicia serca, choćby on o tem nie był się nigdy dowiedział... Serce kobiecie ma pewne drobne i małe na pozór tajemnice, o których się nigdy i ni-

komu nic nie mówi, nawet i temu, który stał się powodem tych tajemnic dziwacznych...

Dzisiaj patrzałam na niego dosyć obojętnie. Jeżeli miałam jakie w tej chwili uczucie, to był niem chyba żal, że mnie tak zawiódł. Wolałabym go widzieć w szacie pocziwego mieszczanina, niżeli w tym czarnym, wykwintnym tużurku, na który prawdopodobnie przed kilkoma dniami musiałam zebrać...

Artysta był jednak w dobrym humorze i nie przeczuwał wcale, co w tej chwili o nim myślałam. Z dobrą fantazyą przypatrywał się swoim rękawiczkom żakmarowskim, poprawiał batystowej koszuli, haftowanej w różne desenie i przyglądał od niechcienia jedwabny, świeżo z pułki sklepowej zdjęty kapeluszek.

Po kilkuminutowej rozmowie o sztuce i zabawach stolicy, rzekłam do niego:

— Przecież nie powinnam być panu zupełnie obcą. — To pytanie zdziwiło go nieco, a nawet rozciekawilo.

— Może gdzie za granicą — wyjąknął — ale tak, naprawdę nie przypominam sobie... Może na salonach księżny...

— O tak daleko, czyli raczej wysoko, niech pan nie sięga — odpowiedziałam. — Niech pan się lepiej wróci do owych pięknych dni naszego życia, w których żyjemy własnym sercem, a nie poezją wyczytaną z książek.

— Pani mnie intryguje... błagam liłości!... Ale nie... niech pani tak dalej mówi, bo to jest melodia, którą dzisiaj tak rzadko słyszeć się zdarza!...

— A pan przecież dobrowolnie porzuciłeś tę harmonię życia.

— A, rozumiem. Pani nie jesteś wielbicielką Bajrona. A ja przyznaję się do tej nowej szkoły dysonansów. Z pewnością zauważyłaś pani w moim »dramacie«, jaką tam grają rolę te dysonanse, osobliwie przy ostatniej fudze...

— Pan zapędzasz mnie w świat dla mnie obcy zupełnie! Lubię smaczną potrawę, ale nie lubię zaglądać do ku-

chni. A dziś kuchnia większą rolę odgrywa, niżeli sala jadalna. Wstydzicie się tego panowie! Znakomici malarze nie mówią nigdy o pędzlach, o farbach i oleju makowym.

Słowa moje zdziwiły artystę i rzucił kilka razy w tył długimi włosami. Chciałam mu przyjść w pomoc, ale dość niezręcznie wzięłam się do rzeczy.

— Sztuka — rzekłam — ma swoją idealną i materyalną czyli rzemieślniczą, albo, jak ją panowie nazywacie, techniczną stronę. My chcemy widzieć sztukę ze strony idealnej. Technika, czyli ta rzemieślnicza strona, należy do waszych sekretów. Nie ściągajcie więc panowie na siebie pozorów rzemieślników, mówiąc z nami językiem, który do waszych misteryów należeć powinien.

Zdawało mi się, że tym zwrotem dobiłam biednego artystę. Z niemałym jednak zdumieniem w oczach autora »dramatu« spostrzegłam pewną admirację dla mnie. Poprawił w przelocie chustkę, sięgnął po gukier, ale to tylko z przyzwyczajenia, i rzekł:

— Za każdym słowem intrygujesz mnie pani coraz więcej. W tej chwili olśniony jestem tak trafnem zdaniem o sztuce, z jakim trudnoby się nawet spotkać w *Journal des beaux arts*.

— Zdanie moje może mieć tylko tę zasługę, że wypowiedziałam je bez względu na przyjęte formy. Darujesz mi pan, jeśli było za mało oględne. Mam pewne prawo być dla pana nietylko życzliwą, ale nawet i... szczerą.

— Pani mnie ośmielasz... co dopiero drzemało w duszy mojej, rozdmuchujesz w gorący płomień...

— Płomień ten, dzięki Bogu, nie pali. Są to tylko ciche, dawne wspomnienia! A jakiś poeta powiada, że wspomnienia są to kwiaty zasuszone, albo zmarznięte... Czy do sfery sztuki nie wniosłeś pan żadnych wspomnień z młodszych lat, z marzeń domku rodzinnego?

— Sztuka jest to zakon bardzo twardy. Kto do niego wchodzi, ten musi się zrzec wszelkich więzów ziemskich,

rozstać się na zawsze ze wspomnieniami młodości swojej i domku rodzinnego!

Artysta wyrzekł to tonem podniesionym i z pewną dumą spojrzął na mnie. Nie chciałam więcej drażnić jego dumy. Spokojnie i z uśmiechem rzekłam:

— Jeżeli pan tak twardą regułę przyjąłeś i zrywasz całkowicie ze wspomnieniami lat dziecińczych, w takim razie nie pozostaje mi nic innego, jak i moim budzącym się wspomnieniom nakazać milczenie.

Prawdopodobnie inaczej zrozumiał słowa moje, bo dziwnie na mnie spojrzął, a potem głęboko zadumał się. Po chwili zwrócił na mnie czarne oczy swoje i rzekł z melancholijnym uśmiechem:

— Za pewną cenę możnaby złamać regułę zakonu... i wrócić do tych marzeń dziecka.

W tej chwili wszedł Leon. Przedstawiłam mu artystę, a rozmowa zesłała na inne pole.

XXI.

Od tego dnia minęło dwa tygodnie. Zaproszony przez Leona artysta, stawiał się regularnie na każdy wieczór. W salonie mało miał sposobności mówienia ze mną, starał się jednak różnymi sposobami dać mi poznać, że nie byłam mu obojętną.

Lokował się zawsze w najciemniejszym kącie i stamtąd w pozie melancholijnej patrzył na mnie nieustannie. Na twarzy Natalii widać wtedy było uśmiech szyderczy. Przedemną jednak nic o tem nie mówiła.

Afekt artysty, który zupełnie obcą był dla mnie osobą, (bo »dzidzia« mego już pogrzebałam), mało mnie obchodził, póki objawiał się w granicach niewinnych. Żadna kobieta nie gniewa się o to, że się komuś podoba. Zresztą zajęta byłam mojem nieszczęściem, temu więc co się poza mną działo, niewiele uwagi poświęcałam.

Pobyty w stolicy bardzo dobrze wpłynął na usposobienie Leona. Stał się weselszym i szukał sposobności, aby mi okazać miłość swoją. W miarę tego rozjaśniania się naszego nieba, zdawał się zasępiać horyzont nad biedną Natalią. Straciła nawet ową ruchliwość w salonie, z której się dawniej podobała; wyglądała jak ofiara cierpiąca i opuszczona.

Zaniepokoiła mnie ta nowa poza Natalii. Jest ona pokusą wielką dla serc szlachetnych. Staralam się ją rozweselić i wciągnąć w wir światowy. Używałam do tego różnych sposobów; ale wszystko było nadaremnie. Obawiałam się, że wobec niej stracę w oczach Leona, który dotąd jeszcze nie zmienił swego usposobienia.

Nadarzyła mi się sposobność, aby tryb naszego życia zastosować nieco do usposobienia Natalii. Na jednym wieczorku, gdym właśnie odegrała utwór Chopina, zbliżył się do mnie artysta i oświadczył mi chęć grywania niekiedy ze mną. Przystałam na to i zaraz po wieczorze powiedziałam o tem Leonowi i Natalii.

Leon przyjął to dobrze. Natalia zaś uśmiechnęła się ironicznie.

Zaraz na drugi dzień przyszedł mój protegowany artysta. Zawołałam Natalię. Graliśmy naprzemian na cztery ręce. Przed wieczorem nadszedł Leon. Mieliśmy pójść do prezesa. Powiedziałam jednak Leonowi, że dla cierpiącej, jak się zdaje, Natalii chcę dzisiaj pozostać w domu i w małym kółku, do którego i artysta należał, wypić herbatę. Leon na to zgodził się chętnie, Natalia, jak zwykle, uśmiechnęła się tylko.

Tak trwało czas niejaki. Co drugi dzień przychodził do nas artysta i grywał z nami. Dziwnem mi się wydało, że Natalia nigdy o nim ze mną nie mówiła. Unikała tego nawet z pewną ostentacją.

Razu jednego przyszedł artysta, jak zwykle. Po przywitaniu się z nim posłałam po Natalię. Natalia odpowiedziała, że jest zatrudnioną, ale później przyjdzie. Prosiłam tymczasem gościa, aby usiadł.

Nieśmiało obejrzał się wkoło i rzekł:

— Pozwolisz mi pani korzystać ze sposobności, gdy panią samą zastaję, i prosić o pewną łaskę.

Nim jeszcze odpowiedzieć na to mogłam, zwrócił się ku drzwiom i wyszedł do przedpokoju. Za chwilę stamtąd wrócił z dużym rulonem białego papieru, na którym powiewały fontazie błękitnej wstążki.

Rozwinął ów rulon białego papieru i z niskim ukłonem położył go przedemną.

Była to jakaś kompozycja. Tytuł jej nikał na tle dosadnie piórem wyrysowanem. Całe tło było podzielone na dwa pola. Jedno przedstawiało burzę z czarnymi chmurami, po których przebiegały jasne błyski piorunne. Drugie pole oświecone było słońcem i wyobrażało odnogę morską, na której płynęła łódka z białym żaglem. Na pierwszym tle był napis: *Ja*, potem w arabesce było małe *i*, a na drugiej połowie wyraz: *Ty*.

— Więc ta kompozycja ma tytuł: *Ja i ty*? — zapytałam artystę.

Artysta skłonił się na znak przyznania. Potem wskazał na lukę w górnych arabeskach i rzekł:

— A tu, jeśli pani pozwoli, umieszczę dedykację.

— Jestem panu bardzo wdzięczną — odparłam — że chcesz mnie przewieźć jako kontrabandę do nieśmiertelności; ale nim ostatnie słowo w tej sprawie wypowiem, pierwszej muszę wiedzieć co te dwa zaimki mówią do siebie.

Rzekłszy to, otworzyłam fortepian i rozłożyłam na nim ową kompozycję. Artysta nie dał się długo prosić, uznawszy słuszność mego żądania. Siadłam trochę w oddaleniu, aby mu dać jaknajwiększą swobodę w wykonaniu swego dzieła.

Kompozytor siedział czas niejaki w milczeniu i osłupiałym wzrokiem patrzył przed siebie. Zdawało się, że oczekiwał natchnienia. Twarz jego zmieniała wyraz, brwi ścigały się groźnie, usta drżały... Wreszcie podniósł jedną rękę, wziął kilka tonów, potem drugą powtórzył te tony w okta-

wie, znowu przestał i znowu te same tony, spojone z kwintą, wychodziły to z pod jednej, to z pod drugiej ręki...

— Czy znasz pani ten dyalog? — rzekł do mnie z cicha śród gry; przypominasz sobie pani te zapytania, te odpowiedzi? To wspomnienie o snach młodości, o domku rodzinnym...

Dalej urwał mowę; bo trudniejsze pasaże przeszkadzały mu rozmawiać ze mną muzyką i ustami naraz. Nic na to nie odpowiedziałam, tylko dalej z uwagą słuchałam.

Dosłuchałam się w tej dzikiej fantazyi różnych rzeczy. Były tam reminiscencye z melodyj Mozarta, były grzmoty Wagnera i uczuciowe miejsca Artota. Było tam także coś domowego, kilka taktów szumki, jakieś echo zapomnianego mazurka i kilka intonacyj hymnu angielskiego. Wszystko to razem tworzyło jakiś dziki chaos, jakby kto czcionki drukarskie razem pomieszał i potem je odczytać kazał.

Biedny artysta aż się spocił przy robocie. Długie włosy odgrywały przytem dosyć trudną rolę. Musiały one, stosownie do tego co wyrażać miała muzyka, trząść się jak liść w wietrze, to znowu rozwiewać się śród burzy i grzmotów na wszystkie strony.

Cały rozpromieniony, z płonącem okiem, wstał od fortepianu i z uczuciem tryumfu spojrział na mnie. Wzięłam kompozycyę do ręki i patrząc na kartę tytułową, rzekłam:

— Zapewne nie zechcesz mi pan objaśnić tych tonów, tak samo jak portrecista nie pisze nigdy pod portretem nazwiska przedstawionej osoby. Będę więc sama musiała komentować to dzieło pańskie. Najprzód w pomoc przychodzi mi karta tytułowa. To »ja«, będzie to istota nader nieszczęśliwa. Pojawia się ona jak małe, uśmiechnięte dziecię w tonach pojedynczych, a przeszedłszy w trzech pasażach do lat młodzieńczych, widzi nad sobą burzę serca. Śród tej burzy, jak majtek śród nocy, podnosi wzrok do nieba i błaga o jedną gwiazdę, może na całe życie!... Gwiazda wschodzi po okropnościach burzy, za gwiazdą idzie w ślad słońce z po-

godą życia, a na spokojnem morzu cicho mknie łódka o białym żaglu, który prawdopodobnie okrywa dwie istoty... Czy tak pan marzyłeś?...

Kompozytor poczerwieniał na twarzy. Oczy jego zapłonęły nadzwyczajnym blaskiem. Porwał się z krzesła, wznosił oczy w sufit, a łamiąc ręce, zawołał:

— Pani zrozumiałaś, odgadłaś mnie!

— I wszystko to, com zrozumiała i odgadła, chciałybym zniszczyć jednym poruszeniem ręki — odpowiedziałam z uśmiechem.

— Czy byłabyś pani tak okrutną? — załośnie zawołał artysta.

— W interesie pana. Czy przyznajesz mi pan jakie prawo do tego?

— Ulegam i z góry podpisuję się na wszystko.

— Więc dobrze. Bądź mi pan posłusznym, a za posłuszeństwem zawsze idzie nagroda.

— Przyrzekam ślepe posłuszeństwo.

— Mam pana słowo. Otóż najprzód żądam od pana, abyś zmienił tytuł tej kompozycji. Tytuł ten oznacza coś nadto egoistycznego. Dzisiaj to nie popłaca. Postąpiliśmy najprzód, a uczucia egoistyczne muszą ustępować sprawom powszechnym. Dziś jednostki rozplývają się w ogóle. Trzeba więc uderzyć w uczucia socyalne, zbiorowe, które poruszają sercami milionów.

Zamyślił się na to artysta. Po chwili daremnego myślenia, spojrział na mnie z zapytaniem. Mówiłam dalej:

— Naprzykład: kompozycja pana jest piękna, ułożona według reguł generał-basu, jak go po konserwatoryach uczą. Ale niech pan przytem zważy, że muzyka niema jak książka liter i słów czytelných. Pojedyncze tony są to jakby hieroglify egipskie, z których każdy uczony to wyczytuje, co sam zechce. Otóż od tytułu wszystko zależy. Tytuł inny, podnioślejszy, nada całej kompozycji większą wagę. Z zakątką egoizmu wzniesie się ona do sfery narodowej.

Artysta stał przedemną zamyślony. Długie włosy spadały mu na czoło i ocieniały piękną twarz jego w sposób fantastyczny. Żadnej jednak myśli nie mógł wydobyć z tego pięknego czoła. Po długiej chwili ozwał się:

— Ależ zmienionemu tytułowi nie odpowie treść kompozycji.

— Przymkniesz pan posłuszeństwo — więc ufaj mi.

— Jakież tytuł inny?

— Tytuł... Napad Tatarów.

Podniósł na mnie oczy dawny, poczciwy mój »dzidzi«, ale na twarzy mojej nie było ironicznego wyrazu, jakiego obawiał się. Uśmiechnął się boleśnie i rzekł z cicha:

— Pani namawiasz mnie do świętokradztwa w świątyni sztuki... a ja wobec pani jestem tak słaby!...

W tej chwili usłyszałam kroki Natalii w bocznym pokoju. Równocześnie z drugiego saloniku wychodził Leon. Artyście szybko podałam rękę i szepnęłam:

— Czekam posłuszeństwa.

Nie mógł mi już nic na to odpowiedzieć, bo z dwóch przeciwnych drzwi wyszli Leon i Natalia.

Dopiero teraz spostrzegłam, że śród naszej rozmowy o tytuł kompozycji muzycznej zapadł mrok wieczorny. Gdy przyniesiono świece, widziałam na twarzy Natalii tak dziwny wyraz, że zapytałam ją czy nie słaba. Leon, wbrew swemu zwyczajowi, zaczął przechadzać się po salonie i coś sobie pogwizdywać. Potem usiadł do fortepianu i naśladując chłopską muzykę weselną, wybierał jaknajdziksze i najzabawniejsze tony. W końcu musiałam go uderzyć po rękach i rzekłam:

— Przestań, bo profanujesz muzykę!

— Nic to nie szkodzi -- odpowiedział z uśmiechem szyderczym — pani zato aż nadto ją adorujesz. Gdy to razem zmieszamy, wypłynie z tego należyta cześć dla muzyki... Ale zapomniałem ci powiedzieć, że nas prezesostwo oczekują dzisiaj wieczorem.

— Miałabym ochotę w domu pozostać — odrzekłam.

— Moja obecność niech państwu wcale nie przeszkadza — ozwał się artysta, patrząc na zegarek — mamy właśnie o godzinie siódmej generalną próbę sekstetu.

— Spodziewałem się, że pan z nami pójdiesz — odparł z grzecznością Leon.

Artysta jednak uklonił się i wyszedł.

Zostaliśmy w domu. Do prezesostwa nikt nie poszedł. Wszyscy byliśmy czegoś w kwaśnym humorze. Leon dzienników nie chciał czytać, tylko ciągle chodził i pogwizdywał. Natalia była tak milcząca, że ani słówka nie można było z niej wydobyć. Widocznem było, że sobie coś uplanowała. Po jej twarzy przemykał się ukradkiem od czasu do czasu uśmiech zadowolenia. Niedobrze mi to wróżyło. Zdawało mi się, że musiało się coś stać, o czem jeszcze nie wiem. Ten uśmiech Natalii wydawał mi się jak łyskanie przed burzą.

Myśli podobne zasępiły mój umysł: byłam także milcząca i smutna. Oglądając się czasami za Leonem, widziałam jak w przechadzce swej zatrzymywał się i z boku na mnie z ironicznym uśmiechem patrzył.

XXII.

Dziwna atmosfera wkradła się do naszego domu. Trybu życia napozór nie zmieniliśmy wcale; w istocie był on jednak zupełnie zmieniony. Jeden czy dwa wieczorki odbyły się u nas, jak zawsze, ale brakło im zwykłego ożywienia. Z domu nieradzi wychodziliśmy w gościnę: jeżeli nie jedno, to drugie miało zawsze coś przeciw temu. Coś było między nami, co nas waśniło między sobą; nikt jednak nie chciał wyrzec pierwszego słowa.

Zastanowiwszy się nad tem, przyszłam do przekonania, że nic się złego nie stało. Mogłam nawet być zadowoloną pod pewnym względem. Wiedziałam jednak, że wiele straciłabym z korzyści sytuacji, gdybym się pierwsza odezwała. Czekałam więc aż kto inny przemówi, a tymczasem cała

moja uwaga zwróconą była na to, aby z położenia tego ktoś trzeci nie skorzystał.

Za kilka dni przyszła znowu do mnie pocziwa hrabina, z pakiecikiem biletów. Na programie z uśmiechem wyczytałam nowy utwór koncertanta, pod tytułem: »Napad Tatarów«. Na samym dole było napisane, że trzecia część czystego dochodu przeznaczona jest na cele dobroczynne.

Wzięłam bilety i natychmiast udałam się do znajomych. Tym razem, mimo klauzuli o dobroczynności, nie najlepiej mi poszło. Wykręcano się różnymi sposobami od tego »Napadu Tatarów«. Zaledwie połowę biletów mogłam rozepchać.

Na drugi dzień odbył się koncert. Zgromadzenie nie było liczne i dochód ledwo pokrył koszty urządzenia. Widać że i klauzula o celach dobroczynnych nie mogła zwabić więcej słuchaczy.

Koncert odbył się w porządku zapowiedzianym na programie. Kompozytor odegrał utwór swój jak mógł najlepiej. Grał z pewnem roztargnieniem, co mu dodawało więcej odwagi i ognia. Co było w nutach, oddał podług wszelkich reguł akademicznych, ale cóż po akademii, kiedy tam żadnych myśli nie było.

Publiczność mimo to klaskała, bo jest oddawna u nas pocziwy zwyczaj, aby każdemu biedakowi, który na to pole występuje, bodaj klaskaniem dopomagać.

Nazajutrz w kronice *Gazety wieczornej* czytałam co następuje:

»Koncert wczorajszy znakomitego naszego ziomka-artysty przewyższył nasze oczekiwanie. Przyczynił się mianowicie do tego nowy utwór jego pod tytułem »Napad Tatarów«... To nie były luźne, zwykłym piórem powiązane nuty na liniach i między liniami... to nie były owe brawury, jakimi obdarza nas zagranica, a które tak łąpczywie połykamy... to nie było żadne pokłosie na polu naszych pieśni, to był istny obraz historyczny, z prawdziwym tłem piętnastego wieku, to była wielka tragedia, w której po mistrzowsku

rozdano role, charaktery, a nawet i akcesorya... Kto nie widział Tatarów, mógł na wczorajszym koncercie obaczyć te dzikie twarze synów puszczy nadmorskich, te przygarbione barki, owe czapki futrzane... mógł słyszeć poświst ich strzał zatrutych, furczenie arkanów«... i t. d.

Dalej doczytać nie mogłam. Śmiech spazmatyczny ścisnął mnie za gardło i musiałam usiąść, aby uspokoić się. Po chwili zrobiło mi się smutno. Widziałam jak ludzi najpocziwszych mógł ogarnąć wir fałszywy i wyrzucić ich z drogi, na której mogliby być wielce pożytecznymi dla społeczeństwa... Naprzykład ten adept sztuki autorskiej, piszący kronikę w *Gazecie wieczornej*, mógłby może napisać bardzo ładny obrazeczek dla dzieci, o tych dzikich twarzach tatarskich i ich czapkach futrzanych... a sam kompozytor mógłby być z niesłychaną korzyścią...

W tej chwili ozwał się dzwonek w przedpokoju, a kompozytor stanął przedemną.

Leon właśnie co był wyszedł, a Natalia, jak zwykle, siedziała w swoim pokoju.

Nie było zatem w salonie prócz nas nikogo więcej. Przedemną na stoliku leżał tylko »Emil polski« wujaszka w manuskrypcie, z którego właśnie kilka ustępów o zadaniu muzyki u nas przeczytałam. Jakkolwiek często już o tem z wujaszkiem rozmawiałam i zupełnie na jego zdanie zgodziłam się, odczytanie jednak tego przedmiotu natrąciło mi jeszcze wiele innych myśli.

Nie mógł artysta wybrać niefortunniejszej chwili dla swojej wizyty. Odczytany ustęp o muzyce w rękopisie wujaszka, który jej tak wielkie w narodzie naszym założył znaczenie, i owa fatalna kronika *Gazety wieczornej*, nastroiły mnie dziwnie do jakiegoś usposobienia kaznodziejskiego.

Ponieważ już mrok wieczorny zaczął zapadać, kazałam więc służącemu przynieść kandelabry i usiedliśmy oboje naprzeciw siebie przy małym stoliku, który stał przed szezlon-giem pomiędzy oknami.

Po kilku słowach, zwykłej w takich razach, rozmowy, rzekł do mnie artysta:

— Przychodzę całe moje wczorajsze powodzenie, moje wszystkie wieńce i laury, a mianowicie to wewnętrzne przekonanie, jakiego potrzebuje artysta na swojej ciernistej drodze, że poszedł ścieżką właściwą, przychodzę wszystko to złożyć u nóg pani.

— Mnie nic z tego nie należy się, mój panie — odpowiedziałam. — Pan byłeś tylko posłusznym memu żądaniu, a powodzenie jest zapłatą za to posłuszeństwo. Jesteśmy więc pokwitowani.

Artysta spojrział na mnie z wyrzutem za takie pokwitowanie. Zostawiając jednak tę kwestyę na później, rzekł z uśmiechem:

— Niesłusznie odpychasz pani tę zasługę od siebie. Postępujesz sobie jak bogacz, który odtrąca od siebie biednego, oddającego mu jedną ratę pożyczonej kwoty.

Podalam rękę artyście i rzekłam:

— Wyrządzasz mi pan krzywdę. Nie jestem wcale pod tym względem bogatą. Pan masz więcej ideałów i marzeń przed sobą, większe bogactwo otacza cię. Doświadczenia życia wzięły mi już wiele z tych bogactw mniemanych i dziś jestem może uboższą od innych. Poznajesz to pan z mojej mowy, która bliższą jest rzeczywistości, niżeli owych tęczyowych obrazków napowietrznych, którymi, odpowiednio do mego wieku, mogłabym się ludzić.

Artysta spojrział na mnie z niedowierzaniem. Dwie różne jakieś myśli walczyły na jego twarzy. Obawiałam się, aby słów moich zle nie zrozumiał i rzekłam zaraz:

— Więc pan zadowolony jesteś z wczorajszego powodzenia swego?

— Wyjąwszy to, że wczoraj kilka znakomitych domów dawało wieczory, które nie pozwoliły wielu amatorom pójść na koncert, jestem zresztą dosyć zadowolony. Do tego recenzja w *Gazecie wieczornej*...

Tu chciał sięgnąć w zanadrze i prawdopodobnie wyjąć stamtąd ową *Gazetę wieczorną*, gdy nagle spostrzegł przedemną na stole ten sam numer.

— Zapewne czytałaś pani — rzekł z wejrzeniem na *Gazetę wieczorną*.

Dałam znak głową. Milczenie nastąpiło i trwało przez kilka minut.

— Dziwną wydaje mi się ta recenzja — rzekłam po chwili w zamyśleniu.

— Dziwną nazywasz ją pani? — podjął żywo artysta. — Wszak ona jest najpiękniejszym tryumfem dla pani!

— Dlaczego? — zapytałam przebudzona z zamyślenia żywym tonem artysty.

Twarz artysty ożywiła się. Oczy jego zapłonęły ogniem. Odgarnął z czoła długie włosy i rzekł w zapale:

— Wszystko to, co się stało z moim utworem, jest dziwne, prawie niewytłumaczone. Myślałem nad tem przez kilka nocy bezsennych, mordowałem umysł aż do szaleństwa. Dopiero wczoraj, gdym panią na kanapie ujrzał, zaświtała mi myśl jasna, która w *Gazecie wieczornej* znalazła swoje zatwierdzenie.

— I jakaż to myśl? — jeżeli można zapytać.

— Myśl dziwna, która odsłania świat wyższy, tajemniczy, stykający się z tem, co jest rzeczywistem... Nie wiem skąd to się wzięło, ale za pierwszym poznaniem pani, za pierwszą rozmową pobieżną uczułem, że pani masz do mnie prawo... do mojej duszy... do tego wszystkiego co tam żyje, myśli i czuje... Skąd nabyłaś pani tego prawa, nie wiem... może gdzieś z przedświatowego istnienia w sferach eterycznych... Wiem tylko, że pani ciężysz niepojętem władztwem na duszy mojej, jak oko plantatora nad czarnym niewolnikiem.

— Uchowaj Boże — przerwałam z uśmiechem uniesienie jego — nie chciałabym nigdy robić z pana Murzyna.

— Pozwoli pani, że dzisiaj wszystko wypowiem!... Byłem dotąd samotny jak łódka wśród burzy. Z fal wodnych

wychylił się do mnie nieznanym mi sternikiem i wszedł w łódkę moją. Odtąd przestałem nią sterować, bo ster odebrał mi nowy mój towarzysz.

— Ach, takie dzikie obrazy stawiasz mi pan przed oczy!

— W tej samotnej żegludze stworzyłem moją kompozycję. Niestety! myślałem; że ona jest moim własnym utworem i nadałem jej tytuł według tego, czem ona mnie wydawała się. A ona właściwie nie była moją własnością. Ja byłem tylko narzędziem posłusznym, a pani, pani grałaś na strunach mojej duszy!... Cóż więc dziwnego, że wiedziałaś o tytule właściwym swego własnego dzieła?...

Przełękłam się tego dziwnego obłąkania umysłu. Ale to właśnie spowodowało mnie do mówienia o tem, o czem dla chorej duszy jego nie chciałam tak prędko mówić. Po chwili milczenia rzekłam do niego spokojnie:

— W zbyt wysokie szlaki chcesz mnie pan unieść. Ale ja, zwyczajna kobieta, zamocno trzymam się ziemi.

Zerwał się z krzesła, rzucił w tył głowę i odparł:

— Nie, to być nie może! Wrzając duszę okrywasz pani umyślnie lodem!... Wyjaśnij mi pani, jeżeli potrafisz, skąd to dziwne władztwo wzięłaś nademną, od którego nie mogę uwolnić się, jakby od własnego cienia mego?... Wszak prawie pierwsze słowo pani wypowiedziane do mnie było; mam prawo do pana.

Uśmiechnęłam się zimno i rzekłam:

— Mówiłam, że mam prawo do pana; tego nie wyrzekam się i zaraz to panu wyjaśnię, bez eterów i szlaków napowietrznych... Przypominasz pan sobie pewne miasto obwodowe... w niem dworek przedmiejski z gankiem oszkolonym? Naprzeciw tego dworku był domek ciemnego organisty, w którym było kilkoro sierot.

Rumieniec oblał twarz artysty. Nie wiem co on oznaczał... Po chwili błysnęło w jego oku coś nakształt łez. Wreszcie spuścił głowę, a długie włosy jego nakryły mu czoło. Po małej przerwie mówiłam dalej:

— W tym domku mieszkał także poczciwy wujaszek, którego sieroty »dzidziem« nazywały.

Artysta podniósł nagle głowę i wlepił we mnie swe duże, czarne oczy. Na twarzy już nie miał rumieńca. Był blady, przerażająco blady. Stał jak statua z marmuru. Mówiłam dalej:

— A w dworku z gankiem oszklonym żyła osamotniona kobieta, dla której przez czas długi jedyną rozrywką był widok na ten domek cichy, patryarchalny. Słuchała ona owych »modlitw porannych«, a nawet patrzyła z rozkoszą na niewinne zabawki z sierotami poczciwego wujcia. A gdy wyjeżdżał z domku cichego, kobieta ta rzuciła mu białą różę przez okno i prosiła anioła-stróża, aby strzegł go na ciemnych drogach jego żywota...

Artysta powiódł po mnie okiem, jakby się z głębokiego snu obudził, potem uderzył się w czoło i odstąpił kilka kroków od stołu.

— Mój Boże! — zawołał — cóż za dziwne rzeczy odślaniają się przedemną!

Zbliżył się szybko do stołu, wypatrzył się na mnie, jak lunatyk, i rzekł cichym głosem, jakby do myśli swoich:

— To obraz pani ścigał mnie w bezsennych nocach moich. Nie wiedziałem skąd się ta postać w duszy mojej wzięła. Weszła tam bez świadomości mojej, gdym był prawie dzieckiem, i wystąpiła, gdym stał się młodzieńcem... Tak, to ta sama postać!... Z razu widziałem ją w czerwonej koszulce, a nad nią unosił się biały gołąb...

Wspomnienie to mego »dzidzia« wzruszyło mnie. Poczulałam, że łyzy cisną mi się do oczu. Przypomniałam sobie jednak salon, czem jestem, i uspokoiłam się. Żal mi było tego człowieka, że poszedł drogą niewłaściwą. Artysta mówił dalej:

— I dziwny był to sen mojej duszy, bo nie wiedziałem skąd on pochodził. Myślałem, że dusza ma jakie wspomnienie przedziemskie i cierpiałem, jak rozbitek wyrzucony na

gołe skały, sam jeden. Widok pani obudził ten sen mój dawny i długo walczyłem o niego... Dziś ta walka upada... dziś korzę się przed bóstwem mojem, z pod którego władzy nie mogłem się uwolnić!...

Mówiąc to, zbliżył się szybko do mnie i chciał wziąć mnie za rękę. Szerokość stołu jednak przeszkodziła temu. Korzystałam więc z tej przerwy zamysłów jego, wstałam z twarzą spokojną i zimnem okiem spozjrzałam na niego. To ochłodziło wyobraźnię jego; wpatrzył się we mnie, a ja po chwili odezwałam się:

— Nie przerywaj pan wizyty swojej... Mam jeszcze coś z panem do pomówienia.

Nic na to nie odpowiedział. Szklanem okiem patrzył na mnie i pochylał głowę, na znak, że mnie chce słuchać. Mówiłam dalej:

— W osamotnieniu mojem uroiłam sobie powabną przyszłość tego domku przedmiejskiego. Widziałam pana na chórze w kościółku Panny Maryi, gdyż intonował dla ludzi pieśni pobożne i wspaniałym organem prowadził modlitwę ludu do tronu Przedwiecznego...

Kurczowe uczucie przebiegło po twarzy artysty, poczem nastąpił silny rumieniec. Rumieniec zeszedł po chwili, ale twarz artysty już nie miała tego liryczno-fantastycznego wyrazu. Była to twarz człowieka przy zupełnych zmysłach. Cóż go tak nagle otrzeźwiło?... Mówiłam dalej:

— Wyobrażałam sobie pana, że w domku przedmiejskim, jako wyższy nauką i poczuciem, zgromadzisz koło siebie ubogą młodzież przedmieścia i będziesz z nią odbywał te same modlitwy poranne, jakie z sierotami odbywał ciemny dziadunio... że skupisz koło siebie szkółkę muzyki dla tych biedaków przedmiejskich, wykonywując z nimi śpiewy i modlitwy, będziesz im treść ich objaśniał; że harmonią śpiewu i słowa będziesz nawiązywał struny społeczeństwa...

Chłodno patrzył na mnie artysta. Uśmiechnął się zjadliwie i rzekł:

— Nie wiem, czy pani nie używa względem mnie najstraszliwszej broni, broni ironii... czy ten obrazek tak ponętnie namalowany, obrazek organisty...

— Dla Boga — przerwałam mu — nie chce pan źle sobie tłumaczyć słów moich... Szuman był kantorem ubogim, Bach był organistą w Dreźnie i mieszkał dwadzieścia lat w ubogich pokoikach przy Wilsdruffer-Strasse... Oglądałam sama to dawne jego mieszkanie...

Artysta stał przedemną z uśmiechem gryzącej ironii. Twarz jego zbrzydła tą ironią. Rzekłam do niego:

— Widzę, że dłużej nie chcesz pan słuchać słów moich. Ranią one duszę pana. Z tego com tutaj opowiadała widocznem jest, że mam, że mam powinna przynajmniej mieć jakieś prawo do pana.

Artysta skrzyżował ręce i pochylił głowę na znak poddania się, czy raczej zawieszenia broni. Mówiłam dalej:

— Owe sny moje z tego dworku polubiłam zbyt mocno, aby panu ostatniego słowa w tej mierze nie powiedzieć. Przyznam się, że wyjazd pana wycisnął mi łzy, że pogrzeb ciemnego ojca położył mnie chorą do łóżka. Masz pan teraz tajemnicę, której sama przed sobą dotąd nie wymówiłam...

Uczucie smutku wystąpiło na twarz artysty, ale postawy swojej nie zmienił.

— Mówić panu już nic więcej nie będę, bo słowa moje weźmiesz za ironię. Wymagam tylko tyle od pana, abyś usiadł i spokojnie wysłuchał kilkunastu wierszy, które wujaszek mój w tym manuskrypcie o muzyce napisał.

Z uśmiechem lekkiej ironii odsunął artysta krzesło daleko od stołu i usiadł. Rozwinęłam manuskrypt i czytałam:

. . . »Sztuka ma dwie siostry rodzone. Obie są piękne i nęcą do siebie wdziękami. Starsza siostra, jest to niejako postać grecka, z twarzą spokojną, czołem pogodnem. Z całej jej postawy widać, że pracuje. Ma też ona wiele do roboty. Prowadzi modlitwę do Boga, płacze nad życiem doczesnem i pociesza tych, którzy po licznych stratach sami pozostali.

Koi łyzy, poważnionych godzi, pochmurne umysły nastraja do jaśniejszego wejrzenia w dzieła miłości Bożej. Jest i dla radujących się dobrą towarzyszką, i w życie stroskane wlewa swobodę i ukojenie. Druga, młodsza siostra, inną drogą poszła. Boskich wdzięków swoich użyła na to, aby być... zalotnicą. Krótko ubrana, z różem i bielidłem na twarzy, weszła do komnat zamożnych, aby jak bajadera bawić siebie i innych. Zalotne jej oczy udają afekt, usta malowane nęcą pocałunkami gorącymi... Jestto zaiste biedna, nikczemna istota, a w chwilach tryumfów swoich jest tylko... prostą zabawką. I jedna i druga mają zwolenników. Pierwsza prowadzi swoich *ad astra*... druga wiedzie ich na nagie wyżyny, gdzie marnie giną, rozrzućeni po bryłach lodu i śniegu i odrażają od siebie szklanemi oczami i twarzą sino zamarniętą... Są to ofiary źle zrozumianej iskry, którą im Bóg wlał do duszy... zbyt mali, aby byli geniuszami, a zbyt pyszni, aby zejść do pracy napozór niższej, a wielkiej w istocie...

»Byli u nas artyści, którzy z efektem umieli dawać w stolicy koncerty, towarzystwa, które wykonywały najtrudniejsze kompozycje mistrzów zagranicznych, ale nie było szlachetnych robotników, którzyby część tej niebieskiej roboty wnieśli pomiędzy lud Boży i zachmurzony umysł jego rozjaśnili harmonią... Ile razy dawałem składkę dla długowłosego artysty, lub dla towarzystwa muzycznego, zawsze stawał mi przed oczy ideał mego organisty, lub nauczyciela ludowego, który małym talentem i niejaką nauką mógłby zdziałać olbrzymie rzeczy w całej parafii swojej«...

— Skończyłam — rzekłam, składając rękopis.

Artysta westchnął głęboko, jakby ze snu się przebudził, wstał, a ukłoniwszy się nisko, rzekł do mnie:

— Prelekcyja wyborna, dziękuję pani.

Rzekłszy to, spojrział na mnie wzrokiem obrażonej dumy, zarzucił włosy do góry i wyszedł.

W przedpokoju spotkał się z Leonem. Leon coś zagałdał do niego, ale zraniona śmiertelnie pycha jego nie dozwol-

liła mu nic słyszeć w tej chwili. Otarł się o Leona jakby o róg muru i wyszedł.

Może być, że niebacznie sobie w pewnym względzie postąpiła, kara w ślad za tem przyszła.

Leon widział rozognioną twarz wypadającego artysty i z czołem zmarszczonem wszedł do salonu.

Zastał mnie także wzruszoną, z głową na ręku opartą.

Leon nic do mnie nie powiedział, stanął tylko na środku pokoju i zmierzył mnie okiem pogardliwym. Zniosłam to i na stanowisku obronnem czekałam ataku. Leon jednak nie atakował, tylko odwrócił się i odszedł.

XXIII.

Przy herbacie nie było Leona. Natalia milczała, jak posąg i tylko czasami przesuwiał się po jej bladej twarzy uśmiech pełen jakiegoś jadu.

Przestraszyłam się mego położenia. Znadto odważnie wyszłam poza czaty nieprzyjacielskie; mogłam być otoczoną i pobitą. Głos przecież wewnątrz i spokojne sumienie moje mówiły mi, że zwyciężę.

Z każdą chwilą jednak zasepiał się widnokrąg nademną. W sypialni mojej postawiłam świecę na stoliku, a sama uklęknęłam przed obrazem Bogarodzicy, aby się pomodlić. Leon przyszedł późno i nie powiedział mi dobranoc. Modliłam się długo po północy; widziałam na wysokoku muru światło bijące z okna Leona, i on nie spał.

Brała mnie wielka pokusa zarzucić płaszczyk, pójść do niego i u nóg jego złożyć spowiedź szczerą, ale trochę namysłu odwiodło mnie od tego. Przychodząc sama ze spowiedzią, ściągnęłabym na siebie tylko podejrzenie. Postanowiłam więc czekać, póki on pierwszego słowa nie powie.

Czem ta noc była dla mnie, to Bogu tylko wiadomo, który liczy łyzy nieszczęśliwych... Była już piąta zrana, gdym znów na ów wyskok muru wyjrzała, Leon nie spał jeszcze.

Rano przed samą herbatą przyniósł mi służący od Leona list zapieczętowany...

Wiedziałam, nieszczęsna, co ten list zawiera. Ręce mi drżały, nogi ugiwały się podemną...

Pomyślałam chwilę i powzięłam pewne postanowienie. W duszy mojej nawet zaświtała jakaś niejasna nadzieja, że to wszystko złożyć się może dla mego szczęścia.

Siadłam więc przy biurku i napisałam do Leona następujące słowa:

»List twój odebrałam, ale z obawy, aby nie zmartwił mnie, nie czytałam go jeszcze. Przeczuwam, że potrzeba mi będzie wielkiego spokoju, gdy ci odpowiedzieć przyjdzie, a niemniejszego i tobie, gdy odpowiedź moją odbierzesz«.

Odesławszy list ten Leonowi, otarłam ślady łez z twarzy i spokojnie wyszłam do herbaty.

Za chwilę przyszła Natalia, a po niej wkrótce stawił się i Leon.

Natalia przemówiła do mnie kilka słów o pogodzie. Leon milczał. Był blady, czoło miał zachmurzone.

Z największym spokojem rozdałam herbatę. Z Natalią rozpoczęłam obojętną rozmowę, aby służba nie poznała naszego powaśnienia. Nadeszłe gazety wyratowały mnie z tej niemiłej roli.

Przed obiadem wpadła do mnie pocziwa hrabina. Leona nie było.

— Moje serce — rzekła zaraz na wstępie — przychodzę do ciebie w ważnej potrzebie. Obowiązki towarzystwa sprowadzają mnie tutaj. Właśnie na drodze dowiedziałam się, że ten protegowany przez ciebie artysta nagle zasłabł tej nocy i bez przytomności i wszelkiej opieki leży w hotelu. Chciałabym go odwiedzić, ale nie mam dla siebie towarzystwa. Możebyś poszła ze mną.

Wiadomość o nagłej słabości biednego mego »dzidia« dotknęła mnie bardzo boleśnie. Miałam sobie do wyrzucenia, że prawdopodobnie stałam się przyczyną tej słabości.

Byłam w dziwnem położeniu. Z jednej strony serce pociągało mnie do nieszczęśliwego chorego, z drugiej stawały obowiązki moje i ta myśl straszna, że przez podobny krok zagmatwam zupełnie niewinne dotąd położenie względem Leona.

Straszny ból dolegał skołatanemu sercu memu. Chwilowo odstąpiła mnie wszelka odwaga. Zdawało mi się, że jakieś złowrogie przeznaczenie przesładuje mnie od kolebki, i że wszystko w życiu na moją niekorzyść obrócić się musi.

Po tej chwili bezwładnego bólu, przyszła mi myśl pośrednicząca do głowy. Mogłam zadośćuczynić obowiązkowi, nie naruszając przytem mego stosunku do Leona.

Zawołałam Natalię i przedłożyłam jej w kilku słowach żądanie hrabiny.

Zdziwiłam się, że Natalia odrazu, i to nader chętnie, na moją propozycję przystała. Widziałam nawet, że twarz jej ożywiła się, a oczy zaświeciły jaśniejszym blaskiem. Nie spodziewałam się, że przy dotychczasowem usposobieniu dla mnie będzie tak skorą dla prośby mojej... Nie mogłam sobie tego z razu wytłumaczyć, ale potem przyszła mi myśl, że Natalia z powodu obecności hrabiny odegrała tę, nie nadto dla niej przyjemną rolę, jak to jej w życiu salonowem nieraz zapewne się wydarzyło... Utwierdziłam się w tem mniemaniu mojem przy odejściu Natalii. Stłzeliła na mnie ukosnym wejrzeniem, w którym malowało się coś okropnego...

Za godzinę wróciła Natalia i wszelkie moje wypytывania zbyła kilkoma słowy. Pytałam się jej, czy nie potrzeba czego choremu. Na to odpowiedziała mi krótko, że hrabina o wszystko się postarała.

Widziałam jednak, że Natalia, odszedłszy do swego pokoju, zawołała służącego i dała mu do miasta jakieś zlecenie. Potem z dużym koszem wyprawiła go do hotelu.

Widząc to, rzekłam do Natalii:

— Ponieważ już niejaki obowiązek względem chorego ciąży na tobie, oddaję więc pod twoją nieograniczoną dyspo-

zycyę całą spizarnię i tę książkę do sklepu i apteki. Również biblioteczka moja stoi ci otworem.

Natalia podziękowała mi ze zjadliwym uśmiechem, mówiąc krótko, że o wszystko już się postarano.

Przy obiedzie byliśmy wszyscy milczący. Leon prawie nic nie jadł i ani razu nie spojrział na mnie. Natalia przeciwnie, często na mnie patrzała i zawsze jakiś dziwny uśmiech przebiegał wtedy jej twarz bladą. Była jednak mocno ożywiona i zdawało się, że coś w głębi duszy swojej knuje.

Po obiedzie przyniósł mi służący od Leona małą karteczkę tej treści:

»Ponieważ, jak widzę, nie zanosi się na to, abyś tak rychło spokój odzyskać chciała, który, jak mówisz, potrzebny ci jest do dania mi odpowiedzi, korzystam więc z tego i wyjeżdżam w tej chwili na wieś, gdzie mnie ważne interesa gospodarskie powołują. Nie wiem kiedy przybędę, jeżeli zaś w tym czasie ów potrzebny ci spokój nadejdzie, to mi o tem racz donieść.

Leon«.

Po przeczytaniu tego listu, nie zastanawiając się dłużej nad nim, chciałam pójść do Leona i wszystko mu opowiedzieć. Dowiedziałam się jednak, że go już nie ma.

Jakkolwiek na pozór położenie moje coraz więcej wikałać się zaczęło, bliższe jednak zastanowienie uspokoiło mnie. Nie mniej do tego uspokojenia przyczynił się i wujaszek, który mniej więcej o moich zmartwieniach wiedział.

— Drogie dziecię — rzekł do mnie po jakimś namyśle — nie ma nic złego, coby jakiej korzyści nam nie przyniosło. Wyjazd Leona na wieś może mieć dobre skutki dla ciebie. Dziękuj Bogu, że w tem podejrzeniu nie okazał ci obojętności, a co gorsza wyrozumiałości, jak to się dzisiaj u nas zbyt często praktykuje. Jego dąsy są najjaśniejszym dowodem, że cię kocha. Na wsi, w samotności, dojrzeje to budzące się dla ciebie uczucie do pewnego stopnia nawet namiętności. Znam ja serce ludzkie i wierzę mi... zostaw go tak chwilę samemu sobie.

Słowa wujaszka uspokoiły mnie zupełnie. Poddając się wyrokowi Boga, postanowiłam cierpliwie czekać rozwiązania mojej przyszłości.

Podczas niebytności Leona w stolicy, tem bardziej należało mi stronić od wszelkich stosunków z artystą. Dowiedziałam się od hrabiny, że atak jakiegoś rozdrażnienia nerwowego przeminął bez złych skutków. Mimo to widziałam Natalię krzątającą się ciągle około chorego i posyłającą mu różne rzeczy. Często wychodziła z domu i codziennie bywała na mszy w kościele OO. Karmelitów.

Trwało to dwa tygodnie. W początkach trzeciego tygodnia zjawił się niespodzianie Leon w stolicy.

Przyszedł do mego budoaru, powiedział mi krótko dzień dobry i usiadł w fotelu naprzeciwko mnie.

Utkwił wzrok we mnie i w milczeniu skrzyżował ręce.

Patrzył tak długo na mnie. Miałam w ręku jakąś robotkę. Do Leona nie rzekłam również ani słowa, kilka razy jednak podniosłam oczy na niego. Widziałam wielką zmianę w jego twarzy. Zbladł i schudł znacznie. W oczach malował się jakiś rozstrój życia. Koło ust owijał się wyraz boleści i widoczne było pewne znużenie i szamotanie się w cierpieniach duszy. W ubiorze dostrzegłam pewne zaniedbanie, odpowiadające wewnętrznemu usposobieniu.

Czekałam tylko pierwszego słowa od niego, aby mu rzucić się w objęcia i powszechną złożyć spowiedź. Ale sytuacja moja wydała mi się w tej chwili nader przykrą. Cóż bowiem, prócz czystego sumienia, miałam na moje usprawiedliwienie?...

Dobry kwadrans trwała ta niema scena między nami. Położenie moje stawało się coraz nieznośniejsze... Kilka razy płynęły mi łzy do oczu... kilka razy ściśnęło mi się serce moje i byłam bliską omdlenia, gdy nagle drzwi się otwarły i służący przyniósł mi list... od Natalii.

Nie umiałam sobie tego wytłumaczyć. *Drżącą ręką oderwałam pieczętkę i czytałam:

»Aby siebie i innych uwolnić od niemiłych pytań i odpowiedzi, donoszę ci piśmiennie, że na mocy mojej pełnoletności przyjęłam oświadczyzny pana Kazimierza J., artysty-koncertanta. Na zarzut, że to może uchodzić za mezalians, odpowiadam krótko, że mam lat trzydzieści trzy, a nie posiadam posagu, wreszcie i to, że oboje kochamy się...

Natalia«.

W pierwszej chwili dziwnego doznałam uczucia. Nie mogłam przyjść do siebie, choć czegoś podobnego powinnam się była spodziewać. Po niejakiem jednak czasie upamiętałam się i przyszła mi szczególna myśl do głowy.

— Więc to miała być zemsta ze strony Natalii? — pomyślałam sobie. — Mój Boże, jakże ona mi w porę przychodzi!...

I nie mówiąc ani słowa, szybko podałam list Leonowi.

Leon pochwyił go i zaczął czytać. Czytał raz, drugi i trzeci. Twarz jego była z razu nieruchoma, jak z marmuru. Powoli przecież zaczęła się ożywiać. Przesuwały się po niej najrozmaitsze uczucia. Zdawało mi się, że po pierwszym zadziwieniu ujrzałam na tej twarzy jakiś żal, jakąś boleść. Potem malował się wyraz ironii i pogardy. Za chwilę znikło to wszystko, a nastąpiło rozrzewnienie i radość.

Rzucił list od siebie, a przystąpiwszy do mnie, ukląkł i twarz pałającą położył na mojem łonie. Pochyliłam się ku niemu, a łzy szczęścia spadły na jego czoło.

Podniosłam się szybko. Z biurka wyjęłam nietknięty, nierozpieczętowany list jego i oddałam mu go.

Leon obejrzał pieczętkę z wyrazem najwyższego szczęścia, zbliżył się do kominka i rzucił go w ogień. Wracając od kominka, ukląkł znowu przedemną i ze łzami ucałował mi ręce...

W całej tej scenie nie przemówiliśmy ani słowa.

.

A gdy już oczy mogliśmy oderwać od siebie, spostrzeżliśmy, że przy tej scenie był świadek.

Pocziwy wujaszek stał w progu i uśmiechał się. Potem zbliżył się do nas, a wydobywając jakieś papiery, rzekł:

— Od kilku dni noszę się z tem w zanadrzu, czekając sceny pojednania między wami. Więc najprzód, Bogu chwała, że serca wasze oświecił, a następnie składam tu wam dokumenta, które tylko co właśnie przyprowadziłem do porządku... Jestto zapis mego majątku na rzecz Heleny i Leona; coś teraz, a reszta po śmierci. Żądam jednak z tego zapisu od was pewnego datku dla biednej sieroty. Słyszałem, że Natalia chce zostać żoną artysty. Chociaż wolałbym tego artystę widzieć przy organach, lub w szkółce, mając jednak wzgląd na krewną naszą, ofiarujecie jej coś, coby im na zagospodarowanie wystarczyć mogło. W dochód bowiem z koncertów nie wierzę, a zebrać nie powinien...

Nie mieliśmy na to słów. Rozczuleni do żywego, rzuciliśmy się wujaszekowi w objęcia i płakaliśmy z radości.

Wujaszek również spłakał się. Po chwili, patrząc na nas dobrodusznie, rzekł:

— A teraz jeszcze jedno. Interesa moje w stolicy skończone, a wasze... także. Dla rozrywki jedynie w mieście siedzieć, byłoby dzisiaj dla nas grzechem. Wiele, bardzo wiele roboty czeka na nas na wsi. Zresztą miejcie jeszcze i to na względzie: tylko ludzie którzy pracują są szczęśliwi. Szczęście, jest to przyprawa życia. Użyta jako strawa codzienna, sprawia przesyt i budzi zdrożne zachcenia. Gdybyście codziennie garderobę swoją zmieniali, gdybyście codzien innym komfortem życia otaczali się i najrozmaitszych rozrywek szukali, stalibyście się w końcu obojętni dla siebie. Rozdzieleni jednak różnorodną pracą od siebie, mielibyście w chwilach odpoczynku momenta szczęścia, o jakim tylko wybrani marzyć mogą na ziemi. A na wsi, wśród gromadki ludzi, jest tak szerokie pole do pracy, tyle tam ugoru do zasiania, tyle chwastu do wypielenia!...

Spojrzeliliśmy z Leonem na siebie i zrozumieliśmy się bardzo dobrze.

I w tej kwestyi nie wyrzekliśmy do siebie ani słowa.

Za tydzień byliśmy już na wsi. Zdawało nam się, że dopiero przed tygodniem odbył się nasz ślub prawdziwy, co też i potwierdziło się, jak to kochany wujaszek figlarnie później utrzymywał...

Kazimirzowie wzięli mały folwarczyk w dzierżawę. — Kazimirz gospodaruje dobrze i zabięgliwie. Natalia wzbrania mu koncertów, w domu jednak artysta pracuje nad sobą.

— ❦ K O N I E C . ❦ —



INSTYTUT
 BADAŃ LITERACKICH PAN
 BIBLIOTEKA
 00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
 Tel. 26-68-63

Kto nie chce nabywać «Nowej Biblioteki Uniwersalnej» seryami,
 lecz pragnąłby mieć specjalne dzieła, n. p. tylko dzieła powieściowe
 lub dzieła historyczne, i t. p., płaci następujące ceny za objęte wszyst-
 kimi rocznikami:

	Cena katalogowa	
	broz.	opr. w półtmo
Powieści i nowele:		
<i>Bałucki.</i> Mój pierwszy występ literacki (pow. humor.)	Kor. 2-40	3-20
— Burmistrz z Pipidówki (powieść humoryst.)	» 2-40	3-20
<i>Bąkowski.</i> Posażna panna	» 2-80	3-60
<i>Czajkowski.</i> Stefan Czarniecki (powieść histor.)	» 3-—	4-—
<i>Frenzel.</i> Prawa kobiety	» 3-—	4-—
<i>Gawalewicz.</i> Majster do wszystkiego	» 2-40	3-20
— Biedni ludzie	» 2-40	3-20
— Niczyja	» 3-60	4-40
<i>Gliński H.</i> Mamusie	» 4-—	5-—
<i>Iry.</i> Pod rodzinnym niebem	» 3-20	4-—
<i>Jirasek.</i> Raj świata	» 2-80	3-60
<i>Kontrymowicz-Ogiński.</i> Książę Hołuba, 3 tomy	» 8-—	11-—
— Z czeluści piekielnych	» 5-—	6-—
<i>Korolenko.</i> Z Sybiru (nowele)	» 4-—	5-—
— Niewidomy muzyk	» 2-—	3-—
— Szkice powieściowe	» 4-—	5-—
<i>Korzeniowska.</i> Nad siły	» 2-40	3-20
<i>Kostomarow.</i> Kudejar (powieść histor.)	» 4-—	5-—
<i>Kowerska.</i> Powieści	» 3-20	4-—
— Z pamiętnika ornitologa	» 3-—	4-—
<i>Krzyżanowski.</i> Przełom i inne nowele	» 2-40	3-20
<i>Lejkin.</i> Pod hiszpańskim niebem (powieść humor.)	» 4-—	5-—
<i>A. M. L.</i> Obrazki z życia (nowele)	» 4-—	5-—
<i>Naganowski.</i> Hessy O'Grady	» 2-40	3-20
<i>Neumanowa.</i> Baśnie i legendy Wschodu	» 1-20	2-—
<i>Sewer.</i> Na szerokim świecie	» 3-60	4-40
— W kleszczach. Magdusia	» 3-20	4-—
— Bajecznie kolorowa	» 3-—	4-—
<i>Sigurd.</i> Humoreski	» 1-—	1-80
— Sprzedany sierota	» 1-60	2-40
<i>Tępa.</i> Nowele	» 4-—	5-—
<i>Tolstoj.</i> Anna Karenina, 3 tomy	» 10-—	13-—
<i>Zagórski.</i> Nowele, III serya	» 3-60	4-40
Razem 37 tomów	Kor. 111-60	145-—

Biorąc naraz wszystkie te powieści — płaci się tylko
 za 37 tomów broszurowanych . . . Koron 37-— } z opłatą portorya
 za 37 „ oprawnych w półtmo „ 70-— } o 2 Kor. więcej.

	Cena katalogowa	
	broz.	opr. w półtmo
<i>Berg.</i> Zapiski o polsk. powstaniu 1863 r. 3 tomy (illust.)	Kor. 16-—	19-—
<i>Chotkowski ks.</i> Zniweczenie św. Unii	» 3-20	4-—
<i>Jelowicki ks.</i> Moje wspomnienia	» 3-60	4-60

Proszę odwrócić!

	Cena katalogowa	
	brosz.	opr. w płótno
<i>Kołaczkowski</i> . Pamiętniki (1797-1831) 4 tomy (illustr.)	Kor. 10.—	13 20
— Henryk Dąbrowski twórca legionów (z rycin.)	» 2.—	3.—
<i>Lichocki</i> . Pamiętniki prezydenta m. Krakowa z r. 1794	» 1.—	2.—
<i>Murawiew</i> . Pamiętniki (illustrowane)	» 3.—	4.—
<i>Paszkowski</i> . Ks. Józef Poniatowski (z rycinami)	» 2-40	3-20
<i>Rostworowski</i> . Wspomnienia z r. 1863	» 2.—	3.—
Rys kampanii roku 1809 w Ks. Warszawskiem	» 3-60	4-60
<i>Szumski</i> . Wspomnienia o 3 pułku ułanów (illustr.)	» 4.—	5.—
<i>Weżyk</i> . Powstanie Królestwa Polskiego w r. 1831	» 5.—	6.—
<i>Włast</i> . Opowiadania historyczne z dziejów okolicy Stuczy na Wołyniu	» 2-80	4.—
<i>Wodzicka</i> . Wilhelm I. i Eliza Radziwiłłówna (illustr.)	» —80	1-60
<i>Wodzicki</i> . Pamiętniki z czasów Rzeczyposp. Krakow.	» 3-60	4-60
<i>Wybranowski Aleks.</i> Ongi w dworach szlacheckich	» 1.—	1-80
<i>Wysocki</i> . Pamiętnik z kampanii węgierskiej	» 2.—	3.—
Ze wspomnień szlacheckich	» 1.—	1-80
Razem 23 tomy	Kor. 67.—	88-40

Biorąc naraz wszystkie te dzieła — płaci się tylko:

za 23 tomy broszurowane	Kor. 35.—	} z opłatą portorya o 2 Kor. więcej.
za 23 tomy oprawne	„ 50.—	

Szkice z dziejów literatury:

	Cena katalogowa	
	brosz.	opr. w płótno
<i>Chmielowski</i> . Studya i szkice literackie, serya I.	Kor. 4-80	6.—
<i>Mickiewicz A.</i> Wybór listów, wydał J. Kallenbach.	» 4.—	5.—
<i>Sarnecki Z.</i> Historia literatury francuskiej	» 6.—	7.—
<i>Tarnowski St.</i> Studya do dziejów liter. polsk., tom I.	» 4.—	5.—
— „ „ „ „ „ II.	» 4.—	5.—
— „ „ „ „ „ III.	» 4.—	5.—
— „ „ „ „ „ IV.	» 4.—	5.—
<i>Tretiak J. Dr.</i> Szkice literackie, serya II.	» 6.—	7.—
Razem 8 tomów	Kor. 36-80	45.—

Biorąc naraz wszystkie te dzieła — płaci się tylko:

za 8 tomów broszurowanych	Kor. 18.—	} z opłatą portorya o 1 Kor. więcej.
za 8 tomów oprawnych	„ 24.—	

Historia polska, powszechna i dzieje sztuki:

	Cena katalogowa	
	brosz.	opr. w płótno
<i>Czermak</i> . Szkice historyczne z XVIII wieku	Kor. 6.—	7.—
<i>Gloger</i> . Geografia historyczna Polski (z illustr.)	» 5.—	6.—
<i>Kalinka W. ks.</i> Panowanie Stanisł. Augusta, 2 tomy	» 7-20	9-20
— Pisma pomniejszych, 3 tomy	» 11-20	14-20
— Sejm czteroletni, 5 tomów	» 14-40	19-40
— Galicya i Kraków	» 5.—	6.—
<i>Lubiński</i> . Kwestya polska w Rosyi	» 1-20	2.—
<i>Macaulay T.</i> Szkice i rozprawy, 2 tomy	» 6.—	8.—
<i>Manteuffel</i> . Cywilizacya nad Bałtykiem (illustr.)	» 2-40	3-20
<i>Schnür-Peplowski</i> . Historia legionów (z illustrac.)	» 4.—	5.—

	Cena katalogowa	
	brosz.	opr. w płótno
<i>Sizeranne</i> . Malarstwo w Anglii	4—	5—
<i>Sokołowski</i> . Studya z dziedziny sztuki (z rycinami)	9—	10—
<i>Szajnocha</i> . Pisma historyczne, 2 tomy	5-60	7-60
Razem 22 tomów	Kor. 81—	102-60


Biorąc naraz wszystkie te dzieła — płaci się tylko:

za 22 tomów broszurowanych Kor. 50— } z opłatą portorya
za 22 tomów oprawnych „ 65— } o 3 Kor. więcej.

	Cena katalogowa	
	brosz.	opr. w płótno
Filozofia, nauki społeczne, przyrodn., estetyka, itd:		
<i>Choloniański ks.</i> Sen w Podhorcach (studyum)	Kor. 1—	2—
<i>Danielewicz</i> . Alkohol i jego skutki	1-60	2-40
<i>Echegaray J.</i> Galeotto (dramat)	1—	1-80
Hygiena palenia	1-20	2—
<i>Konarski ks.</i> O religii poczciwych ludzi	1—	2—
<i>Lisicka</i> . Ze świata muzyki, życiorys	4—	5—
<i>Łoziński</i> . Tłum (szkie społeczny)	1-20	2—
Razem 7 tomów	Kor. 11—	17-30

Biorąc naraz wszystkie te dzieła — płaci się tylko:

za 7 tomów broszurowanych Kor. 6— } z opłatą portorya
za 7 tomów oprawnych „ 10— } o 1 Kor. więcej.

 **Wymienione w tym wykazie dzieła można też nabywać osobno, lecz tylko po katalogowej cenie.**

Dla osób chcących nabyć naraz

komplet „Nowej Biblioteki Uniwersalnej“

14 roczników, t. j.:

96 tomów broszurowanych zniżamy cenę z Kor. 102 na Kor. 90

96 tomów w ozdobnej oprawie płóciennej „ „ „ 172 „ „ 160

płatne naraz (nie na raty).

Kto nadsłała należność z góry, otrzymuje przesyłkę, lecz tylko w obrębie Austrii i Niemiec, franco. — Na spłaty częściowe nabywać można tylko seryami lub działami, po wykazanych cenach.

Roczniki dawniejsze — o ile zapas starczy — kompletować można.

Wszelkich wyjaśnień udzielamy chętnie — zeszyt okazowy darmo. — Wysyłka staranna

Prenumeratę przyjmuje każda księgarnia, tudzież

Spółka Wydawnicza Polska (Kraków, Rynek, Pałac Spiski).

Prospekt ten unieważnia wszystkie poprzednio wydane.

F
3766